



# Ramona Bradly



# Niezwykłe spotkanie

## Rozdział 1

Do diabła, Linc! Przestań tłuc się po tym lotnisku jak Marek po piekle. Chcesz wydeptać dziurę w dywanie?

Linc lyier tak gwałtownie obrócił swą masywną postać, aż zafalowało powietrze.

- Szykują najazd na mój park, a ty martwisz się jakimś dywanem!

- Daj spokój, człowieku, naprawdę musisz się tak miotać? - Rozległ się stłumiony chichot. - Najazd! Jezu słodki! Co jeszcze wymyślisz?

Linc zaklął i wbił głęboko w kieszenie zaciśnięte pięści. Czuł, że za chwilę eksploduje. A w najlepszym razie zadusi swego szefa

- Do diabła, Jim, to wcale nie jest śmieszne.

- Synu, myślisz, że nie wiem? Nie zapominaj, że Denali jest dla mnie równie ważny jak dla ciebie.

- Więc dlaczego, do licha, nie powiedziałeś mi o całej historii wcześniej? Teraz jest luty, Jim, nie październik. Ja i moi ludzie mamy jeszcze wiele do zrobienia, zanim zwałą się tutaj tabuny zwiedzających. Nie zdołam wykonać zaplanowanych prac, jeśli będę zajmować się tą babą.

- Będiesz, synu - odparł Jim. - Nie masz wyboru. Linc wyciągnął rękę.

- Za trzy miesiące zaczyna się sezon. Za cztery park roić się będzie od ludzi. W zeszłym roku w samym tylko czerwcu odwiedziło nas sto dwadzieścia tysięcy turystów.

- Wszystko wskazuje na to, że w tym roku pojawi się ich jeszcze więcej. Wiem, dobrze o tym wiem. Ale uwierz mi! Nie ja wzywałem tu tych ważniaków.

- Ta baba należy do nich? Jim kiwnął głową.

- Czemu więc mnie nie ostrzegłeś?

Jim jeszcze bardziej rozparł się w fotelu z czarnego winylu.

- Chyba już zapomniałeś o tych dwóch, którzy w zeszłym tygodniu utknęli na południowej ścianie! - warknął i linc skrzywił się. - Nie zapomniałeś? Więc nie wylądowuj na mnie swojej złości, dobrze? Byłeś zajęty, synu. Zbyt zajęty, by zajmować się czymś, czego i tak nie mogłeś się podjąć. A ponadto wiem, że ty i Bobby zarezerwowaliście sobie na dzisiaj samolot do miasta.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Więc mnie zabij!

Linc rzucił mu spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że chętnie by tak zrobił. Jim roześmiał się.

- Z góry przewidywałem twoją reakcję. Ależ z ciebie raptus. - Linc jeszcze mocniej zacisnął pięści. - Najazd! Zupełnie jakby ta kobieta należała do jednostki desantowo-powietrznej.

- Sam się jeszcze przekonasz. Zobaczysz! - ostrzegł Linc.

- Założę się, że przysyłają ją tutaj na przeszpiegi. Mówię ci, Jim, jeśli nie będę trzymał ręki na pulsie, przysporzy nam kłopotów, o jakich nawet nam się nie śniło. Słyszałem o trzydziestoprocentowych cięciach w naszym budżecie. Trzydziestoprocentowych! Nie poradzę sobie z wydatkami, jeśli zarząd parków zabierze mi tyle pieniędzy. Nie poradzę sobie! Już teraz z trudem wiązę koniec z końcem. - Obrzucił lodowatym spojrzeniem zatłoczoną poczekalnię. - Siedzisz tu sobie jak gdyby nigdy nic i uspokajasz mnie. A przecież, do cholery, sam najlepiej wiesz, co się stanie, jeśli zabiorą nam te pieniądze.

- Mów trochę ciszej! - powiedział spokojnie Jim. - I, na Boga, usiądź.

Obaj w milczeniu przeszywali się wzrokiem. Każdy z nich był przekonany, że to on ma rację. W końcu Linc westchnął i opadł na fotel.

Jim spojrzął na zegarek i zwrócił się w stronę siedzącego obok młodszego kolegi.

- Jak się leciało do miasta?

- Dobrze - odparł Bobby, wygładzając błękitno-żółtą hawajską koszulę. - Lecieliśmy ponad dwie godziny. Nad Alaska Range wpadliśmy w obszar turbulencji. Ale Linc sobie poradził. To wścymienity pilot.

- Musi być dobry. Lata już ponad piętnaście lat - stwierdził z dumą Jim, obrzucając Linca szybkim spojrzeniem. Ten uniósł tylko lekko lewą brew. - Łaziliście po mieście? - dodał i skrzywił się. - Kupiliście koszulę?

- A gdzież tam - mruknął Bobby. - Przysłała ją matka, żeby mi przypomnieć, że poza śniegiem i lodem istnieje na świecie jeszcze inne życie. Wykombinowała, że ta koszula wprowadzi mnie w radosny nastrój.

- Twoi rodzice po przejściu na emeryturę zamieszkali na Big Island?

- Tak, w zeszłym roku.

- Fajnie mieć miejsce, gdzie w każdej chwili można pojechać sobie na wakacje.

- Słońce i surf. Pewnie, że fajnie - odrzekł ze śmiechem Bobby. - Jeszcze dwie śliczne panienki z deskami, a wakacje będą wspaniałe.

Jim zachichotał.

- Kiedy masz samolot?

- Facet z hawajskich linii lotniczych powiedział, że przyleci o czasie. Ale jeszcze nie tak prędko.

- Sprawdź zatem godzinę przylotu naszego. Lot 86 z Los Angeles.

- Idę, Jim.

Linc obserwował, jak jego dwudziestoletni kolega odchodzi wolnym krokiem w stronę ekranów, na których wyświetlano godziny przylotów. Nic go już nie obchodzi, pomyślał z goryczą i potrząsnął głową. Przez chwilę chciał rzucić to wszystko w diabły i polecieć ze swoim podwładnym na Hawaje. Ale wiedział, że to niemożliwe. Nigdy nie powierzy nikomu losu

parku. W żadnym wypadku! Do licha, nie złożyłby go nawet w ręce Jima, choć od niego przecież wszystkiego się nauczył.

- Może przybyć w każdej chwili - przypomniał Jim, przerywając zadumę Linca. - Już się uspokoiłeś?

- Pewnie - odburknął. Wyzywająco popatrzył w oczy starszemu koledze. Ten westchnął i potrząsnął głową.

- Daj spokój, Linc. Znam cię wystarczająco długo, wiem, co myślisz.

- Dobrze, już dobrze. Powiedz mi lepiej, kim jest to babsko...

- Nazywa się Charlotte Madison. - Jim był wyraźnie zniecierpliwiony. - Dla przyjaciół Charlie. - Linc uniósł brew, ale nie odezwał się ani słowem. - Zarząd rezerwatów zlecił jej firmie zebranie danych i sporządzenie raportu.

- Chcą wiedzieć, jak funkcjonuje mój park - warknął Linc i wyprostował się w fotelu.

Jim skinął głową.

- Ona jest uznaną konsultantką, specjalistką od tych spraw.

- To znaczy supertajnym agentem? - wściekał się Linc.

- Tego to ja nie wiem. Posługuje się metodami komputerowymi. Człowieku, sam wiesz, że to dla mnie czarna magia. - Jim popatrzył ostro na Linca. - Posłuchaj, synu, wiem tyle, że tu przyjeżdża. I nie mamy innego wyjścia, musimy się nią zająć, rozumiesz?

- Choć obaj wiemy, że nie ma zielonego pojęcia o tym, jak się prowadzi park wielkości Denali?

Zdecydowanie, jakie pojawiło się na twarzy Jima, sprawiło, że Linc rozluźnił się i jeszcze wygodniej rozparł w fotelu.

- No dobrze. - Jim poklepał Tylera po ramieniu. - Szybciej załatwimy całą sprawę, jeśli się uspokoisz i zaczniesz współpracować.

Linc łypnął nań ponuro okiem.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jim wzruszył ramionami.

- W zeszły piątek odbyliśmy tu, w Anchorage, telekonferencję. Uczestniczyłeś kiedyś w telekonferencji? - Linc milczał. - Jeśli tak, to wiesz, o co chodzi. A swoją drogą, to zadziwiające, jak daleko posunęła się technika. Zamontowali tam taki wielki ekran telewizyjny i masę elektroniki. Po prostu siedzieliśmy przy stole i gadaliśmy, a nasze słowa płynęły sobie spokojnie przez cały kraj.

- Dobrze, ale co ma piernik do wiatraka?

- Jezu, trochę cierpliwości. - Jim jakby zupełnie nie dostrzegał furii Linca. - Ona i jej szef... Nazywa się Tom Ames. Miły facet...

- Jim, do rzeczy! Ja się opanowałem, jak sobie życzyłeś. Przestań chrzanić głupoty i wracaj do tematu. Nie mamy czasu.

- Kątem oka Linc dostrzegł, że z głębi poczekalni Bobby daje mu jakieś znaki.

- Cholera, coś się tam dzieje. - Wstał i popatrzył na Jima.

- Chodźmy. Dokończysz po drodze. Po chwili dołączyli do Bobby'ego.

- Zmienili bramkę. Musimy przejść do C1.

Ruszyli spiesznie z końca poczekalni B do poczekalni C. W zimowych kurtkach, grubych butach i z bujnymi brodami Linc i Jim wyglądali na twardych mężczyzn. I tacy naprawdę byli. Jak zresztą wszyscy mieszkańcy Alaski.

- To chyba jej samolot - odezwał się z przejściem Bobby, wskazując widoczny przez okno odrzutowiec, z którego po trapie na pas startowy schodzili pasażerowie. Wiał wiatr i prószył lekko śnieg.

- O kurczę, ale się cieszę, że lecę na Hawaje. Szesnasta trzydzieści, a już ciemno. Jadę! Słyszycie, jaki wiatr? Mam już serdecznie dość tej pogody i krótkiego dnia.

Linc nie odpowiedział. Kochał Alaskę. Długie zimy, krótkie lata. Nie miał zamiaru nic zmieniać w swoim życiu. Ani pogody, ani osamotnienia, niczego. Odwrócił się do Jima.

- No to która jest ta pirania? Bobby parsknął.

- Charlotte? Wygląda niewinnie. Drobną kobietką o południowym typie urody i niebywale elegancką.

- Myślałem, że śpieszysz się na samolot? - warknął Linc. Bobby przełknął ślinę i zamilkł. Wspaniale, pomyślał Tyler. Jeszcze tego mi brakowało, cieplarnianej orchidei, która nie potrafi odróżnić góry lodowej od lodowca. Wyjrzał przez okno, próbując rozpoznać, która z kobiet jest tym jego wrogiem.

Minęło kilka minut, ale Charlotte Madison sienie pojawiała. Poczekalnia z wolna pustoszała.

- Może nie przyleciała? - odezwał się z wahaniem Bobby.

- Konsultantka?! - przypomniał Linc z sarkazmem w głosie.

- To stanowisko zobowiązuje. Oni, jeśli nie stawiają się na spotkanie, popełniają samobójstwo.

- Oj, żebyś się nie przeliczył, Linc - ostrzegł Jim.

- Charlie jest młoda, ale na swojej robocie zna się wybornie. Zmień sposób zachowania, bo nie dasz jej rady. Wykaż więcej chęci do współpracy.

Linc zamrugał oczyma. Współpraca z kłusownikami nie leżała w jego naturze. Jeśli ktoś zagrażał rezerwatowi lub zwierzętom, był ostatnią osobą, którą Tyler zaprosiłby do domu. A ta piękniejsza z Południa z całą pewnością była takim szabrownikiem. Zatem stanowiła zagrożenie dla jego parku. Najgorszy rodzaj szkodnika: biurokrata opętany myślą o ważności własnej misji.

- Czyżby to ona? - Wyrwał go z rozmyślań głos Bobby'ego. Chłopak wskazywał wychodzącą właśnie z samolotu postać.

Linc przystawił nos do szyby, wpatrując się w ciemność rozjaśnianą potężnymi reflektorami z terminalu. Następnie spojrzął wyczekująco w stronę Jima.

- Co, nie pamiętasz już, jak wygląda? - spytał Jima niepewnie wyglądającego przez okno.

- Jak sam widzisz, słońce oślepiająco nie świeci - odwarknął Jim. - Poza tym ludzie tak się kotłują, że nie odróżniłbym jej od własnej bratanicy.

Oczy trzech mężczyzn wlepione były w postać kobiety, która powoli schodziła po schodkach. Niosła dwie walizki. Bagaże ważyły pewnie więcej niż ich właścicielka, która co kilka stopni musiała przystawać i poprawiać ciężkie pakunki. W pewnej chwili podmuch arktycznego wiatru zakolysał trapem. Kobieta oparła się mocno o barierkę. Wiatr rozwiał połę jej płaszcza ukazując parę kształtnych ud i smukłych łydek w pantofelkach na wysokich obcasach.

Bobby gwizdnął z uznaniem.

- Człowieku, to nie tylko dwie walizy.

- Dwie walizy? - spytał Jim, nie odrywając wzroku od kobiety.

- Cóż, to naprawdę wygląda groźnie. - Ponownie gwizdnął Bobby. - Popatrz na te nogi. Towar prima. Być" może powinienem odłożyć wyjazd na wakacje.

- Albo wynieść się stąd na dobre - odpalił Linc, obserwując nowo przybyłą.

Jim pominął tę uwagę milczeniem i tylko jego pobrużdżona twarz wykrzywiła się w ironicznym uśmiechu. Poklepał Lincę po ramieniu, roześmiał się i mruknął:

- Lepiej zapnij kurtkę i nałóż czapkę, bo ona już zeszła z trapu. Wygląda na to, że potrzebuje pomocy, i ty musisz się tym zająć.

- Cudownie - wymamrotał Linc i ruszył zdecydowanym krokiem do drzwi wiodących do poczekalni. Na jego twarzy malował się taki wyraz, że młody pracownik lotniska nie próbował go nawet zatrzymać. Lincowi nie przyszło do głowy, że postępuje wbrew przepisom. Zawsze zresztą robił, co chciał. Jedną z zalet samotnego życia było to, że niewielu ludzi usiłowało odwieść go od robienia rzeczy, które lubił.

Na razie miał przed sobą jeden cel. Chciał znaleźć sposób pozbycia się tej baby. Obserwował, jak posuwa się po oblodzonym pasie startowym. Postanowił zastosować się do rady Jima i nie okazywać jej wrogości.



Każdy zorientowałby się natychmiast, że Charlotte Madison jest kompletnie nie przygotowana do panującej tu zimy. A Linc w tej krainie spędził całe życie. Pełne trzydzieści cztery lata.

Popatrzył na jej buty. Chryste Panie! - pomyślał. Czyż można być aż tak głupią?

I wtedy się poślizgnęła. Przed chwilą jeszcze chwiała się, zaciskając kurczowo dłonie na uchwytych walizek. Poły jej płaszcz furkotały na wietrze jak oszalałe. W następnej sekundzie dziewczyna leżała już na plecach. Poprzez gwizd wiatru dobiegł Linca rozpaczliwy okrzyk. Zapominając o wszystkim, rzucił się na pomoc.

Chyba straciłam rozum, pomyślała Charlotte Madison, leżąc na pasie startowym. Wiatr chłostał jej twarz śniegiem. Kiedy Tom zaproponował wyjazd na Alaskę, Charlie aż podskoczyła z radości. Teraz gorzko żałowała, że w ogóle otworzyła usta. W każdym razie powinna zadać kilka dodatkowych pytań. Uwielbiała trudne, skomplikowane zadania, ale żeby zaraz narażać się na śmierć z zimna... Od jednej ze współ-pasażerek usłyszała, że wczesne zmierzchy są tu sprawą normalną. A ta szalejąca zamieć śnieżna, Charlotte nie potrafiła znaleźć innego określenia, to zaledwie lekkie opady.

Lekki! - wybełkotała, ocierając z twarzy szybko gromadzący się na niej śnieg. Sypało na dobre. Tamta kobieta musiała pochodzić stąd. Tylko rodowitemu mieszkańcowi Alaski mogły podobać się takie warunki!

Przez cienki i przewiewny płaszcz zaczęła przesączać się wilgoć. Charlotte ponownie stęknęła. Dziękowała Bogu, że z samolotu wysiadła ostatnia. I tak już w wystarczającym stopniu żenował ją ten nieszczęsny komputer, który taszczyła w walizce. Obrazu nieszczęścia dopełniały głupie buty, o których w Los Angeles tak niemądrze sądziła, że są niebywale praktyczne. Jednym słowem: najbardziej nieudany początek wyprawy.

Wstawaj z tego cholernego śniegu, bo do rana urośnie nad tobą zaspą, rozkazała sobie w myśli. Ba, ale jak tu się podnieść?

- Zamierza pani leżeć tak do świtu? - rozległ się czyjś głęboki, dźwięczny baryton, dobiegający gdzieś ze świata żywych.

Charlie drgnęła. Na myśl, że znalazł się świadek jej niefortunnego upadku, dziewczynę ogarnęła czarna rozpacz. Zamrugła oczyma, strząsając z rzęs płatki śniegu. Przez chwilę nic nie widziała, tylko biel.

Potem, tuż przed własnym nosem, ujrzała parę solidnie schodzonych, ale bardzo praktycznych butów z napisem „Sorrels”. Wzrok dziewczyny powędrował powoli w górę, wzdłuż bardzo długich nóg w dżinsach. Zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Rozpięta do połowy kurtka z kozłej skóry oraz spłowiła, niebieska flanelowa koszula, kryły potężną klatkę piersiową. Charlie prawie ze strachem przeniosła wzrok wyżej.

Czysta, skondensowana męskość!

Cóż to za facet? - pomyślała. Jakiś z Hulk Hogan z Alaski?

- Dobrze się pani czuje? - spytał nieznajomy.

Nie, dzwonię po pogotowie! Biorąc głęboki oddech, Charlie znów popatrzyła w górę. Napotkała najbardziej niebieskie i najzimniejsze oczy, jakie widziała w życiu. Mężczyzna stał z gołą głową. W brązowych włosach i brodzie skrzyły się topniejące płatki śniegu. I najwyraźniej był wściekły.

- Nic mi nie jest, naprawdę. Zaraz wstanę.

Przez kilka niezdolnie długich sekund przyglądał się, jak Charlie próbuje podnieść się z ziemi, po czym gwałtownie chwycił dziewczynę za łokieć i, z siłą zdolną wypchnąć ją na orbitę, postawił na nogi.

A ja powinnam mu jeszcze za to podziękować, pomyślała z goryczą, kiedy stanęła już bardziej pewnie na oblodzonym pasie startowym. Wyrwała z uścisku ramię. Zrobiła krok do tyłu, poślizgnęła się i Hulk ponownie musiał złapać ją za rękę.

- Sakramenckie buty - burknęła Charlie.

- No cóż, przynajmniej w jednym jesteśmy zgodni. Dziewczyna obrzuciła go wściekłym wzrokiem, ale w tej

samej chwili mróz dał znać o sobie i zaczęła gwałtownie drzeć, co popsulo cały efekt. Rozgoryczona, odwróciła się w stronę walizki z komputerem. Miała nadzieję, że mężczyzna zrozumie aluzję i wreszcie się odczepi. Ale podobne subtelnosci były mu obce.

- Poniosę - rzucił beztrasko, sięgając po nieporęczny komputer.

Nie poprawiło to wcale nastroju Charlie. Potem rozejrzał się za drugą walizką, podszedł do miejsca, gdzie leżała, i z łatwością ją uniósł. Po drodze zgarnął z ziemi kapelusz, który właśnie porywał wiatr.

- Proszę posłuchać...

Mężczyzna bezceremonialnie wcisnął kapelusz na głowę dziewczyny.

- Przywitamy się w środku - oświadczył i ruszył w stronę budynku.

- Zaraz... to moje rzeczy...

- Przecież wiem! - nie zatrzymując się odrzyknął przez ramię.

Bezczelność! Za kołnierz Charlotte spływały strumyki lodowatej wody. Moje włosy, pomyślała dziewczyna. Zupełnie zniszczył mi fryzurę! Charlie była tak wściekła, że przez chwilę nie wiedziała, co ma robić. Wspomnieć coś o chamstwie? Przecież to prostak! Nie ma co strzepić sobie języka. Czy wszyscy mężczyźni na Alasce są właśnie tacy? Skąd się to bierze? Z jedzenia? A może ma na to Wpływ klimat? Może izolacja stanu od reszty państwa sprawia, że żyją tu sami szowiniści? Słyszała, że jeśli ktoś zamieszka raz na Alasce, rzadko kiedy i bardzo niechętnie ją opuszcza.

I pomyśleć, że w pierwszej chwili wydał mi się taki atrakcyjny, parsknęła w duchu. Najwidoczniej ogarnęło mnie chwilowe szaleństwo spowodowane wychłodzeniem komórek mózgowych, zdecydowała Charlie, podążając za mężczyzną. Każdy wie, że kiedy opada ciepłota ciała, serce szybciej

pompuje krew. Zapewne nastąpiło u mnie w głowie jakieś krótkie spięcie.

Kiedy wkroczyli wreszcie pod dach, dziewczyna była przemoczona i wściekła. Zdarła z głowy kapelusz i zaczęła strząsać wodę z włosów i płaszcza.

- Cześć, Charlie!

Rozejrzała się. Ku swej uldze spostrzegła, że Hulk gdzieś zniknął.

- Jim Brandon? Wreszcie spotykamy się osobiście. Wygląda pan dokładnie tak samo, jak na ekranie telewizyjnym.

Jim z uśmiechem potrząsnął dłonią nowo przybyłej.

- Traktuję to jako komplement, Charlie. - Wskazał ręką w prawo. - To jest Bobby Hurns. **Jeden** z naszych najmłodszych pracowników. Szczęściarz, wyjeżdża właśnie na wakacje na Hawaje.

- Brzmi to zbyt pięknie, aby mogło być prawdą - odparła dziewczyna, podając rękę młodemu człowiekowi.

Cała trójka ruszyła w stronę schodów. Bobby niósł jej walizki. Z jakichś względów nie przeszkadzało jej, że to młodzieniec dźwiga komputer. Ale tamten typ! Charlie wzięła głęboki oddech, by opanować gniew, i skupiła uwagę na swych towarzyszach.

- Powiedz, czy wszyscy mężczyźni na Alasce mają brody i kasztanowe włosy?

Bobby roześmiał się i odruchowo przyglądził okazały zarost

- Czuję, że mamie nie przypadnie to do gustu. Ale cóż. Oni są z Hawajów.

Charlie skinęła głową, jakby zgadzała się z tym rozumowaniem.

- Czy tutaj o szesnastej trzydzieści zawsze jest już ciemno?

- W lutym tak - odpowiedział Jim, przepuszczając ją przodem w kierunku ruchomych schodów. - Ale w styczniu dzień jest jeszcze krótszy.

- Masz szczęście - dodał Bobby. - Teraz już przybywa dnia.

I znów Charlie skinęła głową. Nie była wprawdzie przyzwyczajona do tego, by wyliczać sobie długość dnia, ale widać na Alasce panowały inne obyczaje.

- Linc odbierze twój bagaż i umieści go w samochodzie. Zawiozę cię do hotelu „Captain Cook”, gdzie będziesz się mogła przebrać i odpocząć. Później pójdziemy na kolację. Odpowiada ci?

- Świetnie - odparła. Domyśliła się, że Linc to kolejny pracownik Jima. - Ale jak pozna, który bagaż jest mój?

- Zapewne tylko twoje rzeczy krążą jeszcze na pasie transmisyjnym. Nie martw się, wszystkiego dopilnuje.

Zadowolona Charlie uśmiechnęła się. Była przemoczona, po plecach przebiegały jej dreszcze i bardzo niechętnie czekałaby na bagaż.

- Czy on też będzie na kolacji? - spytała, a kiedy Jim potakująco skinął głową, dodała: - No cóż, wtedy mu podziękuję.

## Rozdział 2

Trzy godziny później Charlie wynurzyła się z windy na najwyższym piętrze hotelu „Captain Cook”. Choć wzięła gorącą kąpiel, ciągle było jej zimno. Nałożyła wprawdzie golf zamiast zwykłej koszulowej bluzki, ale mimo to przejmowała ją grozą myśl, że nawet tu, w hotelu, ciągle jest jej chłodno. Zatrzymała się na chwilę w foyer restauracji „Crow's Nest”. Rozejrzała się z ciekawością po lokalu, przyzwyczajając wzrok do panującego tam półmroku. Zakonotowała w pamięci eleganckie meble i olbrzymie okna, które zapewniały podczas posiłku wspaniały widok na spowite śniegiem Anchorage.

Podczas krótkiej jazdy z lotniska do hotelu Jim opowiadał o mieście. Mimo zalepiającego szyby samochodu śniegu Charlie zorientowała się, iż Anchorage jest średniej wielkości miejscowością. Widziała po drodze stacje benzynowe i eleganckie sklepy, trzypasmową autostradę i wyglądającą bardzo nowocześnie dzielnicę prywatnych rezydencji. Dostrzegła nawet bar McDonalda. Ale już przekraczający majestatycznym krokiem autostradę łoś należał wyłącznie do świata Alaski. Również oswojony renifer, który stał na podwórzu niewielkiego domku w centrum miasta.

Zmartwił ją telefon od Jima, przepraszającego, że nie może przyjść na kolację. Podobno jednak pracownik, którego przyśle, równie wyczerpująco odpowie na wszystkie jej pytania. Charlie miała nadzieję, że Lincoln Tyler okaże się nie mniej sympatyczny od swego szefa. W przeciwnym razie czekałyby ją cztery długie i bardzo ciężkie tygodnie.

- Jest wysoki, o falistych kasztanowych włosach i bujnej brodzie - wyjaśnił Jim. Charlie roześmiała się i odparła, że sama nie wie czemu, ale spodziewała się takiej właśnie aparycji. No cóż, miała tylko nadzieję, że on rozpozna ją pierwszy.

W barach zawsze czuła się nieswojo. Z doświadczenia wiedziała, że na jej widok mężczyźni zazwyczaj przerywają

rozmowy, odstawiają drinki, odwracają głowy i bezczelnie się na nią gapią. Dlatego nie cierpiała barów.

Sama Charlie dobrze wiedziała, co o sobie sądzić. Uważała się za przeciętną i nieskomplikowaną. Nie była ani niska, ani wysoka: ot, taka sobie, średnia. Brązowe, gęste, długie do ramion włosy wiązała z tyłu, gdyż rozpuszczone psuły nieco wizerunek dziewczyny pracującej. Uświadamiały jej klientom, przeważnie mężczyznom, że mają do czynienia z kobietą, i wielu z nich nie traktowało jej serio. Dlatego też zmieniła swoje imię z Charlotte na Charlie. Charlie mężczyźni szanowali, Charlotte próbowali wykorzystywać.

Kiedy jednak weszła do środka, musiała przyznać, że bar jest sympatyczny. Dużo ludzi, zaniepokoiła się i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu kogoś, kto odpowiadałby opisowi, jaki podał Jim.

Zauważyła dwa stoliki, przy których siedzieli samotni mężczyźni. Nie potrafiła rozpoznać ich twarzy, bo odwrócenie byli do niej plecami. Obaj wysocy, o kasztanowych, lekko kręconych włosach i brodach. W pewnej chwili jeden z nich odwrócił się i spojrzał na nią obojętnie. Charlie natychmiast skreśliła go z listy. Z całą pewnością czekał na kogoś innego. Skupiła uwagę na tym drugim. Po krzyżu przeszedł jej dreszcz.

Nie! To niemożliwe! Przeróżające! Jak urzeczona gapiała się na samotną postać przy stoliku. Szerokie ramiona, a pod spłóviała flanelową koszulą potężne bicepsy. Rękawy miał podwinięte do łokci, a nogi opinały mu dżinsy. Serce dziewczyny zaczęło walić jak młotem. Tych nóg nie zapomnia nigdy.

Dlaczego mnie to spotkało? Charlie szła w kierunku stolika. I co teraz?, myślała z rozpaczą. Czy ma po prostu podejść i udawać, że na lotnisku nic się szczególnego nie wydarzyło? Czy zdoła zapanować nad sobą przez cztery długie tygodnie? Czy musi być taki cholernie męski?!

Mężczyzna przy stoliku najwyraźniej poczuł na sobie jej wzrok, gdyż odwrócił się w stronę przybyłej. To był on - Hulk albo Dzikus z Północy. Kiedy popatrzył na nią, oczy mu się zwięzły. Pod wpływem tego wzroku Charlie zadrżała lekko, ale natychmiast odzyskała nad sobą kontrolę i przesłała obcemu olśniewający, zawodowy uśmiech.

- Dobry wieczór, panie Tyler.

- Skończmy z tą galanterią, Madison. Jak pani się pewnie domyśla, nie budzi pani mojej szczególnej sympatii. Czym może pani wytłumaczyć swoją obecność? Przecież nie ma pani zielonego pojęcia, na czym polega prowadzenie tak dużego parku jak Denali...

- Panie Tyler - przerwała mu Charlie, zdecydowana przejąć inicjatywę.- Nie uczestniczył pan w telekonferencji w zeszłym tygodniu, prawda? - Charlie aż za dobrze wiedziała, że nie, ale za żadne skarby nie chciała dać mu do zrozumienia, że zapamiętałaby jego twarz.

- ...to ponad dwa miliony czterysta tysięcy hektarów... Co? - urwał, przeciągnął szybko palcami po gęstej brodzie i przeniósł dłoń na kark. - Ja... no, cóż... myślałem, że Jim pani już mówił. O wszystkim dowiedziałem się dopiero dziś rano.

- Dziś rano?

To było coś nowego. Może więc nie należało go specjalnie winić za to, że jest taki zły. Pamiętała przecież, jak nieufni byli na początku inni strażnicy rezerwatów. Ale nic nie usprawiedliwiało jego chamstwa na lotnisku.

- Niech pani posłucha, cały zeszły tydzień panowały straszne warunki atmosferyczne... było kilka wypadków... papierami zajmował się Jim i o pani przyjeździe powiadomił mnie dopiero dziś.

Nie cierpi się tłumaczyć, pomyślała Charlie. Świetnie się pod tym względem dobrali. Jak dwie krople wody. Patrzyła mu w oczy.



- W zeszły piątek mój szef, Tom Ames, i ja odbyliśmy telekonferencję z personelem w Anchorage. Przedyskutowaliśmy kwestię metod pracy i dokumentów potrzebnych mi do przeprowadzenia konsultacji. Odpowiedzieliśmy też na pytania waszych ludzi.

- I co, były jakieś?

- Naturalnie. Kilkanaście.

Strażnicy, z którymi rozmawialiśmy, wyrazili niepokój w związku z wysokością dotacji państwowych na rzecz parków, a w szczególności parków na Alasce. Na początku wszyscy przeciwni byli studiowaniu tego zagadnienia, łącznie z Brandonem, pańskim szefem.

- Ale w końcu na to przystał? - spytał po chwili wahania Linc. Bingo!

Wiedziała, że w ciągu najbliższych minut wyjaśni się, w jakiej atmosferze przebiegać będzie jej praca tutaj.

- Panie Tyler, czy mogę się przysiąść do pańskiego stolika i wszystko dokładnie wyjaśnić?

Zajęła miejsce naprzeciwko, zaczerpnęła tchu i uśmiechnęła się.

- Zaczniemy od początku. Nazywam się Charlotte Madison. - Mimo że cały czas spoglądał na nią sceptycznie, wzięła kolejny oddech i wyciągnęła rękę.

Charlotte. Linc popatrzył na nią uważnie i spostrzegł, iż ma nieprawdopodobnie długie rzęsy. Przestraszył się. Nie potrzebował wcale kłopotów. Półmrok nie pozwalał mu określić koloru oczu dziewczyny, ale nie umknęło jego uwagi podniecenie, jakie się w nich malowało. Była piękna i najwyraźniej dumna. Kiedyś tego właśnie szukał w kobietach i był na tyle romantyczny, by wierzyć w prawdziwą miłość. Te czasy jednak należały już do zamierzchłej przeszłości. Kobieta, która wygląda jak Charlotte Madison, nie wytrwa tu dłużej niż miesiąc, a cóż dopiero marzyć o całym życiu. Świadczyły o tym choćby te cholerne wysokie obcasy.

Ujął wyciągniętą dłoń i zdziwił go jej nadspodziewanie silny uścisk. Linc odchylił się i rozparł na krześle. Czuł, że kobieta zastawia na niego pułapkę, i natychmiast postanowił zaatakować.

- Proszę powiedzieć mi coś bliższego o pani studiach. Słyszając tak arogancki, rozkazujący ton, Charlie zjeżyła się.

Spoglądał na nią spod przymkniętych powiek. Badał ją oczami jak łowca swoją ofiarę, spokojnie, czujnie.

- Kilka miesięcy temu firma Brown Handleman została wynajęta...

- Brown Handleman?

- Przedsiębiorstwo, w którym pracuję, panie Tyler.

- Aha, w porządku. Słucham dalej.

Charlie pomyślała, że nie zetknęła się dotychczas z nikim tak irytującym.

- Jak już powiedziałam, firma Brown Handleman została wynajęta przez Departament Ochrony Przyrody, by ocenić system finansowy parków narodowych i metod zarządzania nimi. Mnie powierzono teren Alaski, szczególnie Narodowego Parku Denali.

- De-na-li - wycedził niemal obraźliwie.

- Przepraszam, Denali - powtórzyła, tłumiąc w sobie niechęć.

- Jak pan wie, w zeszłym roku departamentowi obcięto budżet - Zamilkła na chwilę. Linc skinął głową. - No cóż, w tym roku Brown Handleman ma ustalić dokładnie, gdzie i jak wprowadzić te cięcia.

- Zakładam, że pani firma nie robi tego za darmo. Obcinacie nam budżet, a za zarobione pieniądze podwyższacie sobie pensje. Bo o to w sumie chodzi, prawda? - Linc pochylił się nad blatem okrągłego stolika. - Mój park cierpi na brak pieniędzy. Zwierzęta mają za sobą kilka niezwykle ciężkich zim, a wy, biurokraci, siedzicie sobie w sterylnych, wygodnych biurach i kombinujecie, jak zbić jeszcze trochę szmalu.

Charlie w pierwszej chwili chciała wstać, wyjść z lokalu, a potem opuścić Alaskę. Ale nie była kimś, kto łatwo daje za wygraną. Skoro Linc pragnie grać ostrą piłką, ona przyjmie jego warunki.

- Panie Tyler, nie potrzebuję pańskiego zezwolenia. Nie potrzebuję również pańskiej współpracy. Ale radzę - radzę, nie proszę - by dobrze się pan zastanowił, zanim doprowadzi do tego, że będę pracować sama. Jeśli zbiorę niewłaściwe dane lub przeoczę jakieś istotne szczegóły, to nie ja na tym stracę, a pan. A właściwie pański park.

Uniósł brwi. Najwyraźniej nie spodziewał się ze strony dziewczyny takiej stanowczości.

- Chce mnie pani przekonać, że powinniśmy działać razem?

Charlie skinęła głową. Nie była wcale tak pewna siebie, by otwarcie posłać go do diabła.

- Działać wspólnie? Panno Madison, nie mydlmy sobie oczu. Oboje dobrze wiemy, że i tak przeprowadzicie cięcia jakie chcecie, i moja opinia nie będzie miała tu nic do rzeczy.

Charlie wzruszyła ramionami.

- Zbieram informacje. To moja praca. Pan jest strażnikiem, to pańska praca. Jeśli nie nada pan właściwego kierunku moim badaniom, mogę popełnić błędy. I wtedy dziedziny, które naprawdę potrzebują dotacji, zostaną pominięte lub nie docenione. Niech pan to sobie dobrze przemyśli.

Spojrzał jej głęboko w oczy i Charlie była pewna, że rozważa to, co powiedziała.

- I jest pani zdecydowana doprowadzić do końca swoją pracę? Z moją pomocą lub bez niej?

- Naturalnie. Mówiłam, że nie potrzebuję pańskiego zezwolenia czy pańskiej współpracy. Z pana pomocą po prostu będzie mi dużo łatwiej... - przełknęła ślinę - ...ale tak czy siak powierzone mi zadanie muszę doprowadzić do końca. A pan, przez swój up... brak chęci współpracy tylko na tym straci.

- Czy departament określił konkretnie, w których dziedzinach chce przeprowadzić cięcia budżetowe?

Charlie wahała się tylko sekundę, ale Linc to spostrzegł. Oczy mu się zwięzły.

- Określił, prawda? Jakie to dziedziny, panno Madison?

- No cóż... wydaje mi się, że departament bardzo potrzebuje informacji, które właśnie ja mam zgromadzić.

- Panno Madison, takie dyplomatyczne bzdury proszę zostawić swoim kolegom urzędasom. Ja chcę od pani szczerości. Dokładnie, jakie fundusze mają zamiar obciąć?

- Podobne do moich badania w innych parkach narodowych wydają się wskazywać na ratownictwo i liczbę personelu etatowego. Ale proszę nie traktować tego dosłownie.

- Charlie uniosła rękę. - I niech pan nie zapomina, że każdy park będzie traktowany jako odrębna jednostka, posiadająca określone, specyficzne potrzeby. Może pan nie wierzyć, ale nikt nie chce niszczyć naszych parków narodowych.

Pochyliła się, w jej zielonych oczach malowało się zakłopotanie i szczerość.

- Z tego, co wiem, parki na Alasce posiadają szczególne znaczenie. Przede wszystkim nie są to jedynie ośrodki nastawione na turystykę masową. Stanowią rezerwaty gatunków zwierzyny, które w pozostałych czterdziestu ośmiu stanach dawno już wyginęły. Nigdy dotąd nie było to jeszcze brane pod uwagę. Sądzę zresztą, że istnieje kilka innych, nie uwzględnianych dotychczas elementów. A ponieważ zamierzam swoje zadanie wykonać jak najsumienniejszy, jestem przekonana, że jeśli pan uczciwie podzieli się ze mną swoją wiedzą i przekaze uwagi, osiągniemy dużo lepsze rezultaty. Jeśli z niewiedzy wstawię do komputera jakieś bzdury, wynik też będzie zły. Komputer to tylko maszyna i nie można od niego oczekiwać cudów.

Linc zacisnął usta w wąską linię i Charlie zrozumiała, że mężczyzna z największym trudem panuje nad sobą.

- Czy pani naprawdę w to wierzy, że te osły od finansów, raz powziąwszy decyzję, tak łatwo zmieniają zdanie? Może nie jestem żadnym znawcą, lecz wiem, że gdyby pani poświęciła trochę czasu i spróbowała sobie przypomnieć, ile razy urzędnicy skarbowi zmieniali swoje pierwotne opinie, szybko doszłaby do wniosku, że tylko traci czas.

- Woli pan zatem od razu przyznać, że nie potrzebuje aż tylu pracowników zatrudnionych na pełnym etacie?

- Do diabła, nie!

- Lub też, że ratownictwo jest mniej istotne od codziennych, rutynowych zajęć?

- Niech pani nie będzie śmieszna.

- Jaki zatem ma pan wybór? Jaki wybór mamy oboje?

Charlie wiedziała już, że on ustąpi. Zbyt zależało mu na parku i zwierzętach! Niemniej decyzję o współpracy z nią musi podjąć sam.

- Sam nie wiem - odezwał się w końcu Linc. - Zdaję sobie sprawę, że siedząc beczynnym działam jedynie na własną szkodę, ale jakoś nie mieści mi się w głowie, by jakiegokolwiek posunięcia z mojej strony mogły przynieść skutek. Biurokraci, którzy podejmują decyzje, nie byli na Alasce, nie znają Denali i wszystko to w sumie niewiele ich obchodzi. Same liczby nie zapewnią Denali sprawiedliwej oceny.

Charlie skinęła głową.

- Są przecież filmy. Linc zamrugał oczyma.

- Co, proszę?

- Filmy. Wiem, najlepiej by było, gdyby ludzie z Departamentu Ochrony Przyrody przybyli do Denali osobiście. Ale to nierealne. Zatem bardzo dobrym rozwiązaniem może okazać się taśma filmowa. Współpracowałam kiedyś z Biurem Turystyki w Anchorage i wiem, że istnieje kilka znakomitych filmów o Denali. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zamierzam

zrobić, to wszystkie je obejrzyć i, jeśli zajdzie taka konieczność, dołączyć do mego końcowego raportu wybrane fragmenty. Te, które najlepiej ilustrują, czym jest dzisiaj park.

Oczy mężczyzny rozszerzyły się.

- To znaczy...

- Podać państwu coś do picia?

Lekko zdezorientowany Linc popatrzył na kelnerkę.

- Nie, dziękujemy. Przyszliśmy na kolację. Wstał i sięgnął do tylnej kieszeni po portfel.

- Proszę, reszty nie trzeba - oświadczył i ruszył z Charlie do sali restauracyjnej.

Idąc za dziewczyną, Linc wdychał woń perfum i zastanawiał się, w jaki sposób mogła ona zostać konsultantem. Nieoczekiwanie zapragnął poznać ją bliżej. Ale co by to dało?

Pomyślał smętnie, że w jego świecie nie ma miejsca dla Charlie. I nigdy nie będzie.

Urodzony i wychowany na Alasce, miał smutne dzieciństwo. Potem przyszła samotna dorosłość. Skończył studia, ale nic nie przychodziło mu łatwo. Życia uczył się w skomplikowany, czasem okrutny sposób.

- Czego się pani napije? - spytał, gdy zajęli już miejsca przy stoliku.

- Szkoocką - powiedziała, odwracając wzrok od jego surowej twarzy. Kiedy szli przez wyłożone dywanem foyer do restauracji, Charlie była aż nadto świadoma jego obecności.

Linc pochylił głowę.

- Chyba zbyt pochopnie przypiąłem pani etykietkę.

Na policzki Charlie wystąpiły rumieńce, ale wzruszyła ramionami i odparła obojętnie:

- To był ciężki dzień. Ta podróż samolotem...

- A i ja niczego nie ułatwiłem. Pewnie pani sądzi, że czekają ją cztery okropne tygodnie.

Jego niebieskie tęczęwki nie były już lodowate. Miały barwę czystej, głębokiej akwamaryny. Dziewczynie zabiło mocniej

serce. Popatrzyła na Linca przez szerokość stolika, przez chwilę spoglądała mu w oczy, po czym przeniosła wzrok na widok za oknem.

Ale nie udało się jej zwieść mężczyzny. Szybkie, taksujące spojrzenie, jakim obrzuciła go Charlie, powiedziało mu więcej niż jej milczenie. Ani ona z nim, ani on z nią nie znajdą wspólnego języka.

- Panno Madison - oświadczył oschle Tyler. - Proszę posłuchać. Mówiła pani ze mną szczerze, przedstawiła sprawę bez ogródek i za to jestem wdzięczny.

Charlie ogarnęło jakieś niezrozumiałe zadowolenie. Rozparła się na krześle i spojrzała na niego z uwagą.

- Doszedłem do wniosku, iż najkorzystniej będzie dla mnie, jeśli zawrę z panią układ. Proszę tylko nie zrozumieć

moich słów ile - zastrzegł się, obserwując grę światła na jej kasztanowych włosach. - Największą radość sprawiłaby mi pani pakując manatki i zabierając się stąd jak najszybciej. Ale to niemożliwe. Zatem z dwojga złego wolę już mieć do czynienia z takim cheechako jak pani niż z jakimś całkiem pozbawionym wdzięku i niesympatycznym statystykiem. Jak sama pani zauważyła, mój park ma specyficzne potrzeby i wymagania. To rzeczywiście rezerwat dzikiej zwierzyny i nie będę tolerować bandy urzędasów, która w jednej chwili zniszczy wyniki wieloletniej ciężkiej pracy.

Serce Charlie zabiło na ten niezbyt wyszukany komplement. Był najmilszy spośród wszystkich, jakie usłyszała w ciągu swoich dwudziestu sześciu lat życia. Wytrącił ją z równowagi. Zarumieniła się.

- Zgoda, panie Tyler. Proszę więc o kilka informacji. Zacznijmy od cheechako. To słowo indiańskie, prawda?

Kiedy pojawiła się kelnerka z drinkami i kartą, Charlie przesłała jej promienny uśmiech, po czym zbliżyła szklaneczkę do ust. Dziewczyna zasadniczo nie piła alkoholu. Ale teraz. .. no cóż, tego wieczoru bardzo potrzebowała mocniejszego trunku.

- Tak, zgadza się. - Oczy Linca zwęziły się. - Można to przetłumaczyć jako konsultant.

Charlie zakaszlała i wytarła serwetką kąciaki oczu.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Coś utkwiło mi w gardle. A więc cheechako znaczy konsultant?

Linc prawie zachłysnął się drinkiem.

- Cheechako to odpowiednik gringo z Meksyku. Teraz już pani rozumie?

- Och, aż za dobrze. Zatem sądzi pan, że jestem...

- Nie, nie sądzę, panno Madison. Ja wiem!

- I co pan jeszcze wie?

- Wiem, że nie przebywała pani w zimnym klimacie.

- Z powodu butów?

- Miedzy innymi.

Charlie zapragnęła, by z jego przystojnej twarzy zniknął ten uśmiezek samozadowolenia. Sądziła, że doszli do jakiegoś porozumienia, a on znowu zmuszają do obrony.

- I czego jeszcze?

- Tego czerwonego, co nosi pani na sobie.

- Tego czerwonego? Ma pan na myśli palto?

- Nazywa to pani paltem? Może na Hawajach byłoby to palto. Ale teraz jest luty, nie czerwiec. Ponadto idę o zakład, że pani rękawiczki nie mają podszewki. Odmrozi sobie pani ręce. A zabrała pani jakąś solidną czapkę? Mieszkańcy Alaski wiedzą, że z powodu gołej głowy traci się ponad sześćdziesiąt procent ciepła.

Charlie otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale natychmiast je zamknęła. Wiedziała, że najlepszą obroną jest atak. Ale na to przyjdzie czas później. Teraz nic się nie stanie, jeśli na początku przyzna się do kilku błędów.

- Zgadł pan, panie Tyler. Rękawiczki mam bez podszewki, ale czapkę wzięłam porządną.

W przyćmionym świetle Linc studiował twarz dziewczyny.



- Doprawdy, to zdumiewający rys charakteru jak na... biurokratę - mruknął.

W jego głosie usłyszała nutę prawdziwego zdziwienia. Była również pewna, że Linc chciał powiedzieć, kobietę". Czyżby Lincoln Tyler już się kiedyś sparzył? Ale życie osobiste tego mężczyzny nie było sprawą Charlie.

- Nie jestem biurokratą - odparła z uporem. - Po prostu rząd wynajął firmę Brown Handleman i tak się złożyło, że do tego zadania wyznaczono mnie.

Do stolika podszedł kelner, przerywając ich rozmowę.

Linc szybko złożył zamówienie i obserwował Charlie, długo studiującą menu. Zastanawiał się, jakie on sam zrobił na niej wrażenie. W każdym razie gratulował sobie w duchu, że

nie dał się wziąć na lep jej okolonych długimi rzęsami oczu. Bał się związać z kimś, kto mógłby zniszczyć jego życie. Raz już wplątał się w podobną sytuację i solennie obiecał sobie, że nigdy więcej takiego błędu nie powtórzy. Jednego był pewien. Analiza funkcjonowania parku jest nieunikniona i jeśli nawet uda mu się jakoś pozbyć panny Madison, na jej miejsce przybędzie ktoś inny, zapewne dużo gorszy. Wygląda na to, że Charlotte jest mu życzliwa i da sobą kierować. Reszta zależy już od niego.

## Rozdział 3

Głośny dzwonek telefonu wyrwał Charlie ze snu. Po omacku znalazła słuchawkę.

- Halo?

- Charlie? Tu Tom. Jak ci leci? Tylko nie mów, że marzną ci nogi, bo tym razem nie masz wymówki.

Charlie skrzywiła się, przekręciła w pościeli i popatrzyła na oświetloną tarczę radiowego zegara.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jest szósta rano?

- Jaki jest ten... zaczekaj, mam gdzieś zapisane jego nazwisko... - Charlie usłyszała szelest papierów. Odgarnęła włosy z twarzy i włączyła nocną lampkę. - O, mam. Jesteś tam?

Charlie często odnosiła wrażenie, że Tom traktuje ją bardziej jak córkę niż podwładną. Ale ostatecznie pracowali już ze sobą bardzo długo i Tom stał się kimś więcej niż jej szefem.

Był przyjacielem, powiernikiem, a po tym, co wydarzyło się przed siedmioma laty, mogła nazywać go nawet swoim zbawcą. Uśmiechnęła się na tę myśl.

- Tak, Tom. Słucham.

- Tyler. Lincoln Tyler. Jaki on jest?

Charlie usiadła na łóżku, na policzki wystąpiły jej rumieńce.

- Tyler? W porządku. Dam sobie z nim radę.

- Co masz na myśli? - W słuchawce zadudniło tak głośno, że słyhać było w całym pokoju.

- Tom...

- Ten facet nie ma nic do gadania. Rozumiesz? Jeśli będzie robił jakieś trudności, traktuj go z góry, a jeśli mimo to spróbuje ci przeszkadzać...

- Nie utrudnia! - Charlie podniosła głos. - Nie sprawia kłopotów. Wiem, bo byłam z nim wczoraj na kolacji. Może to i twardy facet, ale tylko dlatego że martwi się o swój park. Kiedy już wspólnie przystąpimy do pracy i przekona się, o co tu naprawdę chodzi, zmięknie. Tak zawsze bywa.

Wyobraziła sobie Toma, jak siedzi za swoim biurkiem, na którym piętczą się w nieładzie papiery. Tom określa to mianem „zorganizowanego bałaganu”. Uśmiechnęła się.

- No cóż, to już twój problem - mruknął mężczyzna. - Tylko nie daj sobie wejść na głowę. Typki pokroju Daniela Boone'a to twardzi chłopcy.

Kto lepiej ode mnie może to wiedzieć, pomyślała Charlie.

- Dam sobie radę, Tom. Nie martw się.

- To dobrze. W liście poinformowałem go, że wysyłamy naszego najlepszego agenta.

Charlie roześmiała się i naciągnęła na siebie kołdrę.

- Tak napisałeś? Świetnie, dzięki. To bardzo mi pomoże. Na Toma zawsze mogła liczyć. Gdy miała dziewiętnaście

lat, musiała po drugim roku zrezygnować ze studiów, by pójść do pracy i utrzymać rodzinę. Tom zaproponował jej wtedy

posadę w firmie Brown Handleman, a kiedy wybuchła afera z Donem Howellem, ponownie podał jej pomocą dłoń. Charlie westchnęła. Tak, Tomowi zawdzięcza tyle, że nie wiadomo, czy kiedykolwiek zdoła mu się odwdziżyć.

- Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, a w razie jakichś kłopotów, dzwoń - dobiegło ze słuchawki.

- Oczywiście, Tom. I jeszcze raz dzięki.

Kiedy już odkładała słuchawkę, usłyszała jego wrzask:

- Charlie? Halo, Charlie, nie rozłączaj się!

- O co chodzi?

- Zapomniałem dodać, że dzwonili twoi bracia. Powiedziałem im, że będę dziś z tobą rozmawiał. Mają teraz zimową sesję egzaminacyjną, w związku z czym dużo pracują. A poza tym wszystko w porządku. Coś przekazać?

- Nie, nie trzeba. Tęsknię za nimi.

- To już im mówiłem. Coś jeszcze?

- Chyba nie - roześmiała się. - Widzę, że trzymasz rękę na pulsie.

Charlie powoli odłożyła słuchawkę, ale telefon prawie natychmiast zadzwonił ponownie. A teraz kto? - pomyślała. Czyżby Alaskijczycy w ogóle nie sypiali? Boże drogi, przecież jest sobota, wpół do siódmej rano.

- Halo? - odezwała się poirytowanym głosem.
- Co, wstaliśmy lewą nogą, panno Madison? Ten głos!
- Chce pan o czymś porozmawiać, panie Tyler?
- Cóż, chciałem się upewnić...

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Charlie zmarszczyła brwi, ale zaraz przypomniała sobie, że zamówiła do pokoju śniadanie.

- Tu służba hotelowa, proszę pani.
- Chwileczkę - zawołała, po czym odezwała się do słuchawki:
- Proszę sekundę poczekać, panie Tyler. Przyniesiono mi właśnie śniadanie.

Rozzłoszczona, mruczając coś pod adresem Grand Central Station, Charlie zarzuciła na siebie hotelowy szlafrok i otworzyła drzwi. Gestem wskazała kelnerce stolik, a potem znów podniosła słuchawkę.

- Przepraszam. Teraz zapewne pan powie, że chce wyruszyć wcześniej niż o dziewiątej, jak się umawialiśmy?

Wczoraj uzgodnili godzinę. Charlie specjalnie zamówiła śniadanie na wpół do siódmej, by mieć więcej czasu na przygotowanie.

- Tak. O siódmej trzydzieści. Przynieśli pani śniadanie?
- Przynieśli. - Charlie podpisała wręczony przez kelnerkę rachunek i przesłała jej uśmiech.
- W takim razie i ja dołączę ze swoim. Jedząc ustalimy kilka szczegółów.
- Chce pan... do mnie przyjść? - Jej głos lekko zadrżał.
- Mieszkam na tym samym piętrze, kilka pokoi dalej - odezwał się z lekkim wahaniem.

Choć mówił tonem bardzo uprzejmym, a propozycja sama w sobie była całkiem zwyczajna, po krzyżu Charlie, nie wiedzieć

czemu, przebiegł dreszcz, a serce dziewczyny zaczęło bić żywiej.

- Panno Madison? Co pani na to?

- Nooo... cóż... panie Tyler... Tylko się ubiorę...

- Proszę nie zawracać sobie tym głowy - przerwał jej.

- O ubraniu właśnie chciałbym między innymi z panią pomówić. Zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę.

Szybko posłała łóżko, zapaliła wszystkie lampy i rozsunała firanki. Za oknem panowała jeszcze głucha noc, ale jaskrawe światła miasta rozjaśniały nieco mrok. Pięć minut później, kiedy szczytkowała włosy, rozległo się głośne pukanie do drzwi. Tyler. Przybierając chłodny, zawodowy uśmiech, Charlie wzięła głębszy oddech i otworzyła zamek.

Linc obrzucił ją spojrzeniem i poczuł się, jakby dostał w brzuch kijem baseballowym. Jej włosy! Chryste Parne, to było coś.

Bujne, niezbyt dokładnie zaczesane, lśniące przepyszny brązem. Gdyby potrzebował dowodu na to, iż ta kobieta stanowi śmiertelne zagrożenie dla spokoju jego umysłu, miał go przed oczyma.

- Panie Tyler? - Charlie przesunęła się, chcąc wpuścić mężczyznę do pokoju.

Linc przełknął ślinę. Jak sobie z tym poradzi?

- Panie Tyler? - powtórzyła Charlie, widząc, że mężczyzna się nie rusza. - Coś nie w porządku?

- Nie, nie. Wszystko dobrze - odrzekł przypominając sobie, że trzyma przecież w rękach tacę ze śniadaniem. Ruszył szybko do stolika, na którym stał nietknięty posiłek Charlie.

Linc natychmiast usiadł na krześle.

- Mam nadzieję, że jest pani gotowa na spotkanie z prawdziwą Alaską.

Już ją spotkałam, pomyślała Charlie. Dla niej właśnie Lincoln Tyler był prawdziwą Alaską. Szorstki, gwałtowny, niezależny.

Wdarł się do pokoju niczym śnieżna zamieć, powodując, że dziewczyna zadrżała. Nikt nie nadawał się lepiej niż on do pracy w tak dzikim otoczeniu. Charlie nie miała wątpliwości, że pod jego opieką Denali był dobrze strzeżony. Przyglądała się jego rękom, które sprawnie układały sztuce i przygotowywały stół do śniadania.

- Gdyby zaczekała pani ze swoją pracą do sierpnia, miałyby tu pani słońce i wspaniałe widoki zamiast polarnej nocy - powiedział Linc, by czymś odwrócić uwagę dziewczyny. Położył na kolanach serwetkę. - W pogodny dzień Denali wygląda wspaniale, zwłaszcza stąd, z piętnastego piętra. - Linc siłą woli odwracał wzrok od jej gołych nóg. - Kawy?

- Tak, proszę.

Charlie wzięła filiżankę i rozejrzała się za miejscem, na którym mogłaby usiąść. Do wyboru miała dwa: albo przy stoliku, gdzie byłaby tak blisko Linca, że widziałby każdy por w jej twarzy, albo na łóżku. Postanowiła zatem stać.

- Jak daleko jest z Denali do Anchorage?

- Około czterystu kilometrów.

- Aż tyle?

Linc skinął głową i obrzucił Charlie zamyślnym spojrzeniem.

- W zależności od pogody w Alaską Rangę lot potrwa od dwóch do dwóch i pół godziny. Śnieg przestał padać około czwartej nad ranem. Powinniśmy dotrzeć na miejsce bez przeszkód.

A więc do Denali polecą samolotem. Powiedział, że dwie i pół godziny. Dwie i pół godziny w zamknięciu. Przełknęła ślinę. Wiedziała już, że kiedy następnym razem Tom zaproponuje jej „okazję”, będzie trzymać buzię na kłódkę.

- O której tu wschodzi słońce? Całą drogę będziemy lecieć po ciemku?

I znów Linc wlepił w nią wzrok.

- Słońce pokaże się koło wpoi do dziesiątej.

- Tak późno? - Charlie zdawała sobie sprawę, że mówi dziwnym głosem, ale nic nie mogła na to poradzić.

Serce galopowało jej w piersiach.

- Przyzwyczaj się pani do tego - odparł, sięgając po nóż i widelec. - Za niecałą godzinę ruszamy.

Charlie obserwowała, jak Linc pałaszuje jajka na szynce i tosty. Sama czuła lekki zawrót głowy i zupełnie nie miała apetytu. Tyler pochłaniał jedzenie, sprawnie operując sztućcami.

Mężczyzna, który wie, czego chce od życia, pomyślała Charlie, czując jego spojrzenie. Nie wiedziała, skąd weźmie tyle odwagi, by usiąść obok niego przy stole.

- Lecząc tu przeczytałam w samolocie, iż na terenie parku znajduje się Mount McKinley, i że jest to najwyższy szczyt Ameryki Północnej.

Wzrok Linca ześlizgnął się z włosów na twarz dziewczyny.

- To prawda. Ponad sześć tysięcy metrów. Ale proszę nie nazywać tej góry Mount McKinley. To błąd. Proszę mówić Denali lub Wielki.

- Wielki? Dlaczego?

- Ponieważ taki jest. Denali to stara nazwa, którą nadali górze Indianie z plemienia Atabasków. Wierzchołek góry jest tak wysoki, że tworzy własny mikroklimat i ciągle jest w chmurach. Będzie mogła pani mówić o szczęściu, jeśli choć raz w czasie swego pobytu zobaczy szczyt.

Linc ponownie skierował wzrok na rozcięcie jej szlafroka. Nie pamiętał, by jakkolwiek kobieta wywarła na nim takie piorunujące wrażenie. Chciał jednocześnie pozbyć się jej, jak i wziąć w ramiona. A najlepiej zanieść do tego podwójnego łóża. Albo pod prysznic. Boże wielki! Czy pod tym szlafrokiem jest naga?

Westchnął w duchu.

Charlie piła w milczeniu kawę. Pod nieodgadzionym spojrzeniem Linca czuła się coraz bardziej niepewnie.

- O czym... o czym mamy rozmawiać, panie Tyler?

- O tym, czego pani potrzeba. Wczoraj wieczorem wspomniała pani o danych, które gromadzi w komputerze. Posiadamy wprawdzie zautomatyzowany system księgowości, ale nie wiem, czy będzie on zgodny z pani programem... No cóż, to już pani kłopot. - Z kieszeni flanelowej, brązowej koszuli wyjął kartkę i wręczył ją Charlie. - Jeśli dojdzie pani do wniosku, że na tej liście brakuje czegoś, jeszcze dzisiaj złożymy zamówienie. Później przyślę tu kogoś samolotem, by odebrał te rzeczy.

- Nie, nie sędzę, by była taka potrzeba. - Potrząsnęła głową. Zacerwieniła się czując, że patrzy na jej potargane włosy. - Większość rzeczy z tego spisu mam, łącznie z komputerem osobistym. Brakuje mi tylko papieru, ale do mojej drukarki pasuje zarówno zwykły, jak i perforowany.

- Doskonale. Może zatem przejrzymy... - Linc zakaszłał

- ...przejrzymy wszystko teraz. Jak tylko skończy pani śniadanie, obejrzę sobie, co tam pani ma.

- Co mam? - Odruchowo ściągnęła poły szlafroka i mocniej związała pasek.

Linc obrzucił lodowatym spojrzeniem jej zarumienioną nagle twarz.

- Chodzi mi o buty, swetry, kurtki. Po tym, co wczoraj zaobserwowałem, nie dowierzam raczej pani wyborowi. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś się pani stało tylko z powodu złego ekwipunku.

Charlie wyprostowała się w krześle.

- Dzięki za troskliwość. Czy pan traktuje tak wszystkich gości, czy tylko mnie?

Linc odłożył sztućce. Starał się zachować kamienną twarz i nie okazywać prawdziwych uczuć.

- Inaczej wyobrażałem sobie konsultanta.

Charlie, która właśnie zamierzała wstać, pozostała na krześle. Popatrzyła na mężczyznę podejrzliwie.

- A jak pan sobie wyobrażał?



- Wyobrażałem sobie chodzący i mówiący program komputerowy.

Popatrzyli na siebie i nieoczekiwanie wybuchnęli śmiechem. Charlie pomyślała, że podoba się jej śmiech mężczyzny. Był dźwięczny i głęboki.

- Czy już ktoś panu powiedział, że jest pan szorstki?

- Szorstki? - spytał cichym, schrypniętym głosem.

- Bez względu na to, co pan o mnie sądzi, będzie pan jeszcze ze mnie bardzo zadowolony.

- Łatwo panią oszukać - odparł rad z przedłużającej się rozmowy. Linc wcale nie miał ochoty wstawać od stołu.

- Wiem, wiem, nie trzeba mi o tym przypominać. Moi bracia wykorzystują to bezlitośnie.

Linc zachichotał.

- Więc ma pani braci? W jakim są wieku?

- Dziewiętnaście lat - odrzekła, starając się ukryć swoje prawdziwe uczucia.

Przed oczyma stanął jej obraz Dona. Don zlecił jej pracę dla swojej firmy. Potem zaczął się do niej zalecać, wszedł w jej życie, zdobył sympatię Kyle'a i Ryana. A potem został jej kochankiem.

Charlie z uwagą obserwowała twarz Linca. Lincoln Tyler bez wątpienia był atrakcyjnym mężczyzną, ale ona nie miała już dziewiętnastu lat i jego zniewalające, błękitne oczy nie powinny mieć na nią wpływu, chyba że sama na to pozwoli.

- Który z nich ma dziewiętnaście?

- Obaj - odpowiedziała. - Są bliźniakami. I radzę posłuchać mnie: jeśli zdarzy się panu okazja opieki nad takim tandemem, proszę chwytać czapkę i uciekać gdzie pieprz rośnie. Bliźniaki to podwójne kłopoty za darmo.

- Brzmi to tak, jakby była pani ich nianią - oświadczył Linc, spoglądając na dziewczynę z uwagą.

Skinęła głową.

- Stanowią dwie skrajne osobowości. Ryana ciągle nie było w domu, bez przerwy w coś grał. W koszykówkę, w baseball, w piłkę nożną. Do dziś jestem pewna, że nie obchodziło go, jaki sport uprawia. Najważniejsze było to, by nie siedzieć w domu.

- A drugi?

Charlie uniosła głowę. Krępową ją, że opowiada o swoim życiu, jakby znała Linca od bardzo dawna.

- To chyba nie jest zbyt ciekawe, panie Tyler. Przepraszam, że w ogóle podjęłam ten temat.

Ich spojrzenia się spotkały. W oczach Linca malowało się zainteresowanie.

- Ja miałem samotne dzieciństwo - rzekł po chwili. - Czasem miło posłuchać o tym, co na szczęście człowieka ominęło.

Chwilę rozważała jego słowa. Nie powiedział „jedynak”, lecz „samotne dzieciństwo”. Czy to ważne rozróżnienie?

- No cóż, jak pan chce...

Charlie postanowiła opowiedzieć. Oswoi się z nim, rozluźni. Nie będzie już tak spięta w jego obecności. Nie będzie się tak denerwować. Może obojgu przyda się taka terapia?

- Kyle, kiedy był młodszy, większość czasu spędzał samotnie. Siedział w domu i albo czytał, albo majsterkował. Jego pokój pełen był modeli samochodów, samolotów i takich tam rzeczy. - Ze śmiechem sięgnęła po filiżankę, a następnie westchnęła.

- Są cudowni i jestem z nich dumna.

Linc milczał. Popatrzyła nań. Przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Idę się ubrać - oświadczyła w cichej nadziei, że nie pozwoli jej na to.

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

- A w co pani ma zamiar się ubrać?

- A czemu pan pyta?

Na widok niepewności w oczach dziewczyny wyraz jego twarzy złagodniał.

- Na dworze jest około ośmiu stopni mrozu. Na północy, dokąd polecimy, panują jeszcze niższe temperatury. Kiedy już wystartujemy, będzie zbyt późno, by wracać.

Na dźwięk tych słów dziewczyna wyraźnie się rozluźniła. Na jej ustach pojawił się lekki, niepewny uśmiech.

- Miałam zamiar nałożyć ten zielony sweter, dżinsy i adidasy - odparła, wyciągając części garderoby ze stojącej na posłanej stronie podwójnego łoża walizki.

Linc podszedł do Charlie. Pochylił się nad łóżkiem.

- Sweter jest dobry. Ale adidasy proszę sobie wybić z głowy. Ma pani jakieś inne buty? Nie licząc oczywiście tych na wysokim obcasie.

Nie zwracając uwagi na kpinę w głosie Linca, Charlie zaczęła bobrować w walizce.

- Mam pionierki - odparła, wręczając mu parę butów.

Linc spostrzegł, że są mocno schłodzone, co oznaczało, że dziewczyna nie jest cieplarnianą orchideą.

- Na razie wystarczą - powiedział, oddając obuwie Charlie.

- Ale musimy też skombinować inne, takie jak moje, Czy ma pani wełniane skarpetki, rajtuzy i flanelową koszulę? Jeśli tak, proszę je wyciągnąć. Dżinsy ostatecznie mogą zostać, choć lepsze byłyby spodnie ze sztruksu lub wełny. Ma pani? - spytał, podnosząc głowę. Ich twarze znalazły się zaledwie w odległości kilku centymetrów od siebie.

- Co mam? - Jej umysł nie zarejestrował pytania. Do szpiku kości przejął ją błysk pożądania, jaki dojrzała w oczach Linca. Wiedziała, że ognie te rozpały się na jej widok. Ta świadomość sprawiła, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, a ciało ogarnęło rozkoszne drżenie.

- Jakież spodnie sztruksowe lub wełniane - wyjaśnił, w pełni świadom, jakie wrażenie wywiera na dziewczynie jego obecność.

- Nie... to znaczy tak. Mam parę wełnianych. - Bez tchu odwróciła się w stronę walizki. Grzebiąc w niej próbowała

ukryć drzenie rąk. Po chwili wyciągnęła niebieskie, stare spodnie, rajtuzy, koszulę flanelową. - Czy to pasuje? - spytała, rozkładając na łóżku garderobę. Starannie unikała jego wzroku. Nie zniosłaby ponownie spojrzenia świetlistych oczu Linca.

Obserwowała, jak sprawdza palcami jakość flaneli i grubość rajtuzów. Widok jego dłoni myszkującej w jej ubraniu wywołał na policzkach dziewczyny rumieniec. Pokój wydał się nagle zbyt ciasny dla nich dwojga.

- Może być - oświadczył po chwili Linc i wyprostował się, a Charlie westchnęła z ulgą. - Uprawia pani piesze wędrówki?

- Sporo włóczyłam się z chłopakami po lasach w okolicach Los Angeles. Czasami było tam bardzo zimno.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał dopiero Linc.

- Niech się pani ubiera, a ja w tym czasie przejrzę resztę rzeczy. Są w szafie?

- Tak, wszystko pan tam znajdzie. Przepraszam. Charlie ubrała się rekordowym tempie. Instynkt obronny

nakazywał się jej spieszyć. Za namową Linca zmusiła się do zjedzenia zimnego tosta i opuścili pokój. Kiedy wyszli z hotelu i czekali na taksówkę, ogarnęło ją podniecenie na myśl o czekającej ją wyprawie.

- Ciepło pani? - spytał mężczyzna.

- Tak, dziękuję - odparła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu i radosnego błysku oczu.

- Proszę mówić mi Linc.

- A mnie Char... Charlie. - W pierwszej chwili omal nie powiedziała Charlotte. Zwykle było jej wszystko jedno, jak wołają na nią ludzie. Tym razem było inaczej. Wołała nie myśleć, dlaczego. Po prostu było inaczej.

- Świetnie, Charlie. Jedziemy do domu.

## Rozdział 4

Drop na pole startowe Merrill zajęła im kilka minut. Linc uśmiechał się pod nosem, kiedy płacił taksówkarzowi, a potem szedł różnym krokiem w stronę niewielkich zabudowań lotniska. Za kilka godzin będzie już u siebie. Jakkolwiek nie miał nic przeciwko wyprawom do Anchorage, gdzie miał okazję spotkać się z Jimem i przyjaciółmi, najbardziej lubił być u siebie w domu, w parku, w otoczeniu dzikiej przyrody. Nie wyobrażał sobie pracy i życia poza Denali.

- Charlie, tędy - odezwał się, wskazując boczne drzwi.

Dziewczyna głęboko odetchnęła i podciągnęła zamek kurtki pod samą szyję. Kiedy wyszła na zewnątrz, Linc był już w połowie zasypanego śniegiem pasa startowego. Kierował się w stronę małego samolotu, który zamiast kół miał płozy.

Charlie serce waliło tak mocno, że słyszała je mimo huku silników.

Linc dał znak, by się pośpieszyła. Z wahaniem podeszła i podała mu rękę. Pomógł jej wspiąć się na skrzydło maszyny. Potem Charlie już samodzielnie przepchnęła się przez niewielkie drzwiczki samolotu. Z ulgą opadła na tylny fotel, ale Linc kazał jej przenieść się do przodu, a z tyłu położył bagaż. Charlie ściągnęła rękawiczki i wytarła spocone dłonie o spodnie. Czuła się bardzo niepewnie. Samolot był taki mały! Za mały! Byli w nim ściśnięci jak sardynki w puszcze. A jeszcze brakowało pilota. Obrzuciła spojrzeniem tablicę rozdzielczą z mnóstwem zegarów i przełączników.

Odwróciła się słysząc za sobą hałas. Linc skończył właśnie inspekcję samolotu i wciągnął do środka jej dwie walizy, ustawiając je obok reszty bagażu. Wtedy dopiero zaświtało dziewczynie w głowie, że nie będzie żadnego pilota. Czteroosobowy samolot Linc zamierzał prowadzić osobiście. Charlie zadrżała, ale nie miało to związku z panującym zimnem. Czy istniało na świecie coś, czego Linc nie potrafił zrobić? Od

pierwszej zresztą chwili wiedziała, że ten mężczyzna jest absolutnie samodzielny i niezależny.

Niebawem Linc przeszedł na przód maszyny, sprawdził, czy Charlie zapięła pasy bezpieczeństwa, po czym zajął miejsce obok niej. Skrupulatnie przejrzał wszystkie niezbędne w podróży mapy i dokumenty.

Na koniec popatrzył na Charlie i spytał:

- Gotowa?

Skinęła głową. Linc nałożył słuchawki i samolot ruszył.

- C-jeden-siedem-jeden-pięć prosi o zezwolenie na start.

- C-jeden-siedem-jeden-pięć może startować. Powodzenia, Linc. Do zobaczenia następnym razem - odparł czyjś przyjazny głos. - Ale uważaj, otrzymałem właśnie najnowszą prognozę pogody. Nad Alaską Rangę przesuwają się silny prąd burzowy. Trzymaj się od mego z daleka. Koniec, wyłączam się.

Linc obrzucił towarzyszkę podróży szybkim spojrzeniem.

- Charlie, wszystko będzie dobrze. Znam tę maszynę jak własną kieszeń. Już sam nie pamiętam, ile razy przemierzałem tę trasę. Zanim zdążysz wymówić „Kuskokwim”, będziemy już na miejscu.

Odwróciła głowę w jego kierunku.

- Jak mogę wymówić, skoro pierwszy raz w życiu słyszę to trudne słowo - odrzekła i popatrzyła na jego usta. Uśmiechnął się. Dziewczynę przejęło nagle ciepło i uniosła twarz w nadziei, że ponownie wypowie to słowo. Spostrzegła jedynie, że teraz on patrzy na jej usta. Czyżby zamierzał mnie pocałować? - pomyślała. A jeśli tak, czy powinnam na to pozwolić?

- Linc... co znaczy to słowo?

- Kuskokwim? - Linc odwrócił twarz, by nie patrzeć na jej kuszące wargi. - To nazwa masywu górskiego na zachód od Denali. W czasie iditarod traperzy wędrowali zimą historycznym szlakiem przez Alaskę Rangę i docierali do wnętrza tej krainy posuwając się wzdłuż rzeki Yukon. Forsowali

masyw Kuskokwim, by wzdłuż wybrzeża dotrzeć do cieśliny Nortona...

- Cieślina Nortona? Idit... iditarod! O czym ty mówisz? Ale w tym samym czasie na pasie startowym pojawił się

kontroler ruchu i Linc skierował na niego całą uwagę. Charlie bez słowa zaczęła wyglądać przez niewielkie boczne okno. Czemu Linc jej nie pocałował? Dotknęła delikatnie palcami ust. Zaczerwieniła się na myśl, że bardzo pragnęła tego pocałunku. Ostami raz pocałowano ją przed rokiem, podczas biurowego przyjęcia na Boże Narodzenie. W drzwiach prowadzących do sali konferencyjnej ktoś zawiesił pęk jemioli i Nick Friedman zaciągnął pod niego Charlie. Choć Nick był interesującym, samotnym mężczyzną, jego pocałunek nawet w połowie nie wzbudził w niej takich emocji, jak tylko sama myśl o tym, że Linc mógłby się na coś takiego zdobyć.

Rzuciła szybkie spojrzenie w jego stronę, ale on z uwagą patrzył przez przednią szybę samolotu. W ciągu niewielu sekund znaleźli się w powietrzu. Oboje milezeli.

- I co o tym wszystkim sądzisz? - spytał po upływie dobrej pół godziny Linc. Wyczuł w niej niepokój. Świt, jak zwykle, nadszedł szybko, ale niebo, pokryte grubą warstwą obłoków, przybrało zatrważający, purpurowy kolor.

- O czym? - zapytała, przekrzykując huk silników.

- O Alasce.

- Jest wspaniała. - Uśmiechnęła się ze szczerym zachwytem. - Właśnie tak ją sobie wyobrażałam. Śnieg, zimno, to wszystko. Ale jednego sienie spodziewałam.

- Czego?

- W drodze z lotniska do hotelu minęliśmy człowieka prowadzącego oswojonego renifera.

Linc skinął głową.

- To wyłącznie turystyczna atrakcja, Ludzie karmią go ciągle czymś, czym nie powinni. W zeszłym roku czytałem w

gazetach, że ktoś dał mu do zjedzenia plastikową torbę i potem trzeba go było operować.

- Okropne - skomentowała, spoglądając w mroczne, poranne niebo. - Od jak dawna latasz?

- Od piętnastu lat

- Teren znasz wyśmienicie? Popatrzyl na nią domyślnie.

- Nie podoba ci się barwa nieba, prawda?

- Jest bardzo ciemne - przyznała, spoglądając na horyzont

Nie chciała okazywać lęku, ale od chwili kiedy wstał świt, chmury coraz bardziej ciemniały i czuła się nieswojo. Domyślając się jej obaw, Linc powiedział:

- Nigdy jeszcze nie miałem wypadku, a latam od dwudziestego roku życia. W końcu honor skauta zobowiązuje.

Charlie popatrzyła nań podejrzliwie.

- Byłeś skautem?

Oczy Linca rozbłysły złośliwym rozbawieniem. Podejrzliwość Charlie rosła. Zapomniała o chmurach.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić ciebie, Linc, w harcerskim mundurku.

Zachichotał.

- Masz rację, nie byłem skautem. Od dziecka nie znoszę wojskowego drylu. Nigdy nie rozumiałem, czemu jakaś odznaka ma świadczyć o tym, że potrafię o siebie zadbać. A kiedy już podrosłem, musiałem robić wszystko, by przeżyć. Albo umiesz rozpalic ognisko, albo nie. Jeśli nie umiesz, twoja strata.

- Wychowałeś się na Alasce?

- Urodziłem się tu i wyrosłem. - Nacisnął jakiś przełącznik na tablicy rozdzielczej i kabinę zalała fala ciepła. Charlie popatrzyła na pilota z wdzięcznością.

- Jim znalazł mnie w swoim domku myśliwskim. Myślałem, że chata jest opuszczona. Niedaleko Wielkiego Jeziora. Godzinę drogi od Anchorage. Miałem po prostu szczęście, że to był jego domek. Jim najpewniej doszedł do wniosku, że ktoś, kto potrafi tak urządzić sobie schronienie, nie może być tak całkiem zły.



Zamiast mnie wykopać, przyjął do siebie. Wspaniały facet. Wyśmienity strażnik. Wszystko, co umiem, wiem od niego.

Nic dziwnego, że Linc tak żywo zareagował, kiedy wspomniałam, że Tom jest moim wybawcą, pomyślała dziewczyna. Punkt dla ciebie, Charlie!

- Ile wtedy miałaś lat?

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

- Potrzebujesz tej informacji do raportu?

Charlie zaczerwieniła się. Po surowej twarzy Linca przemknął dziwny grymas.

- Nie, po prostu jestem ciekawa.

Linc uniósł gęste brwi i rumieniec Charlie pogłębił się.

- Chodzi mi o to, że prowadzisz interesujący tryb życia. Zupełnie inny niż ja w swojej asfaltowej dżungli.

- Kiedy Jim mnie znalazł, miałem szesnaście lat - powiedział po chwili i czując, że dziewczyna zamierza zarzucić go gradem pytań, zręcznie zmienił temat rozmowy. - Myślałem o twoim pomysle z filmem. Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem. Kontaktowałaś się już z Sierra Club?

- Jeszcze nie, ale jeśli sądzisz, że powinnam, zrobię to. Samolotem potężnie rzuciło i Charlie kurczowo chwyciła się pasów.

- Czy za tymi chmurami są już góry? - spytała. - Będziemy lecieć nad Denali?

Linc skontrolował wskaźniki.

- Od czasu do czasu może nami huścić, ale to nic strasznego. Nie denerwuj się. Wieża kontrolna w Anchorage ostrzegła, że idzie front burzowy. Ale na razie utrzymuje się w górach.

Ta uwaga wcale nie uspokoiła Charlie. Kiedy Linc wyprowadzał maszynę na większą wysokość, silniki zaczęły grać na wyższych obrotach.

- Linę, od jak dawna pracujesz w parku?

- Pięć lat. Od czasu kiedy Jim przeszedł do pracy biurowej w Anchorage. - Rzucił jej pytające spojrzenie. - Szukasz dziury w całym?

Zakłopotana Charlie chrząknęła. Zastanawiała się, czy Linc zawsze jest taki drażliwy, czy też w jego pytaniu krył się jakiś głębszy sens. Miał to być żart, lecz twarz Linca pozostała poważna. W kabinie zapadła niezręczna cisza mącona jedynie pomrukiem silnika.

- Ostatnio, kiedy już Jim zaczął prowadzić cały interes, przekroczyliśmy nieco budżet. Ale trudno przewidzieć wszystkie nagłe wypadki.

Charlie przełknęła ślinę i odparła ze ściśniętym gardłem:

- Nie mogę ci nic zagwarantować, Linc - powiedziała z wahaniem. - Kiedy zbiorę odpowiednie dane, muszę przygotować jasną i prostą ocenę sytuacji. Jeśli wynikać z niej będzie, że należy obciąć wydatki na okoliczności nieprzewidziane, muszę taką sugestię przekazać. - Impulsywnie położyła mu dłoń na ramieniu. - Dlatego tak zależy mi na współpracy z tobą. Po prostu znasz wszystkie fakty, posiadasz własne wyliczenia i twoja opinia jest istotna. Niczego nie ukrywaj. Im więcej się dowiem, tym lepiej dla ciebie.

- Nie wiesz wielu rzeczy - odparł Linc, chłodno spoglądając na dłoń zaciśniętą na jego ramieniu. Ta kobieta wdzierала się w jego życie. Wtykała nos w sprawy, o które nie miała prawa pytać. Wyciągała go na zwierzenia o rzeczach najbardziej intymnych. Budziła wspomnienia i uczucia, które już dawno pogrzebał.

- Czemu się nie prześpisz? - spytał, wbijając wzrok w horyzont. - Przed nami jeszcze daleka droga.

Charlie westchnęła ciężko, niechętnie wyciągnęła się w fotelu i zamknęła oczy. Przeżycia poprzedniego dnia i emocje związane z podróżą sprawiły, iż poczuła się nagle śmiertelnie znużona. Prawie natychmiast monotony szum silników ukołysał ją do snu.

Po kwadransie burza tak przybrała na sile, że Linc zdecydował się, iż wyląduje w najbliższym dogodnym miejscu i przeczeka nawałnicę.

Popatrzył na Charlie, zastanawiając się, czy powinien ją budzić. Dotknął palcami miękkich kosmyków włosów opadających dziewczynie na czoło. Boże, jak ona przypomina Amy, pomyślał. Opanuj się, Tyler. Jesteś strażnikiem w rezerwacie a nie milionerem. Pamiętaj o tym! Mężczyzna, którego rzuciła kobieta...

Samolot ostro przechylił się i Linca rzuciło w bok. Zawisł w pasach i zaklął.

- Linc? - Dziewczynę obudził nagły łoskot maszyny.

- Co się dzieje?

Rozejrzała się. Przeraził ją widok czarnych chmur kłębiących się wokół samolotu.

Linc pochylił głowę nad sterami.

- Trzymaj się - rozkazał, kiedy maszyna ponownie zanurkowała. Dźwięk był przerażający, zupełnie jakby wpadli w tornado.

- Cholera jasna! Musimy lądować - zaklął.

- Linc!

- Lądujemy! Cholera, nie widzę...!

Charlie zacisnęła dłonie na oparciu fotela z wyrazem determinacji na twarzy.

- W porządku, skoro mamy się tak bawić...

Linc jeszcze niżej pochylił się nad sterami, aby chociaż ciężarem swego ciała przeważać maszynę, wyrównać jej lot. Samolotem znowu rzuciło, wzniosł się odrobinę, po czym ponownie zaczął gwałtownie tracić wysokość. Charlie czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Linc, do diabła, co się dzieje? - zawołała.

Nie odpowiadał. Próbował bez powodzenia nawiązać łączność radiową. Najpierw z Anchorage, a następnie z Denali.

- Linc, co ty wyprawiasz?

- Chciałem wznieść maszynę i minąć strefę burzy po wschodniej stronie. Ale choć zesliśmy z kursu, nie wydostaliśmy się z jej zasięgu.

Dopiero po chwili do Charlie dotarł prawdziwy sens słów mężczyzny. Pojęła całe niebezpieczeństwo, jakie im groziło.

- Chcesz powiedzieć, że zabłądziliśmy? Że nikt nie wie, gdzie jesteśmy?

Ogarnęło ją przerażenie. Próbowała tylko pocieszyć się myślą, że leci z pilotem, który prowadzi samoloty od piętnastu lat.

- Latałeś już chyba w gorszych warunkach? Powiedz szczerze, Linc - zapytała, bacznie mu się przyglądając.

- Zaburzenia atmosferyczne zerwały łączność radiową. Jedyne co możemy zrobić, to lecieć jak najniżej i przeczekać najgorsze.

Charlie chwilę jeszcze wpatrywała się w pilota, po czym przeniosła wzrok na tumany śniegu kotłujące się wokół kabiny.

- Ale to niebezpieczne. Przecież lecimy nad górami.

- Nie mamy wyboru.

W tej samej chwili Charlie poczuła, iż samolot gwałtownie traci wysokość. Czarne chmury zaczęły rzędnąć. W gęstej mgle pojawiły się pierwsze dziury, a w nich fragmenty krajobrazu. Popatrzyła na Linca. Na jego czole perliły się grube krople potu. Przeważenie Charlie sięgnęło zenitu.

Ujrzała skały i wrzasnęła:

- Góry!

Serce jak oszalałe obijało się o żebra. Nie mogła złapać tchu. Zdawała sobie sprawę, że nie mogą ani wzbić się w niebo, ani lądować. Poczuła, że maszyna znów obniża lot.

- No, maleńka, teraz spokojnie w dół... powoli, zrobisz to... spokojnie, tylko spokojnie... - Linc w napięciu obserwował przesuwaną się w dole ziemię.

- Tyler, tam są skały! - zawołała Charlie, przekrzykując grzmot silników.-Rozbijemy się!

Odruchowo schowała głowę w ramionach i jak zahipnotyzowana spoglądała w otaczające ich chmury. Zawierzywszy wyłącznie swej rutynie, Linc sprowadził maszynę jeszcze niżej i bacznie śledził migającą w dole ziemię. Wypadli z chmur. Szukał jakiejś długiej, płaskiej łąki; ujrzał taflę zamrożonego jeziora. Nie było wyjścia, musiał na nim lądować. I to natychmiast.

Małeńki samolot wyrwał się z gęstych chmur. Linc szybko skalkulował w myślach szanse. Chyba nieźle, pomyślał spoglądając w lewo, w poszukiwaniu jakichś punktów orientacyjnych. Jeśli tylko...

Tak, to tu! W tumanach śniegu dostrzegł niewyraźnie zarys znajomego jeziora. Odetchnął z ulgą. Niedaleko jeziora znajdował się domek myśliwski. Nie był w nim od lat.

- Co to jest? Widzisz coś?

- Tam - Linc wskazał niewielką dolinę otoczoną górami

- na brzegu jeziora stoi chata. Przy niej właśnie zamierzam lądować.

- Jakiego jeziora?! - prawie wrzasnęła Charlie. Dla niej w dole wszystko było takie samo, a otaczające góry wydawały się jeszcze wyższe.

- W porządku, Charlie. Jesteśmy na miejscu. Lądujemy!

- krzyknął Linc.

I znowu, w przewidywaniu uderzenia, dziewczyna skłoniła głowę. Samolot szybko zbliżał się do czubków drzew. Ale gałęzie po sekundzie zniknęły i ukazała się pokryta śniegiem płaszczyna zamrożonego jeziora.

- Pochyl się jak najniżej i nakryj głowę ramionami. Teraz!

Kiedy płozy maszyny uderzyły o powierzchnię lodu, potężny wstrząs cisnął Linca do przodu. Zanim pasy bezpieczeństwa zdążyły wyhamować impet uderzenia, wyrzucił głowę w tablicę rozdzielczą, a następnie został odrzucony do tyłu. Samolot podskoczył ze dwa razy przebijając się przez zwały kopnego

śniegu, pojechał kawałek po czystym lodzie, zatrzęsło nim gwałtownie i maszyna raptownie stanęła.

Lincowi pociemniało w oczach, ale siłą woli uniósł się.

- Co z tobą? Wszystko w porządku?- spytał, odwracając się do dziewczyny. - Aleśmy uniknęli niebezpieczeństwa... Cholera jasna, Charlie!

Leżała bezwładnie w fotelu, oczy miała zamknięte, nienaturalnie ułożona głowa spoczywała na zagłówku.

- Niech to szlag!

Odpiął pasy, pochylił się nad Charlie i obejrzał jej głowę. Z rozciętego czoła kapłała krew.

- Cholera!

Dotknął palcami szyi. Wyczuł puls.

- Chwała Bogu. W porządku. Jeszcze żyjesz - mruknął.

- Gdzie jest apteczka?

Sięgnął pod fotel. Ręce drżały mu jak w febrze.

- Gdzie ta cholerna apteczka?!

Pod fotelem niczego nie znalazł. Odwrócił głowę i spojrzał w głąb samolotu. Tam! Tuż za zrolowanym niebieskim śpiworem dostrzegł znajome pudełko ze znakiem czerwonego krzyża. Wskoczył z fotela. W tej samej chwili samolot pochyła się gwałtownie. Pilot zamachał ramionami, złapał równowagę i ostrożnie ruszył w głąb kabiny, manewrując pomiędzy porzrzucanymi rzeczami. Kiedy dotarł już do apteczki, usłyszał cichy jęk.

Charlie odzyskiwała przytomność'. Świetnie. Chwycił białe pudełko i najszybciej jak mógł wrócił na swój fotel. Dziewczyna właśnie obmacywała czoło.

- Charlie? Otwórz oczy - poprosił, odsuwając jej rękę obmacującą ranę na czole. Wyjął z apteczki potrzebne przedmioty. Najpierw przemył skaleczenie, a potem zaczął bandażować głowę. Charlie ciągle się nie ruszała. Oczy miała zamknięte. Linc obrzucił fachowym spojrzeniem postać

dziewczyny, ale poza raną na czole nie dostrzegł innych obrażeń. Pochylił się nad nią.

- Otwórz oczy, Charlie.

Rozchyliła powieki. W jej oczach lśniły łzy. Na ich widok mężczyźnie ścisnęło się serce.

- Jak się czujesz, kochanie? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jesteś cała... poruszaj rękami i nogami.

Charlie miała bladą, wykrzywioną bólem twarz. Skinęła lekko głową i wykonała polecenie Linca.

- Dolega ci coś jeszcze? - spytał głosem tak miękkim, że w oczach dziewczyny pojawiło się jeszcze więcej łez.

- Nie, chyba nie. Odpiął pasy i przytulił ją.

- Linc, co...

- Już dobrze, Charlie. Nic ci nie jest

Przez kurtkę poczuła ciepło jego ciała. Zadrżała na myśl o tym, co się wydarzyło i co jeszcze mogło się stać. Ale żyli! Trochę poturbowani, ale cali! Dzięki Lincowi! Drżąc, Charlie ponownie zamknęła oczy i przytuliła się mocniej do Tylera. Potrzebowała takiego kontaktu, poczucia bezpieczeństwa, bliskości. Uniosła głowę.

Usta Linca delikatnie spoczęły na jej wargach, po czym przeniosły się na gładki policzek. Gest ten sprawił, iż tłący się w dziewczynie żar wybuchnął jasnym płomieniem. Broda mężczyzny była delikatna, nie szorstka, jak początkowo wyobrażała sobie Charlie. Jego ciało drżało od tajonych emocji, co przejmowało Charlotte dreszczem rozkoszy. Wstrzymała oddech. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze chwila, a nie zdoła mu się oprzeć.

Pieszczota spoczywającej na jej karku dłoni Linca działała hipnotycznie. Dziewczyna zaczęła wpadać w jakiś dziwny trans, tracić kompletnie poczucie rzeczywistości. Delikatny dotyk języka mężczyzny na wargach sprawił, iż Charlie odpowiedziała na zew Linca. Jej usta oddały pieszczotę. Z cichym

westchnieniem uniosła ręce, objęła go za szyję i zaczęła pieścić włosy.

Linc jęknął cicho i jeszcze mocniej przytulił Charlie do siebie.

- Linc, zaczekaj. Ja... - umilkła, czując jego wargi na szyi.

- Jesteś taka gorąca - szepnął.

- Linc, proszę...przestań - powiedziała bardziej zdecydowanie.

- Przepraszam - odrzekł, niechętnie wypuszczając ją z objęć.

Odetchnął głęboko, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. W źrenicach płonął mu jakiś dziwny blask. Znow głęboko westchnął i rozparł się w fotelu.

- Przepraszam, ale nie wiem, co we mnie wstąpiło - oznajmił cicho.

Potem ostrożnie wstał z fotela i przeszedł w głąb kabiny. Wyjął bagaże z dużej, brezentowej torby. Na ich miejsce włożył żywność.

- Musisz wyjść z mojej strony - odezwał się. - Po twojej drzwi są chyba zablokowane przez zaspę śnieżną.

Charlie, ciągle jeszcze oszołomiona pocałunkami Linca i swoją na nie reakcją, zamrugła oczyma, po czym wyjrzała przez okno. Spodziewała się ujrzeć potężne górskie stoki, ale za szybą majaczyły jedynie tumany niesionego wiatrem śniegu i do połowy zagrzebane w zaspie prawe skrzydło samolotu. Maszyna była nieco przechylona na tę stronę.

- Mam wysiadać? - spytała. - Po co? Co chcesz zrobić?

Siłą woli zmusił się, by nie patrzeć na Charlie. W przeciwnym razie nie potrafiłby się oprzeć pokusie i ponownie wzięłby dziewczynę w ramiona.

- Musimy stąd się wydostać.

- Wydostać? Dokąd?

- Burza narasta. Tutaj zamarzniemy. Mamy jedyną szansę. Musimy dostać się do domku myśliwskiego, o którym ci wspominałem.

Charlie ponownie przeniosła wzrok na okno.



- Przecież nic nie widać. Nawet nie wiesz, jak daleko stąd jest ta chata.

- Około pół kilometra.

Popatrzyła nań szeroko rozwartymi oczyma, w których malował się strach.

- Nie mamy wyboru, Charlie. W tym hulającym po jeziorze wietrze temperatura spadnie poniżej trzydziestu stopni.

Musimy ruszać, dopóki w naszych ciałach drzemie jeszcze choć odrobina energii.

Nie czekając na jej odpowiedź, wyciągnął z ciemnoniebieskiej torby gruby wiatrochron, ciężki, wełniany sweter i ogromne rękawice.

- Wkładaj to - polecił, wręczając jej spodnie.

- Nie, Linc. To twoje ubranie...

- Nie ma czasu na spory - przerwał jej ostro.

Sam szybko wciągnął na siebie sweter, nałożył skórzaną kurtkę, po czym zajął się przygotowaniem dwóch toreb z żywnością. Na koniec wręczył dziewczynie rękawice.

- Nakładaj je. Bierzemy te torby. Po resztę rzeczy wrócę później, jak ustanie wiatr. Teraz chwilę zaczekaj. Wyjdę pierwszy i obwiążę się liną. Na mój znak dołączysz do mnie... ale ostrożnie.

- A co jeśli...? - Resztę jej słów porwała wichura, która przez otwarte drzwiczki wpadła do ciasnej kabiny. W jednej chwili zrobiło się przeraźliwie zimno. Charlie błyskawicznie wciągnęła wiatrochrony i zawinęła zbyt długie nogawki. Teraz już była wdzięczna Lincowi za to ciepłe ubranie.

Kuląc się w fotelu pilota, z uwagą wyglądała przez okno. Na dany przez Linca znak ostrożnie wyskoczyła na śnieg. Zapadła się po kolana. Wiatr szarpał nią na wszystkie strony. Gdyby nie obwiązał jej w pasie liną, wichura porwałaby ją ze sobą. Pilot zatrzasnął drzwi maszyny i chwycił torby.

Po kilku minutach Charlie zupełnie straciła orientację. Wiatr chłostał boleśnie jej twarz, mroząc policzki i nos. Każdy oddech

stawał się męką. Próbowwała zakrywać usta i nos dłonią, ale musiała przecież rękoma trzymać linę. Wiatrochron, choć nieźle osłaniał przed lodowatym wiatrem, był o wiele za duży i utrudniał ruchy. Parę razy chciała już szarpnąć za linę, krzyknąć, że nie zdoła zrobić następnego kroku ani dojść do chaty. Bolały ją ramiona. Ciało miała złane potem i jednocześnie przemarznęte do szpiku kości, uszy drętwie.

Do pionierek dostał się śnieg i kompletnie straciła czucie w palcach.

Potężne podmuchy mroźnego wiatru wysysały z dziewczyny resztki ciepła. Odbierały tę odrobinę energii, która jeszcze w niej tliła. Pilnowała tylko, by nie upaść w śnieg. Brnęła chwiejnie w głębokich po uda zaspach, usiłując stąpać po śladach Linca. Modliła się w duchu, by nie zabłądził. Kilkakrotnie przewróciła się i Linc musiał zatrzymać się i silnym pociągnięciem liny pomagać jej wstać.

Była to wyczerpująca, mordercza praca i Charlie nie umiała określić, jak długo wędrowali. Wlokła się z pochyloną nisko głową i wypatrywała śladów torującego drogę Linca. Drżała na myśl, co on musiał przeżywać. Brał na siebie cały impet szalejącej wichury, dźwigał obie torby i jeszcze uważał na nią.

To, że Linc upadł, zauważyła dopiero wtedy, kiedy się o niego potknęła i runęła obok jak długa.

- Linc! - wrzasnęła wypluwając śnieg, starając się dźwignąć na kolana. - Linc! Powiedz coś! Nic ci nie jest?

Nie zgrabnymi ruchami próbowała odgarnąć z jego twarzy śnieg. Za gardło ścisnął ją strach. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie są, jak daleko pozostawili za sobą samolot i ile drogi zostało do chaty. Jeśli Linc nie zdoła wstać...

Przez chwilę siedziała jak sparaliżowana. Ogarnęła ją nagła rozpacz, serce przeszywał ból. Tak! Już raz przez coś podobnego przeszła. Wypadek samochodowy. Tata! Tak samo jak teraz siedziała z nim i tuliła go w ramionach. I nie mogła mu pomóc. I bardzo, bardzo go kochała.

Historia się powtórzyła. Nie, zrobi wszystko, by jakoś zabrać Linca z tego wiatru.

- Linc! - krzyknęła, szarpiąc nim z całych sił. Wsunęła ramiona pod jego ciało i próbowała go unieść. - Linc, wstań!

Nie odpowiadał.

- Do cholery, nie możesz przecież tak tu leżeć, bo zamrzniesz. No, podnoś się, wstawaj!

- Jeszcze chwila, niech trochę odsapnę. Tylko chwilę - odparł łamiącym się głosem, wisząc na dziewczynie całym ciężarem ciała.

- Nie. Ani chwili dłużej, Linc! Natychmiast wstawaj! - rozkazała Charlie.

Pochyliła się i gramoląc na kolana dźwignęła go z ziemi. Za wszelką cenę muszę dotrzeć do domku, pomyślała z rozpaczą.

Ale gdzie on jest?

- Linc! - krzyknęła mu prosto u ucho. - Daleko jeszcze?

- Niedaleko - wymamrotał. - Prosto przed nami. Jakies sto metrów.

Nie miał nawet sił otworzyć oczu. Boże, ale ja jestem wykończony, pomyślał. W głowie krążyła mu uporczywa myśl, że jeśli natychmiast nie stanie na własnych nogach, umrze tutaj z zimna. Rozwarł powieki. Spojrzał w jej oczy i zobaczył, że nie jest jej obojętny.

Charlie chwyciła torby. Były za ciężkie, więc zaczęła je po prostu wlec po śniegu.

- Idź, Linc, po prostu idź.

Powolnym, mechanicznym ruchem, jak robot, obrócił się i zaczął brnąć przez śnieg.

Ostatnie sto metrów wydawało się ciągnąć w nieskończoność.

## Rozdział 5

Domek myśliwski pojawił się nagle. W jednej chwili wszystko jeszcze spowijała nieprzenikniona biel, a w następnej.. mającyla już przez nimi chata.

Zataczając się dobrnęli do drzwi, otworzyli je, weszli do środka i upadli na podłogę. Drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem i otoczył ich mrok.

A więc udało się! Dzięki Bogu, udało się! Byli bezpieczni. Wyczerpana Charlie zamknęła oczy.

Linc nie wiedział, ile czasu minęło, nim zdołał wykrztusić słowo.

- Charlie - odezwał się chrapliwie, a kiedy nie odpowiadała, dodał głośnie: - Charlie, obudź się. Nie śpij. Słyszysz mnie?

Wyczerpany, leżał nieruchomo, wsłuchując się w ciemność. Czekał, aż dziewczyna poruszy się, powie, że z nią wszystko w porządku. Ale panowała głucha cisza.

Jak długo tak tu leżymy? - zastanawiał się.

Powoli dźwignął jedną nogę, potem drugą i centymetr po centymetrze podczołgał się do Charlie. Położył się obok i zdętwiałymi z zimna palcami dotknął jej szyi szukając pulsu. Był słaby, ale równy. Linc odetchnął z ulgą. Zaczął rozglądać się po izbie.

Nigdzie nie dostrzegł drewna na opał. Znaczyło to, że znajdowało się na zewnątrz, ale i tak był zbyt słaby, by w tej chwili rozpalić ogień. Zresztą najpierw musiał zająć się swoją towarzyszką.

- Charlie - potrząsnął nią mocno. - Musisz wstać i wejść do śpiwora. Rozumiesz?

Nie otwierając oczu wymamrotała coś niewyraźnie. Linc sięgnął po jeden ze śpiworów i zaczął go rozkładać. Był tak wyczerpany, że stanowiło to dla niego morderczy wysiłek i trwało bardzo długo. Kiedy wreszcie skończył, wieszował sobie w duchu, że nie pożałował pieniędzy i kupił śpiwór puchowy.

Jeśli zamkną się w nim oboje, to mimo panującego w chacie upiornego chłodu będzie im ciepło i wygodnie.

Ponownie szturchnął dziewczynę, tym razem mocniej.

- Charlie!

Jęknęła, a on przyłożył jej usta do ucha.

- Posłuchaj mnie, Charlie. Musimy oboje wejść do mojego śpiwora. Musisz zdjąć ubranie. Rozumiesz?

Poruszyła się niemrawo, a po chwili z wyraźnym wysiłkiem usiadła. Musiał ją podeprzeć.

- Linc? - odezwała się słabym głosem i oparła mu głowę na piersi.

- Musisz zdjąć ubranie - powtórzył ponagłajaco, ściągając jednocześnie z siebie rękawice i kurtkę. Obserwował, jak skrępowana dziewczyna zdejmuje wiatrochron. Potem nieco niezdarnie pomógł jej pozbyć się reszty ubrania, rajtuzów i przepeconej koszuli. Kiedy Charlie wślizgnęła się już do śpiwora, poszedł w jej ślady. W ciasnej przestrzeni zrobiło się natychmiast ciepło. Ogrzewając się wzajemnie, powinni przetrwać.

Obudził ją czyjś głośny kaszel. Charlie przeciągnęła się leniwie i otworzyła oczy. Choć w izbie wciąż panował mrok, dziewczyna natychmiast spostrzegła tuż przed swoją twarzą potężny męski tors, muskularny i porośnięty bujnymi włosami. Przestraszona, cofnęła się gwałtownie, ale panująca w śpiworze ciasnota ograniczyła ruchy Charlie. Śpiwór? Boże, na co mi przyszło, pomyślała.

- Dzień dobry pani. Już myślałem, że będzie tak pani spać do końca świata - odezwał się z galanterią Linc.

Zaskoczona Charlie drgnęła i zeszywniała ze zgrozy, czując, że jej nogi przylegają do czyichś owłosionych ud. Owłosionych gołych ud! Przelknęła ślinę i popatrzyła w dół, na siebie. Miała na sobie tylko bieliznę!

- Tylko się nie złość, Charlie - zaczął Linc, który doskonale orientował się, co dziewczyna musi przeżywać. - Prawie

zamarzłaś. Musiałem coś zrobić. Wspólny śpiwór stanowił jedyne rozwiązanie. W takich przypadkach postępuje się właśnie w ten sposób.

Mimo iż w jego głosie pobrzmiwały kpiące nutki, mówił prawdę. Gdyby nie on, już bym nie żyła, pomyślała Charlie.

- Rozumiem - szepnęła.

- No cóż - ciągnął z wyraźnym rozbawieniem. - Szkoda, że nie ma tu więcej światła.

Splonęła ciemnym rumieńcem.

- Musiałeś ze mnie wszystko zdejmować? - wykrztusiła z trudem.

- Prawie wszystko - roześmiał się, szarpiąc lekko ramięczko jej stanika.

- Chcę wyjść ze śpiwora. Muszę się ubrać...

- Dopiero, gdy się przekonam, że całkowicie doszłaś do siebie - mruknął lekko schrypniętym głosem i objął ją. - Muszę najpierw sprawdzić kilka rzeczy. Wyziębienie organizmu może być bardzo niebezpieczne. Czy wiesz, że ludzkie ciało reaguje na to w bardzo różny sposób?

- Nie, nie wiem.

Dłoń Linca zaczęła powolną wędrówkę w dół. Czuł pod koronkowym stanikiem i majtkami gorącą jędrność...

- Wierz mi - ciągnął pół żartem, pół serio - kiedy wkładałem cię do śpiwora, byłaś ledwie żywa, i tak długo nie wypuszczę cię stąd, aż nie przekonam się, że każda partia twego ciała jest już rozgrzana i... funkcjonuje należycie. A w dodatku - w jego oczach zapaliły się ogniki - zamierzam prowadzić bardzo dokładne badania, centymetr po centymetrze, i nie dbam, ile mi to zajmie czasu.

Charlie poczuła w głowie kompletny zamęt. Nawiązując z nim romans, całkowicie złamie zawodowe reguły, jakie narzuciła sobie po historii z Donem. Uwiódł ją, by wpłynąć na raport, jaki dla niego sporządzała. Prawie mu się to udało. Czy Linc to kolejny Don? Co ma mu powiedzieć, by zgasić owo

niebieskie, pełne pożądania światło w jego oczach? Jak zatrzymać jego usta, które były coraz bliżej jej ust?

- To nieuczciwe, Linc. Czuję się już dobrze. Naprawdę.

- O tym ja zadecyduję - mruknął i zaczął delikatnie masować jej kręgosłup. - Ale możesz mi w tym pomóc. Od czego zaczynamy?

Charlie czuła, jak jej ciało oblewa żar. Niech go diabli porwą za taką natarczywość! Oddychanie stało się istną torturą. Za każdym razem, kiedy wciągała do płuc powietrze, jej piersi ocierały się o jego potężną klatkę piersiową. Kręciło się jej w głowie.

- No cóż... na czym skończyliśmy? - mruknął, zbliżając jeszcze bardziej twarz do jej ust. - To bardzo miłe miejsce.

- Nie.

Roześmiał się.

- Nie? Jesteś pewna, że nie? A może tak?

Dotknął czubkiem języka jej warg i dziewczyna zacisnęła usta. Ale Linc był nieugięty. Mruknął coś niewyraźnie i przeciągnął dłonią po jej ciele. Zatrzymał palce na piersiach, odchylił lekko stanik.

Oczy Charlie rozszerzyły się z przerażenia.

- Linc!

Szybko, niczym drapieżca rzucający się na swoją ofiarę, przyłgął wargami do jej warg, język zagłębił w gorące, wilgotne usta.

Oblała ją fala ciepła. Chciała coś powiedzieć, ale z gardła wydobył się tylko cichy jęk.

To nie może być prawda, pomyślała rozpaczliwie, starając się zachować resztki zdrowego rozsądku.

- Linc - szepnęła, odwracając głowę i przerywając pocałunek. Drżała na myśl, że już wcale jej nie słucha. - Linc, wystarczy.

- Hm, no dobrze. Gdzie teraz?

- Nigdzie, wystarczy...

- O nie - szepnęła, znów pochylając się nad dziewczyną.

- Powiedz, gdzie.

Chwycił jej dłoń i nie zważając na protesty i opór zaczął wolno, z rozmysłem, prowadzić jej rękę wzdłuż umięśnionej płaszczyzny swego brzucha aż do pulsującej twardości.

Charlie zadrżała.

- Mówiłem ci - odezwał się leniwie i zaniknął oczy. - Od razu poczujesz się lepiej.

- Linc, proszę. Ja... ja nie chcę.

- Akurat, nie chcesz - odparł, dotykając dłonią stwardniałego czubka jej piersi.

- Nie - szepnęła czując, że za chwilę się podda. Wyprężyła ciało. Po plecach przebiegły dreszcze rozkoszy. Krzyknęła.

- Chyba czujesz już to samo - rzeki schrypniętym głosem.

- Bo ja płonę.

Muszę z tym skończyć, pomyślała desperacko. Czekają nas cztery tygodnie intensywnej pracy. Raport... otworzyła gwałtownie oczy.

Raport! Charlie wyszarpnęła ze śpiwora dłoń. Raport!

- Nie! - powiedziała ostro. - Nic z tego! Linc cały czas delikatnie ją całował.

- Jesteśmy dorośli, Charlie - mruknął. - Na razie nie możemy opuścić tego miejsca. Dopóki trwa burza, musimy tutaj tkwić. Spędźmy więc ten czas przyjemnie.

Znów zaczął ją całować, usta miał gorące. Kiedy jednak dziewczyna milczała, uniósł głowę. Popatrzył jej czujnie w twarz spod przymrużonych powiek.

- O co chodzi?

- A jak myślisz? - odburknęła. Linc zeszywniał.

- O co chodzi? Masz kogoś innego?

- Kogoś?

A więc o to chodzi! Najpierw dobiera się do mnie, a potem pyta, czy kogoś mam. W jego oczach pojawił się wyraz zrozumienia. Rysy mu się wyostrzyły.

- Czemu nic nie mówiłaś?



- Bo nie pytałeś - odparła, odsuwając się najdalej jak mogła. Nie próbowała nawet wyprowadzić go z błędu. Nie zasługiwał na to. - Ponadto na pewno chodzi ci o raport, który napiszę.

Linca ogarnęła ślepa furia. Chwycą dziewczynę boleśnie za włosy na karku i odchylił jej głowę do tyłu\* W oczach miał taką wściekłość, że Charlie przebiegł po plecach mróz. Mimo to spozrzała mu odważnie w twarz i oblizując nerwowo wargi spytała zaczepnie:

- Co, znów zaczynasz?

- Nawet o tym nie myśl - odparł pogardliwie. - Przekroczyłaś pewne granice. Nie sięgam nigdy po czyjąś własność. A teraz wyjaśnij mi, proszę, co ma raport do uprawiania seksu?

Charlie skuliła się.

- Czy musisz stawiać sprawę tak brutalnie? Nie chcę, by nasz związek rzutował na wyniki raportu. Umieszczę w nim dokładnie to, co odkryję.

W lodowatym powietrzu zapanowała ciężka cisza. Charlie wiedziała, iż Linc aż za dobrze pojął sens jej słów. Na twarzy mężczyzny pojawił się komiczny wręcz wyraz osłupienia.

- Ty chyba żartujesz?

Charlie spozrzała na niego z rozpaczą.

- Tak już raz było.

Mężczyzna obrzucił ją złym spojrzeniem.

- A ze mną historia ma się powtórzyć? - Pochylił się gwałtownie nad dziewczyną. Poczwała na twarzy jego gorący oddech. - Mówiąc wprost, uważasz, że chcę cię uwieść z powodu tego cholernego raportu, tak?

- Nie, nie raportu. Z powodu parku. - Chciała się odsunąć, ale nie było gdzie. - Dla parku jesteś gotów zrobić wszystko. Nie przekonuj mnie, że jest inaczej.

Zacięła usta i popatrzyła z lękiem w pałające gniewem ciemnogatowe oczy Linca.

- Siadaj - rozkazał szorstko i, sięgając nad dziewczyną, rozpiął suwak śpiwora. Szerokość torsu pochylonego nad nią

mężczyzny zaparła Charlie dech w piersiach. Linc spojrzął jej prosto w twarz. W oczach miała wstyd, urazę i... pożądanie.

- Do cholery! Nie patrz na mnie w ten sposób! Wciągnął głośno powietrze i odwrócił wzrok od jej prawie nagich piersi, zakrytych jedynie kawałkiem różowej koronki.

- Najpierw krzyczysz na mnie, że się sprzedaję, a zaraz potem masz czelność znów mnie kusić.

Charlie próbowała naciągnąć na siebie śpiwór, ale nie pozwolił na to.

- Za późno na skromność, moja panno.

Pochylił się i rozpiął suwak do końca, nie zważając na to, że on również jest prawie nagi.

- Czego nie widziałem, to czułem pod palcami. Nie musisz się zatem krępować.

Dziewczyna ciężko oddychała.

- Nie rozumiem - powiedział Linc, marszcząc brwi. - Najpierw wodzisz za mną tymi maślanymi, zielonymi ślepiami, pozwalasz się obłapiać i całować, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. A kiedy ja wyciągam z tego jedyny logiczny wniosek, ty wyskakujesz nieoczekiwanie z jakimś swoim narzeczonym, z przeklętym raportem i resztą bzdur.

- Oczy zaślnęły mu mrocznym blaskiem i dokończył chrapliwym szeptem:

- Pamiętaj, jestem człowiekiem poważnym i nie znoszę nieodpowiedzialnych kobiet.

- Wcale nie jestem nieodpowiedzialna.

- Nie jesteś, dobre sobie!

Niepomny na panujący w pomieszczeniu chłód zerwał się na równe nogi.

- Linc, posłuchaj - zaczęta ostrożnie. - Przyjechałam tu do pracy. Jakikolwiek... nasz związek na płaszczyźnie innej niż zawodowa może jedynie doprowadzić do konfliktu interesów. Nie rozumiesz tego?

- Nie, cholera, nie rozumiem. I nie mnie to nie obchodzi.

- Wciągnął spodnie i przesłał dziewczynie miazdzące spojrzenie. - Ma pani na mnie ochotę, panno Madison. Proszę się nie wypierać. Mimo swoich podejrzeń co do czystości mych intencji. Mimo tego nieszczęśnika, któremu przytrafiło się być pani kochankiem.

Na policzkach Charlie wykwitły rumieńce.

- Mówiłam ci...

- Ach, daj spokój. - Zaczął gniewnie wypychać koszulę w spodnie. - Wiedziałem, że będą kłopoty. Wiedziałem to od chwili, gdy wysiadłaś z samolotu. Mówiłem o tym Jimowi, ale on nie słuchał.

- Bo wie, że jestem dobra...

- Słucham?

- Dobra w swoim zawodzie! - Nie, to stanowczo nieuczciwe, pomyślała. Nie da mi się nawet wytłumaczyć. - Linc, proszę, spójrz na to z mojej strony. Nie zajmuję się suchymi liczbami. Sytuacja jest naprawdę bardzo drażliwa. Jeśli ktokolwiek nabierze podejrzeń, że łączy nas coś bliższego, zaczniesz doszukiwać się przekłamań w moim raporcie.

- Bzdury. Dane to dane. Co za różnica, w jaki sposób lub z kim je gromadziłaś? - Popatrzył na nią gniewnie. Na twarzy pojawiła się gorycz.

- A więc trzymaj się ode mnie z daleka, Charlie. Jeśli pragniesz swego dobra, trzymaj się z daleka.

- Ale... ale raport...

Linc, który schylił się właśnie, by zasznurować buty, wyprostował się gwałtownie.

- Zapomnij choć na chwilę o tym cholernym raporcie. A swoją drogą powinnaś pomyśleć wcześniej, zanim w ogóle po raz pierwszy otworzyłaś usta.

W jednej chwili dotarła do niej cała prawda i dziewczynę ogarnął pałący wstyd. Gdyby nie pozwoliła całować się w samolocie, nie doszłoby do obecnej sytuacji. Faktycznie, pięknie odplaciła Lincowi za uratowanie życia. Ma wszelkie powody,

by być zły. Charlie powinna trzymać buzię na kłódkę, a nie pleść, co jej ślina na język przyniesie, kierując się urojonymi lękami. Po co zaczynała tę całą dyskusję? Po prostu przeraziła się reakcji własnego ciała na pieszczoty Linca i postanowiła dać mu nauczkę. No i dostała po nosie. Tak, naprawdę zasłużyłam na jego pogardę, pomyślała gorzko.

Linc skończył sznurować buty, po czym wyciągnął z jednej z toreb latarkę. Charlie w milczeniu obserwowała, jak zapina skórzaną kurtkę, a potem nakłada czapkę i rękawice.

- Dokąd... dokąd idziesz? - spytała łamiącym się głosem.

Obrzucił ją mrocznym spojrzeniem.

- Muszę przynieść drewna na opał - powiedział i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Dziewczyna skuliła się w śpiworze. Do serca zakradł się niepokój. W spojrzeniu Linca, gdy opuszczał izbę, było tyle nienawiści. Cały przepełniający go żar zamienił się w lód.

Własna reakcja na pocałunki Linca wstrząsnęła nią do głębi. Romans z Donem wypaczył jej uczucia, zostawił wypaloną od środka i pustą. Dopiero Linc, który obudził w niej tyle napiętności, sprawił, iż dziewczyna pojęła, że to nie ona, ale Don nie był nic wart. To on był nieszczerzy. Dla niego liczył się wyłącznie raport. Raport i wyniki. Charlie nic go nie obchodziła.

Z Lincem było inaczej, ale dopiero teraz zrozumiała prawdę. Jemu nie chodziło o raport. Naturalnie, kochał Denali, lecz jego wzrok, kiedy ona ciskała mu w twarz oskarżenia... Aż skuliła się, wspomniawszy tamtą chwilę. Wszystko zniszczyłam, pomyślała z rozpaczą. Obraziłam go, w straszliwy i okrutny sposób zraniłam jego dumę.

Powinna mu wyznać, że żaden inny mężczyzna nie istnieje. Przynajmniej tyle mu się od niej należało za uratowanie życia. Nie była jednak pewna, czy jej uwierzy. Ale musi to zrobić. Bez względu na to, czy osiągnie coś, czy nie.

Popatrzyła na zegarek. Nadchodził wieczór. Wprost nie mieściło jej się w głowie, że zaledwie poprzedniego dnia przybyła na Alaskę.

Czy naprawdę wpadli w pułapkę? Jeśli tak, to jak długo będą w niej tkwić? I jak ona da sobie radę na tym zimnie i w dodatku w towarzystwie Linca?

Potężny podmuch wiatru wstrząsnął chatą i Charlie zadrżała.

Okna zabite były deskami, ale przez szpary między nimi wpadało do środka nieco światła. Rozejrzała się po izbie.

Na środku kwadratowego pomieszczenia stał zniszczony drewniany stół i jedno krzesło. Ściany oraz sufit wykonane były z belek. W kącie majaczył piec.

Znowu zadrżała i zaczęła rozglądać się za ubraniem. Lada chwila przecież mógł wrócić Linc.

## Rozdział 6

Charlie wyglądała właśnie przez szparę w jednym z okien, kiedy przed chatą pojawił się obładowany drewnem Linc. Brodę i ubranie oblepione miał śniegiem, co dobitnie świadczyło o sile trwającej na zewnątrz zadyмки. Obserwując, jak zatacza się pod niesionym ciężarem, Charlie przypomniała sobie upiorne chwile, kiedy brnęli tu po pas w śniegu. Linc nie był mężczyzną, który łatwo dawał za wygraną. Stoczył ciężką walkę, by stworzyć sobie taki szczególny model życia. Zawsze walczył o to, by móc żyć tak, jak żyje. Teraz walczy z nią. Tyle tylko, że Charlie wcale nie pragnęła tej wojny. Bacznie szukała w jego twarzy oznak, które świadczyłyby o tym, że mięknie w swoim postanowieniu. Za wszelką cenę pragnęła zawrzeć z nim pokój.

- Może coś powiesz? - odezwała się w końcu.

- Długo zamierzasz tak milczeć?

Odpowiedziała jej cisza. Charlie stała bez ruchu i patrzyła, jak Linc pedantycznie układa drewno koło pieca. W pierwszym odruchu chciała mu pomóc lub przynajmniej zanurzyć w jego brodzie palce i strząsnąć z niej śnieg. Natychmiast jednak odrzuciła ten pomysł. Linc z całą pewnością nie życzył sobie ani jej pomocy, ani tym bardziej dotyku. Nie teraz.

Niech ją szlag, pomyślał Tyler. Nie znosił, jeśli ktoś robił z niego durnia. Któż zresztą to lubi? Rozwścieczyła go i odplacił się pięknym za nadobne. I co przez to osiągnął? Tyle tylko, iż przyznała się, że prowadzi grę. A jemu jak miękły na jej widok kolana, tak miękła. W pamięci ciągle stał mu ów skąpy koronkowy biustonosz. Nikt dotąd nie wywołał w nim jeszcze takich uczuć. A podejrzewał, że i ona też go pragnie.

Skończył układanie polan i wstał. Twarz miał zaciętą. To znaczy, wydawało mu się, że ona czuje to samo. Teraz poznał prawdę!

- Wiatr nieco ucichł - wybąkał. Na tyle tylko było go stać.

Otrząsnął z butów śnieg, potem zdjął kurtkę, czapkę i rękawice. Szukał przez chwilę wzrokiem miejsca, gdzie mógłby położyć ubranie, i ostatecznie rzucił je na ziemię. Przede wszystkim należało napalić w piecu.

Przygnębiona Charlie sięgnęła po torbę, postawiła ją na stole i zaczęła w niej grzebać. Wyjęła pięć torebek zupy w proszku, dwie paczki liofilizowanych kartofli, dwie puszki z brzoskwiniami oraz herbatę. Przez chwilę studiowała przepis na torebce z zupą, a następnie spytała:

- Linc, jesteś głodny?

Popatrzył w jej stronę. Twarz miał chmurną i mroczną. Dziewczynie na ten widok napłynęły do oczu łzy.

- Linc... - zaczęła łamiącym się głosem.

- Zaoszczędź sobie tych łez. To na mnie nie działa. - Odwrócił się, by nie wyczytała w jego twarzy kłamstwa. Z wściekłością zaczął buszować w szafkach.

- Gdybyś tylko chwilę posłuchał, wyjaśniłabym ci...

Linc znalazł dwa garnki i dwie miski. Podał naczynia Charlie, zostawiając sobie duży gar.

- To na zupę - oświadczył krótko, ruszając w stronę drzwi. Do środka wtargnął kłęb gnanego wiatrem śniegu, a wraz z nim podmuch gryzącego zimna. Linc szybko schylił się, nabrał cały garnek śniegu. Wrócił do izby i postawił naczynie na ogniu.

Niebawem w domku zrobiło się ciepło, a woda w garnku zaczęła bulgotać. Charlie wsypała do wrzątku zupę, dobrze rozmieszała i rozlała do talerzy. Takie gotowanie nie było wcale trudne.

- Zupa gotowa - oświadczyła cicho dziewczyna. Spozrzęła, że w czasie, gdy zajmowała się posiłkiem,

Linc rozłożył tuż przed ogniem śpiwory. Widok ów sprawił, iż serce zaczęło bić jej tak szybko, że o mało co nie rozlała zupy.

Wręczyła mu talerz, a sama usiadła przy stole. Linc przesłał jej ironiczne spojrzenie.

- Wolisz marznąć tam na krześle niż siedzieć blisko mnie przy ogniu - stwierdził.

- Może i jestem cheechako, ale instynkt samozachowawczy podpowiada mi, że nie siada się do obiadu z wygłodniałym wilkiem, bo wiadomo, że bestia natychmiast człowieka pożre.

Linc roześmiał się.

Charlie była zdumniona. Może jednak uda mu się wszystko wytłumaczyć. Odłożyła łyżkę.

- Linc...

- Wiatr naprawdę cichnie. Przy odrobinie szczęścia jutro będziemy mogli się stąd wynieść.

Charlie westchnęła i zajęła się własnym talerzem. Najwyraźniej nie życzył sobie rozmów na bardziej osobiste tematy.

- Myślisz, że samolot jest sprawny?

Jego niebieskie oczy śledziły ruch łyżki, kiedy dziewczyna podnosiła ją do ust.

- Taką mam nadzieję. Żywności nie starczy nam na długo.

- Musimy ją oszczędzać?

Charlie popatrzyła w talerz. Chciała właśnie dolać sobie więcej zupy, ale teraz nie była pewna, czy powinna to zrobić.

Na szczęście całą inicjatywę wziął w swoje ręce Linc i ponownie napełnił zupą oba talerze.

- Ależ skąd, nie możemy się przecież zagłodzić. Jedz śmiało.

Charlie zaczęła pałaszować z apetytem. Kiedy skończyła, podeszła do okna kulejąc. Bardzo dokuczala jej przemarznięta stopa.

Linc zmarszczył brwi.

- Coś nie tak? - spytał.

- Nie, nic - odparła, ale najwyraźniej nic wystarczająco szybko, gdyż on zmrużył oczy i popatrzył podejrzliwie na jej nogi.

- Coś ze stopami?

- Powiedziała ci: wszystko w porządku.



Ale Linc, jakby doskonale wiedział, o co chodzi, ruszył wielkimi krokami w jej stronę. Twarz miał niczym chmura gradowa.

- Do cholery jasnej, babo! Odmrożenia same sienie leczą! Bez słowa posadził ją na krześle i ze złością szybkimi ruchami zaczął jej zdejmować buty i skarpetki.

Kiedy na chwilę uniósł twarz, malujący się w jego oczach gniew sprawił, że Charlie potulnie poddała się jego zabiegom.

- Nic groźnego! Masz odmrożone palce, idiotko! Czy wiesz, co to znaczy?

- Oczywiście, że wiem - odrzekła z urazą. - Kiedy ciało zmarznie, nabiera niebieskiego koloru.

- Niebieskiego, a nie białego - warknął, unosząc nogę dziewczyny i podsuwając stopę do jej oczu. Nie zwrócił uwagi na gorący rumieniec, jaki wystąpił Charlie na policzki.

- To jest według ciebie niebieski kolor? Niech cię piekło pochłonie!

Puścił jej nogę i, mrużąc coś pod nosem na temat babskiej głupoty, ruszył w stronę pieca. Zdjął wielki garnek, w którym grzała się woda, odlał trochę do miski, a następnie ruszył gniewnie z garem do drzwi wyjściowych. Otworzył je, zagarnął do naczynia śniegu, postawił je ponownie na ogniu i wrócił do Charlie. Znowu chwycił ją za chorą nogę. Dziewczyna odruchowo ją cofnęła.

- Spokojnie, Charlie - powiedział, przełamując jej opór. Zaczaj palcami macać stopę. - Bolała cię, gdy się obudziłaś?

Najwyraźniej zamierzał dać jej kolejną lekcję.

- Wiem, o co ci chodzi - warknęła, próbując wyszarpnąć nogę z jego dłoni. Nie pozwolił. - Ale nie mam nastroju na to, by słuchać kolejnego wykładu o tym, jak przetrwać w Arktyce.

- Co? - Charlie najwyraźniej go zaskoczyła. - Dziewczyno, odmroziłaś nogę. To nie żarty. Muszę coś zrobić z tym fantem. Konsekwencje mogą być straszne.

- Minie samo. Potrzebuję tylko trochę czasu - powiedziała zdecydowanym tonem. Postanowiła nic nie wspominać o bólu, jaki czuła w odmrożonych palcach. Obserwowała zachowanie Linca i nie była pewna, co on za chwilę zrobi.

Tyler, który bacznie obserwował jej twarz, aż sapnął ze złości. Nadeła się jak indor, pomyślał, ale najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, jak groźne bywają skutki odmrożeń, bo znów próbowała oswobodzić nogę.

- Przestań, do diabła! - Zaczerpnął głęboko tchu, by opanować narastającą w nim irytację. - Nie kłóć się ze mną teraz, Charlie. Będziemy na to mieli jeszcze dość czasu, gdy wydostaniemy się z tej biedy. - Rozpoczął masować stopę dziewczyny. Zaczął od palców, powoli przenosił dłonie coraz wyżej, aż do zgięcia w kostce. Jego ruchy były płynne i delikatne i w pewnej chwili Charlotte poczuła, iż ogarnia ją błogi nastrój.

- No jak, lepiej?

Dużo lepiej, pomyślała, ale nie wypowiedziała tego głośno. Zadrzała lekko i zastanowiła się chwilę, czy Linc to wyczuł. Kiedy spojrzała mu w twarz, pojęła natychmiast, że tak.

- Trochę mnie bolało - przyznała. - Ale nie bardzo i tylko od czasu do czasu - dodała pośpiesznie. Zaskoczył ją wyraz ulgi, jaki odmalował się na obliczu Linca.

- Teraz włożymy stopę do wody - oświadczył i zanurzył jej nogę w misce. Charlie drgnęła. - Boli? - spytał, a kiedy dziewczyna kiwnęła potakująco głową, dodał: - To bardzo dobrze.

- Dobrze?

Sapnął, lekko zniecierpliwiony.

- Pewnie, że dobrze. Skoro już masz czucie, to znaczy, że skutki odmrożenia znikną bez śladu.

Mówił jak lekarz. Obojętnie i bezosobowo. Charlie sama już nie wiedziała, jakiego go woli. Czy pełnego namiętności, czy chłodnego i trzymającego się z rezerwą.

- Jak myślisz, kiedy będziemy mogli się stąd wydostać? - spytała.

- Dopiero jak będziesz mogła chodzić. To wiem na pewno - odrzekł, dorzucając drewna do ognia.

- No i musi się wypogodzić. Przez jakiś czas twoja stopa będzie bardzo wrażliwa na zimno. Prawdopodobnie do samolotu zaniosę cię na barana.

Z takim rozwiązaniem Charlie nie mogła się pogodzić.

- Jestem pewna, że szybko dojdę do formy - mruknęła.

- Znaleźliśmy się tu zupełnie odcięci od świata, prawda? Nikt nie wie, gdzie nas szukać?

- Niestety, na to wygląda. Wylądowaliśmy w dolinie otoczonej ze wszystkich stron górami i nawet radio niewiele nam pomoże. Wydostać się stąd możemy tylko samolotem. - Odwrócił się i wskazał jej pusty talerz. - Nie będziesz już jadła?

Pokręciła głową i popatrzyła na stopę. Linc stał się nieoczekiwanie bardzo troskliwy. Nie chciała, by dostrzegł gromadzące się w jej oczach łzy. I nagle zatęskniła za braćmi. Kiedy dotrze do nich wiadomość\* o zaginięciu samolotu, na pewno będą umierać z niepokoju.

- Charlie!

Drgnęła i uniosła szklące się łzami oczy.

- Wierz mi, z twoją stopą będzie wszystko w porządku - oświadczył zdecydowanym tonem Linc, nie zbliżając się do dziewczyny. Nie dowierzał samemu sobie. Miał nieprzepartą chęć wziąć Charlie w ramiona. Ale ona wcale tego nie pragnie, pomyślał trzeźwo. - Niebawem się stąd wydostaniemy.

Charlie zadrżała.

- Nie płacz... no, Charlie. - W dziewczynie było coś, co sprawiło, że Linc jednak odstawił miskę i podszedł do niej. Przytulił jej głowę do swego brzucha. - Po prostu miałaś zły dzień.

Poczuł na koszuli lzy. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Tuląc do siebie drobną postać Charlie, przypomniał sobie szczęśliwe chwile początkowych lat swego pięcioletniego małżeństwa.

Po odejściu Amy w życiu Linca była tylko jednia kobieta. Turystka, która zjawiła się przed kilkoma laty w parku. Tak samo jak Tyler pokochała Denali i było im razem dobrze. Potem nadeszła zima i podobnie jak wszyscy turyści, dziewczyna wróciła do ciepłego domu i wygod, jakie niosła ze sobą cywilizacja. Chociaż Linc od początku nie miał złudzeń, jej wyjazd bardzo go zranił. Obiecał sobie solennie, że nigdy już nie powtórzy głupstwa, przywiązując się do jakiegokolwiek kobiety.

Ale z Los Angeles przyleciał samolot. Wysiadła z niego Charlotte Madison i prosto z trapu samolotu wkroczyła w serce Linca. Nie wiedział, jak w ogóle mogło do tego dojść.

W jakiś magiczny sposób dziewczyna potrafiła tego dokonać. Narastał w nim gniew i rozgoryczenie. Co innego przyznać się do słabości przed samym sobą, a co innego wystawiać ją na widok publiczny. Gwałtownie wypuścił dziewczynę z objęć, wziął jej talerz i łyżkę, po czym szybko ruszył w stronę pieca.

Charlie zawstydzona swymi łzami zacisnęła usta. Nic dziwnego, że Linc ją odepchnął. Spojrzała w kierunku mężczyzny, który teraz przygotowywał herbatę.

- Kyle'a i Ryana przerazi wiadomość o naszym zaginięciu. Jesteś pewien, że nie istnieje żaden sposób kontaktu ze światem?

Linc zbliżył się do Charlie, przyklęknął obok jej krzesła i sprawdził temperaturę wody, w której trzymała nogę. Szybko wrócił do pieca, wziął gar z wrzątkiem i dolał do miski.

- Okoliczne góry odbijają fale radiowe. Poza tym w takich warunkach atmosferycznych tylko wariat mógłby zdecydować się na lot - rozwiął jej nadzieje Linc. - No i pamiętaj, że zboczyliśmy z kursu. Ewentualna wyprawa ratunkowa szukać nas będzie zupełnie gdzie indziej.

A zatem wszystko przeciw nam, pomyślała Charlie, popadając w jeszcze większą desperację.

- Zatem Kyle i Ryan muszą czekać, aż sami się stąd wydostaniemy?

- Zgadza się - kiwnął głową Linc. Instynktownie czuł, że im mniej wie o jej życiu osobistym, tym lepiej. Ale zwyciężyła ciekawość. - A co z twoimi rodzicami? - spytał, wręczając jej kubek z herbatą.

- Dzięki - odparła z lekkim uśmiechem i uniosła do ust gorące naczynie. Nie chciała wracać myślą do tamtych zdarzeń, ale skoro zwierzenia mogły lepiej usposobić Linca... Zaczepnęła tchu. - Rodzice zginęli siedem lat temu w wypadku samochodowym. Spowodował go pijany nastolatek.

Wiesz, typowy wypadek, o jakich bez przerwy donosi prasa. Mam tylko Kyle'a i Ryana. Tylko myśmy zostali.

Linc w milczeniu patrzył, jak dziewczyna siorbie herbatę. Widząc jej pobladłą twarz, uświadomił sobie, że Charlie ciągle jeszcze tęskni za rodzicami. Uczucie to było mu kompletnie obce. On z radością uciekł z rodzinnego domu.

- Opowiedz mi o nich - poprosił i natychmiast pożałował swych słów.

Zaskoczona dziewczyna uniosła głowę. Od tak dawna z nikim nie rozmawiała o swoich rodzicach. Przyjaciele i znajomi, którzy znali okoliczności ich śmierci, starali się w rozmowach z Charlie unikać tego tematu, by nie pogłębiać jej bólu.

- Stanowili parę wspaniałych ludzi. Chyba nikt z moich kolegów nie miał tak wspaniałych rodziców. Nie byli szczególnie wykształceni - żadne z nich nie skończyło wyższej uczelni - ale posiadali wrodzoną inteligencję i życiową mądrość. Tata świetnie grał w tenisa, a matka uwielbiała pływać. Czasami ojcu przychodziły do głowy różne wariackie pomysły. Pamiętam, na przykład, że raz zapragnął polecieć balonem. Mama zgodziła się, ale pod warunkiem że zabierze się z nim

cała rodzina. To fakt, kochali mnie i moich braci; ale najbardziej kochali się nawzajem.

Linc nie wiedział, jak zareagować na tę historię. Słuchało się jej jak bajki o cudownym, aksamitnym życiu średnio zamożnej, amerykańskiej rodziny. Coś kusiło go, by zapytać złośliwie, czy mieli również psa i domek otoczony białym płotem, ale poskromił język. Poza tym dziewczyna i tak nie zrozumiałaby dręczących go uczuć. Do licha, pomyślał. Sądząc z tego, co powiedziała, różniły się od siebie jeszcze bardziej niż początkowo sądziłem.

- Dopiero ty pierwsza w waszej rodzinie poszłaś na wyższą uczelnię?

- Tak, poszłam pierwsza, ale pierwsi skończą studia Kyle i Ryan. Dyplomy dostaną za trzy lata. Nie mogę już się doczekać tej chwili. Spełnią się wszystkie nasze marzenia. Jestem bardzo dumna z tych chłopców.

Linc zastanowił się chwilę, dlaczego ona nie skończyła studiów. Doszedł do wniosku, że z powodu śmierci swych rodziców.

- A ty nie chciałaś studiować?

- Chciałam, ale nie mogłam. Kyle i Ryan mieli wtedy zaledwie po dwanaście lat. Na szczęście Tom, mimo że nie miałam żadnej praktyki, zatrudnił mnie u siebie. W przeciwnym razie stanowy urząd socjalny Kalifornii odebrałby mi chłopców i opiekę nad nimi powierzył różnym ciotkom i wujkom. Przeżyliśmy parę trudnych lat... Rachunki, pieniądze... No wiesz, te rzeczy.

- Musicie się bardzo kochać.

- O, tak. Przetrwaliśmy razem wiele ciężkich chwil. Teraz, kiedy wracają wieczorem do domu... - urwała. Linc spoglądał na nią dziwnym wzrokiem. - O co chodzi?

- O twoich braci. Mówiłaś, że ile mają lat?

- Po dziewiętnaście. A czemu pytasz?

- I ciągle mieszkają z tobą?

Położył szczególny nacisk na słowo „ciągle”.

- A co w tym złego? Uczelnia kosztuje bardzo dużo. Poza tym dochodzą wydatki na jedzenie, prąd i inne rzeczy związane z prowadzeniem domu. Chłopcy pracują wprawdzie dorywczo tu i tam, ale zarabianie pieniędzy nie jest ich podstawowym zajęciem. To moja sprawa. Ponadto Kyle i Ryan potrzebują spokoju i miejsca do nauki. Akademik nie wchodzi w grę. Tam panuje ciągle hałas, rozgardiasz...

Lincowi błysnęła myśl, że Charlie mówi o swoich braciach zupełnie tak, jakby była ich matką. Zastanawiał się, czy dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę.

- No dobrze, mieszkanie. Ale czy nie potrzebują odrobiny prywatności? A twój chłopak? Nie może nawet zostać na noc?

Tyler nie wiedział, czemu tak naskakuje na Charlie, ale wyczuł w jej zwierzeniach jakąś fałszywą nutę. A może to samotność go zatruwa? Może świadomość tego, że jest sam i sam musi o siebie dbać, powoduje, że obca jest mu idea domu, w którym ktoś czeka, gdzie można znaleźć oparcie i miłość. Domu, jaki Charlie stworzyła swoim braciom. A może... może przemawia przez niego zwykła zazdrość? Ta myśl go zaniepokoiła.

- Naturalnie, Kyle i Ryan spotykają się z dziewczynami, ale to nic poważnego - odparła, ignorując świadomie cierpką uwagę Linca. Stosunki między nimi znacznie się poprawiły i nie było sensu tego psuć. - Większość czasu poświęcają nauce. Moim zdaniem to bardzo dobrze. Najważniejsza jest uczelnia. Na dziewczyny przyjdzie pora. Ale teraz kolej na ciebie. Opowiedz mi o swoich rodzicach. Dzieciństwo i dorastanie na Alasce to musi być cudowna sprawa.

Linc nachmurzył się. Zirytowała go nieoczekiwana zmiana tematu.

- Niewiele jest tutaj do opowiadania.

- Wspomniałeś, że kiedy miałeś szesnaście lat, Jim znalazł cię w swoim domku myśliwskim - ciągnęła z uporem Charlie.

- Uciekleś od rodziców?

Linc zacisnął dłonie na kubku z herbatą.

- Nie miałem życia tak usłanego różami jak ty - stwierdził po chwili z gorzkim sarkazmem.

Charlie wstała szybko z krzesła.

- Ale opowiedz mi - powiedziała cicho, siadając obok Linca przy piecu.

- Charlie... - popatrzył na nią niepewnie i westchnął.

- Linc, nie pytam o to w związku z raportem - odparła miękko.

Przez chwilę milczał, po czym obojętnie wzruszył ramionami.

- Moi starzy byli inni. Ojciec był alkoholikiem, choć się do tego nie przyznawał. Pracował na budowie, na północy kraju. Osiem tygodni w robocie i dwa wolnego.

- Więc rzadko go widywałeś?

Mroczne spojrzenie, jakie jej rzucił, wystraszyło dziewczynę.

- Wierz mi, aż za często. Kiedy był w domu, wszędzie cuchnęło piwem i papierosami. Matka chodziła na palcach, bo w każdej chwili mógł ją uderzyć" lub kopnąć. Kiedy go nie było, dorabiała jako kelnerka w kantine dla podoficerów w bazie lotniczej w Elmendorf. Potrzebowaliśmy pieniędzy, bo ojciec swoje przepijał. Zapewne nienawidziła go równie mocno jak ja, ale nie starczyło jej odwagi, by go rzucić. To nie było żadne małżeństwo. Mój stary to kawał skurwysyna.

Charlie aż zaparło dech w piersiach.

- Jak możesz tak mówić o własnym ojcu?

- Nazywam rzeczy po imieniu - warknął Linc. - Nie byłeś tam, więc nie wiesz, jak to jest. Zamieniał nasze życie w piekło i w końcu zrozumiałem, że dłużej nie wytrzymam. Wiedziałem, że nie przekonam matki, by dała mu kopniaka i poszła sobie. Sprawy zaszły tak daleko, iż musiałem coś wymyślić. W przeciwnym razie mogłem zrobić jakieś głupstwo. Opuściłem więc dom.



Zapadła głucha cisza. Charlie, choć czuła, że Linc nie chce więcej mówić o sobie, zadała kolejne pytanie:

- I zamieszkałeś w domku myśliwskim Jima?

- Nie. Mnie nigdy nic nie układało się po prostu. Jakiś czas podróżowałem po Alasce autostopem. Polubiłem ten rodzaj wolności. Nikt mi nic nie kazał, nie mówił, kiedy mam jeść, w co się ubrać albo co powiedzieć. Dla nastolatka było to wymarzone życie. Ale nadeszła zima i zrozumiałem, że mogę dostać w du.... że będę mieć kłopoty, jeśli jakoś się nie zabezpieczę.

- I wtedy znalazłeś ten domek?

- Zgadza się. Urządziłem go sobie. Ale okazało się, że wcale nie jest opuszczony.

- Potem zajął się tobą Jim i ostatecznie stworzyłeś sobie własny dom w Denali.

- Tak - powiedział zacisnąwszy szczękę.

- Połowę życia spędziłem chroniąc ten park przed różnego rodzaju kłusownikami. - Obrzucił dziewczynę lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu.

- Nie muszę ci przypominać, że dla kłusowników nie mam litości.

## Rozdział 7

Charlie zadrżała, słysząc ponurą groźbę w jego głosie. W jednej chwili zrozumiała, że dla Linca Denali to dużo więcej niż rozległa, otwarta przestrzeń pełna drzew i dzikich zwierząt. Park stanowił dlań dom, gdzie wszystko było znajome i przytulne tak samo, jak dla mej dom z Kyle'em i Ryanem. Denali dawał mu oparcie i poczucie bezpieczeństwa, jakiego nigdy w życiu nie miał. Zapewne stanowił też rodzinę, którą utracił.

Ale zrozumienie tego faktu niczego nie zmieniało. Ciągle miała wykonać zadanie.

- Dziękuję za uratowanie mnie - zaczęła z wahaniem, przerywając długą ciszę, która zapadła po ostrych słowach Linca. - Powinnam była to już wcześniej zrobić, ale tyle się wydarzyło... - Wzruszyła ramionami i obrzuciła go baczny spojrzeniem. - Nieustannie się kłócimy. Zamierzam z tym skończyć. Kiedy się już wydostaniemy, czekają nas cztery tygodnie wspólnej pracy. Nie chcę, byśmy sobie cały czas skakali do oczu.

- A więc dziękujesz mi za uratowanie ci życia. Skierował wzrok na rozpięty kołnierzyk flanelowej koszuli i jasną, gładką skórę szyi Charlie.

- I za to, że nie pozwoliłeś mi zamarznąć - ciągnęła. Mężczyzna wcale sprawy jej nie ułatwiał. Siedział odęty i z naburmuszoną miną. - Dzięki tobie nie umarłam też z głodu.

Cholerne babsko! - pomyślał Linc. Groziłem jej, a ona wyciąga do mnie gałązkę oliwną. Jest nieobliczalna i trudno przewidzieć, co za chwilę zrobi.

- A co z pocałunkami? Za nie również dziękujesz? A może twoja praca nie pozwala ci na takie rzeczy? Charlie poczerwieniała.

- Chcę być uczciwa, Linc...

- Więc bądź. Czy podziękujesz za pocałunki?

Choć Linc sam nie wiedział, czemu się tak torturuje, świadomie narażając na to, że dziewczyna ponownie go odepchnie, nie potrafił przestać.

- Przyznaję, to był błąd - skinęła głową Charlie.

- Zapomnijmy o tym.

- Chyba żartujesz - wycedził mężczyzna, chwytając ją za ramię. - Ja nie uważam, że to był błąd. A wiesz dlaczego? Zdradziły cię twoje oczy i ciało. Pragnęłaś mnie, kiedy się obudziłaś. Może, jak wychodzę do pracy, nie wkładam garnituru i nie biorę teczki, ale wiem, kiedy kobieta mnie pragnie. A ty mnie pragnęłaś!

- Mylisz się - szepnęła udreńczonym głosem. Przyciągnął ją do siebie.

- Nie prowokuj mnie, bym udowodnił ci, że mam rację.

- Linc, ty chyba nie... - Jej oczy się rozszerzyły.

Z premedytacją drażnił dziewczynę. Przypominał jej o pocałunkach, o tym, jak łatwo mu uległa. Chciał, by przyznała, że sprawiło jej to ogromną przyjemność. Charlie przelknęła ślinę. Przerzątał ją ten rozogniony, roznamiętniony mężczyzna. Bała się własnej słabości. A całą awanturę wywołała ona sama. Od początku poszło wszystko nie tak jak trzeba. Pragnęła jedynie tego, by Linc ją szanował. Malujące się jednak w tej chwili w jego oczach uczucia miały niewiele wspólnego z szacunkiem.

- Nie mam żadnego kochanka - oświadczyła i nerwowo oblizała usta. - Chciałam ci to powiedzieć, ale ty nie słuchałeś.

- Więc słucham teraz, Charlie. - Westchnął głęboko, oszalały prawie z rozpierającej go żądy. Tracił kompletnie kontrolę nad swoimi emocjami. - Ty i ja. To jest nieuniknione. Może się to nam podobać lub nie, ale tak jest. - Jego usta spoczęły na jej wargach. - Rozumiesz?

- Nie rób tego, Linc!

Charlie zdawała sobie sprawę z tego, że jej protest nie wypadł zbyt przekonująco. Nie potrafiła ukryć drżenia, kiedy ją

pocałował. Z całych sił walczyła, by nie zamknąć oczu, ale to było silniejsze od niej. Nieodparcie działała na nią jego namiętność.

- Czujesz? Jestem rozpalony - szepnął nie przerywając pocałunku. - Nie tylko ja. Chciałem trzymać cię na dystans. Ale ty sprowokowałaś mnie tymi zielonymi, pełnymi miłości oczami. Żaden mężczyzna nie byłby w stanie tego znieść.

Zanurzył dłonie w jej wzburzonych włosach. Kiedy zadrzała, odczuł to całym sobą, aż do głębi serca.

- Powiedz, że też mnie pragniesz - powiedział schrypniętym głosem i ugryzł lekko dolną wargę Charlie.

- Linc, nie chcę...

- Chcesz - mruknął namiętnie, przerywając jej protesty. Mimo podniecenia całował ją delikatnie i czule. Wiedział, że wola Charlie słabnie, że za chwilę podda się ogarniającej ją fali pożądania.

- Przestań dręczyć nas oboje i powiedz „tak” - dyszał jej w ucho.

Charlie poczuła zawrót głowy. Zaborcze dłonie Linca pieściły lekko jej ramiona, palce były natarczywe i czule zarazem. Zapomniała o zdrowym rozsądku. Przestała stawiać opór.

Linc zrozumiał, że przejął nad dziewczyną całkowitą władzę. Poczul zapierający dech w piersiach smak zwycięstwa. Z cichym jękiem opadł na miękki śpiwór pociągając ją za sobą. Zaczął całować jak oszalały.

Otworzył oczy, ujął w dłonie głowę dziewczyny, spojrzął na zarumienioną twarz i przeniósł usta w zagięcie jej szyi. Ujął dłońmi pośladki Charlie i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Chcę wstać, Linc - oświadczyła nagle Charlie, odważnie spoglądając mu w oczy. Spostrzegła, że oczy mu pociemniały, a twarz stężała.

- Mówisz serio? Skinęła głową.

- Powiedziałałam, że to był błąd - odparła, odsuwając się od mężczyzny. Znajdował się zbyt blisko. Musiała uwolnić się spod jego władzy. - Proszę, puść mnie.

Linc zabrał ręce z jej ciała i popatrzył, jak niezdarnie podnosi się z podłogi. Co ona wyprawia? - błysnęło mu w głowie. Czemu w jednej sekundzie jest taka namiętna, a w następnej już zimna jak lód? Wewnętrzny głos ostrzegał go, przywoływał dawne lęki i koszmary. Amy również spoglądała na niego czule, a później była ciągła huśtawka nastrojów. Już wtedy Amy miała innego mężczyznę. Czy tak samo jest z Charlie? Była zbyt piękna, zbyt namiętna, by noce spędzać samotnie na matkowaniu braciom.

Rozgniewany również zerwał się z podłogi.

- Wiatr już ucichł na ryle, że pójde obejrzeć samolot - oświadczył.

Schylił się, zasznurował buty, po czym sięgnął po kurtkę, rękawice i latarkę. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi i zatrzymał się.

- Dwie rzeczy. Pierwsza to koniec amorów. Od teraz nie tknę cię palcem. Miałaś rację. To była pomyłka.

- Tak. - Charlie nie wiedziała, co wpłynęło na tę nieoczekiwaną decyzję Linca, ale z wyrazu jego twarzy wyczytała, że to naprawdę koniec. - A druga?

- Mam dla ciebie dobrą radę. Jak wyjde, załatw swoje... osobiste potrzeby. Niezbędne rzeczy znajdziesz w szafce.

- Dzięki - odpowiedziała głucho. Obserwowała, jak Linc bez słowa wychodzi na zewnątrz.

Powiniem się być trzymać od niej z daleka, pomyślał nie wiadomo który raz Linc. Załamany, brnął przez głęboki do kolan śnieg w kierunku samolotu. Kiedy ustał wiatr, temperatura podniosła się. Mężczyzna sądził, że jest około dziesięciu stopni poniżej zera. Promień latarki oświetlał gładki niczym aksamit kobierzec śniegu. Ich ślady dawno już zatarł wiatr, ale Linc wiedział, w którą stronę iść. Bywał już w tych stronach i

pamiętał, że jezioro znajduje się w odległości około pięciuset metrów od domku, w którym znaleźli schronienie.

Miał nadzieję, że burza nie uszkodziła samolotu. Sądził, że to właśnie głęboki kopny śnieg, w którym wylądował, uchronił ich przed katastrofą. A później zapewne ten sam śnieg nie pozwolił, by potężne podmuchy wiatru wywróciły samolot. Wolał nie myśleć o losie, jaki czekałby jego i Charlie, gdyby okazało się, że maszyna jest uszkodzona.

Cały czas miał przed oczyma twarz dziewczyny. Doszedł do wniosku, że dorosła, pewna siebie Charlotte Madison była kompletnie skołowana. Uśmiechnął się przełomie na tę myśl, ale natychmiast spowaźniał. Spontaniczna odpowiedź na jego pieszczoty nie była udawana. Po cóż więc siliła się na tak głupie wymówki? Oboje zresztą zachowywali się głupio.

Snop światła z latarki wyluskał z mroku sylwetkę samolotu. Prawe skrzydło było zupełnie zasypane śniegiem. Obszedł maszynę, badając ją szczegółowo. Sprawiała wrażenie nie uszkodzonej. Odgarnął śnieg blokujący wejście do kabiny i wszedł do środka. Włączył radio i próbował połączyć się z lotniskiem, ale słuchawki były głuche. Spodziewał się tego. Wyszedł na zewnątrz i zaczął odgarniać śnieg ze skrzydeł.

Po odejściu Amy Linc miał kilka kobiet. Niedużo. Nie zamierzał zresztą nawiązywać jakichkolwiek trwalszych związków i za każdym razem, na samym początku znajomości, stawiał sprawę jasno. Jego zdaniem małżeństwo powinno opierać się na partnerstwie, a wraz z odejściem Amy rozwiąły się jego nadzieje na znalezienie w życiu innej partnerki. Niewiele kobiet zgodziłoby się dzielić z nim życie, jakie prowadził. Z dala od sklepów, kin i innych atrakcji wielkich miast.

Pięć lat to długi okres w życiu człowieka. Cóż wobec niego znaczą dwa dni? A jednak Linc czuł, że pod wpływem Charlotte Madison, zaczynają się załamywać dotychczasowe postanowienia.

Targały nim wątpliwości. Potrafił gasić pożary, umiał przetrwać w najgorszej burzy, ale czy zdoła jeszcze raz komuś zaufać? Po pięciu latach spędzonych z Amy przekonał się, że tak naprawdę w ogóle jej nie zna. Co takiego tkwiło w Charlie, że Linc pragnął spróbować jeszcze raz? Czyżby znów sam siebie oszukiwał?

Wiedział jedno. Pragnie bliskości innego człowieka. Miał trzydzieści cztery lata, był samotny i nie chciał, by tak zostało do końca życia.

Wrócił do domku myśliwskiego po dwóch godzinach. Przynajmniej nie były one stracone, pomyślał z zadowoleniem. Odśnieżył maszynę i bez kłopotu uruchomił silnik. Teraz był zmęczony i zmarznięty. Kiedy ściągnął rękawice i czapkę, popatrzył na Charlie. Leżała zawinięta w śpiwór, a regularny oddech świadczył, że jest pogrążona w głębokim śnie. Najciszej jak potrafił zdjął kurtkę i buty. Bał się ją zbudzić.

Ostrożnie dołożył drewna do pieca. Dla niego w pomieszczeniu było wystarczająco ciepło, ale Charlie mogła zmarznąć. Wziął kilka głębokich wdechów i położył się na ziemi obok płonącego w piecu ognia. Nawet nie zaświtało mu w głowie, by wejść do śpiwora, w którym spała dziewczyna. Taki głupi nie był. Wyciągnął się wygodnie, ciężko westchnął i przymknął oczy.

- Linc?

Serce zatrzepotało mu w piersiach.

- Czy z samolotem wszystko w porządku?

- Tak, Charlie. Jutro rano odlatujemy. A teraz śpij.

## Rozdział 8

Charlie otworzyła oczy czując, że ktoś się nad nią pochyla i szepcze jej coś do ucha. Niezdarnie usiadła.

- Kto...? Och, to ty, Linc! Co się stało? Znow burza?

- Nie, burza dawno minęła. Ale już świta. Niebo jest czyste, więc chciałbym jak najszybciej wystartować. Zagrzałem już zupę i otworzyłem brzoskwinie. Siadajmy do stołu.

Charlie przejechała palcami po potarganych włosach i odgarnęła z czoła kilka kosmyków. Zauważyła podziw w jego oczach i mocno zabiło jej serce.

- Kiedy zdażyłeś to ugotować? Nie, słyszałam nawet, gdy wstałeś - powiedziała i natychmiast sobie uświadomiła, iż zabrzmiało to bardzo intymnie.

Linc najwyraźniej odniósł podobne wrażenie. Zmarszczył brwi.

- Byłaś wykończona. Musiałaś się solidnie wyspać i wypocząć. - Wziął swój talerz z zupą i gestem zaprosił do stołu Charlie.

- Jedz, proszę, bo wystygnie.

Dziewczyna sięgnęła po spodnie, włożyła je na siebie pod śpiworem i wstała z podłogi. Czyżby przez najbliższe cztery tygodnie Linc zamierzał być tak oschły? - pomyślała.

- Samolot w porządku? - zapytała biorąc talerz.

- Nic już nie powinno nas tutaj zatrzymać - odparł, sięgając po puszkę z brzoskwiniami. - Uważaj, gorące.

- Czuję.

Charlie zaczęła lekko mieszać zupę. W izbie zapadła ciężka cisza.

Po śniadaniu Linc spiesznie spakował ich dobytek do toreb. Ku radości Charlie zapomniał o pomysśle, aby nieść ją na barana do samolotu. Posuwali się powoli, ale sceneria była cudowna, jak na widokówkach. Linc od czasu do czasu odwracał głowę i sprawdzał, czy dziewczyna za nim nadąża.



Kiedy znaleźli się przy samolocie, ponownie oczyścił go z cienkiej warstwy śniegu, który napadał w ciągu nocy. Przy pomocy dziewczyny ustawił maszynę przodem do rozległej tafli zamrożonego jeziora i bez kłopotu uruchomił silnik. Start był dziecinnie łatwy.

Gdy już na dobre oderwali się od ziemi, pełna nadziei Charlie westchnęła z ulgą. Zajęty manipulowaniem przy radiu Linc nie zwracał na nią uwagi. Sceneria zapierała dech w piersiach. Poranne, błękitne niebo cięły postrzępione, pokryte olśniewająco białym śniegiem turnie masywu Alaska Range. Nie było ani jednej chmury i na twarzy Charlie złociły się gorące promienie słońca. Zważywszy przejścia dwóch ostatnich dni, dziewczyna czuła się zadziwiająco świeżo. Po kilku minutach popatrzyła na Linca.

- Czy mogę cię o coś spytać? Tak z prostej ciekawości - odezwała się. Pilot nie odwrócił głowy. Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w horyzont. No cóż, a czego mogła się spodziewać, pomyślał. Tej nocy chyba wyraźnie dałem jej do zrozumienia, co o tym sędzę.

- Sam się zadręczasz - oświadczyła, przekrzykując szum silnika, a kiedy znów nic nie odpowiedział, ciągnęła dalej: - Mam do ciebie zwykłe pytanie. Ilu zatrudniasz pracowników? Chodzi mi tylko o to.

Czekała, zdając sobie sprawę, że musi jej odpowiedzieć. Nie miał wyboru. Zbyt kochał park.

- Na pełnym etacie mam dziesięciu strażników. Ale w sezonie turystycznym wynajmuję jeszcze piętnastu, dwudziestu.

- A park? - spytała powstrzymując uśmiech. - Jaką ma powierzchnię?

- Ponad dwa miliony czterysta hektarów. - Linc omiół ją czułym spojrzeniem i rozchylił usta w uśmiechu. - Sędzę, że nie są to jedyne pytania, jakie chcesz mi zadać.

- Zadam więc kolejne, dobrze? Powiedziałaś „w sezonie turystycznym”. To znaczy kiedy dokładnie? I jak wiele osób

odwiedza park? Sądzę, że ludzie przybywają tu głównie z rodzinami.

- Tak. Poza tym wycieczki autokarowe z przewodnikiem. W zeszłym roku mieliśmy sto dwadzieścia tysięcy gości.

- Aż tylu? - zdziwiła się Charlie. - Czy macie wystarczającą bazę dla takiej liczby ludzi?

- Myślisz o polach namiotowych i hotelach? Nie. Ale Denali to nie Yellowstone.

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że nie interesuje mnie, gdzie ludzie się zatrzymują.

- Nie rozumiem. Przecież park narodowy ma właśnie przybliżać ludziom naturę.

- Tak, ale przede wszystkim należy dbać o sam rezerwat. Dzika zwierzyna też ma swoje prawa. Niedźwiedzie na przykład nie są przyzwyczajone do ludzi i stosów śmieci, jakie oni zostawiają. Naturalnie to dobrze, że przyjeżdżają tu turyści, ale, na Boga, nie w takich ilościach, by cierpiała na tym zwierzyna.

Charlie westchnęła. Ponownie sobie uświadomiła, ile dla Linca znaczy park.

- Więc jak sobie radzisz z nadmiarem zwiedzających?

- Przede wszystkim od kilku lat ograniczamy ruch samochodowy. Ludzie mogą wędrować, zabierać się autobusem wahadłowym lub jeździć na rowerze. Ale samochody mają prawo dotrzeć tylko do bramki przy Savage River. Znajduje się ona na trzydziestym kilometrze liczącej ponad dwieście kilometrów Park Road.

- Park Road? Czy to jedyna droga? Gdzie się kończy?

- Przy Cudownym Jeziorze.

Linc wymówił te słowa z takim uczuciem i przejęciem, że Charlie przebiegi po krzyżu dreszcz.

- Piękna nazwa.

Omiótł szybkim spojrzeniem jej twarz i widząc poważny wyraz, jaki na niej gości, uśmiechnął się.

- Zgadza się. To jedno z najpiękniejszych miejsc w parku Denali. Zwłaszcza kiedy jest dobra widoczność i można zobaczyć góry. Majestatyczne turnie skalne wyrastają na wysokość sześciu tysięcy metrów nad poziom morza.

- Mam nadzieję, że przed wyjazdem zobaczę tamto miejsce.

. - Może... Dlaczego się nazywasz Charlotte?

Jeśli nawet zdziwiło ją to pytanie, nie pokazała tego po sobie.

- Moi rodzice pochodzili z Południa, z Georgii. Babcia nazywała się Charlotte Madison i była prawdziwą południową pięknnością, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- A ty?

- Co ja?

- Czy ją przypominasz?

- O, nie - odparła ze śmiechem. - Jestem taką samą Charlottą jak ty Lincolnem.

Linc nie podzielał tego zdania. W jego przekonaniu Charlie była wspaniałą kobietą.

- Jakie masz plany? - spytał.

- Kiedy dotrzemy do celu? Zadzwonię do moich braci. I do Toma. Pewnie zamartwiają się o mnie na śmierć.

Zapomniał o jej braciach. Jeśli to, co mówiła o bliskich z nimi stosunkach, jest prawdą, rzeczywiście muszą przeżywać okropne chwile. A kiedy ostatnio ktoś martwił się o niego?

- Mówię o raporcie. Masz już plan pracy?

Przez chwilę wydawało się Charlie, że na jego brodatej twarzy dostrzega dziwny wyraz.

- Sądę, że przede wszystkim poszukam dziedzin, w których można przeprowadzić cięcia budżetowe.

Zmarszczył brwi.

- Jakich dziedzin?

- To zależy, na co wydajecie najwięcej pieniędzy.

- Czy oceniacie wszystkie parki razem, czy każdy osobno?

Charlie ze zdziwieniem zamrugła oczyma. Dobre pytanie.

- Niestety, trudno mi na to odpowiedzieć. Jeśli raporty innych, takich jak ja agentów, sugerować będą ogólną redukcję dotacji, na przykład na programy oświatowe, to w takim przypadku wszystkie parki potraktowane zostaną jednakowo. Ale dokładnie nie wiem. Ja mam zebrać możliwie najwięcej informacji o Denali.

- Jak zamierzasz tego dokonać w tak krótkim czasie?

Głos miał spokojny. Panował nad sobą dobrze, ale najwyraźniej coś go niepokoiło. Charlie przełknęła ślinę i zaczęła ostrożnie dobierać słowa.

- Przede wszystkim przejrzę wasze rachunki. Zanalizuję przychody i rozchody, by określić, gdzie macie nadmiar środków finansowych.

- Wszędzie brakuje nam pieniędzy. Już ci mówiłem. Fundusze na niektóre cele wydaliśmy co do grosza. - Przeciągną! palcami po brodzie.

- W Denali nie znajdziesz pieniędzy, które sobie leżą i czekają, aż ktoś zrobi z nich użytek. Do licha, przecież to teren większy od stanu Massachusetts.

Charlie obrzuciła Linca baczny spojrzeniem. Był bez kurtki i sweter z grubej wełny ciasno opinał jego potężne bary. Zacięła usta, ogarnął ją jakiś dziwny smutek. Ten mężczyzna przypominał jej wilka walczącego zajadłe o swoje terytorium. Charlie zapragnęła nagle zanurzyć dłoń we włosach Linca, pocieszyć go. Ale nie wykonała żadnego gestu, tylko bacznie go obserwowała, ciekawa, czy podejmie rozmowę.

- Linc - odezwała się po chwili.

- Uhm? - Lubił sposób, w jaki wymawiała jego imię. Miętko, niepewnie.

- Powiedz mi coś więcej o Denali. Czy w lutym przyjeżdża tu wielu turystów?

- W porównaniu z latem nie, ale zimą kręci się wielu narciarzy nizinnych. Ponadto zjawia się sporo alpinistów. Rokrocznie na Mount Denali wspina się około tysiąca osób.

Pilnowanie tego towarzystwa pochłania sporo czasu, energii i pieniędzy.

- Zupełnie nie rozumiem, komu o tej porze chce się ruszać z domu.

Linc uniósł lewą brew, ale nie odezwał się słowem. Rozejrzała się po kabinie, wzięła torebkę i wyjęła z niej długopis i kartkę papieru.

- A co jeszcze robią tu w zimie turyści? Podejrzewam, że popularne są skutery śnieżne.

- Nie. Jazda na skuterach śnieżnych jest zabroniona na terenie parku.

- Ach tak, pamiętam - żadnych pojazdów.

- Zwierzętom, które zapadają w sen zimowy, skutery mogłyby wyrządzić straszną krzywdę.

- Więc jak wy, strażnicy, poruszacie się po terenie? Na nartach?

- W pobliżu parku jeżdżą samochody. Na bliższe eskapady udajemy się na raketach śnieżnych. Większe dystanse pokonujemy na nartach. A kiedy trzeba dowieźć żywność i sprzęt do wysuniętych placówek, używamy psich zaprzęgów.

- Psich zaprzęgów? Macie tu psy?

- Tak, mamy.

- Ale z pewnością istnieją nowocześniejsze środki transportu. Jeśli nawet nie skutery śnieżne, to coś innego.

- Po co? Psy są w stanie dotrzeć praktycznie wszędzie bez względu na warunki pogodowe. Są wytrzymałe i potrzebują tylko jedzenia. Inne środki transportu wymagają wielkich ilości paliwa, a w niskich temperaturach bardzo często zawodzą.

- Twierdzisz, że gdyby nie psy, Denali zimą byłby praktycznie odcięty od świata?

- Zgadza się.

- A jeśli któryś z psów zachoruje? Macie weterynarza?

- Nie. Jeśli nie potrafimy sami sobie poradzić, kontaktujemy się z Fairbanks.

W tej samej chwili uwagę Linca przykuł dźwięk dobiegający z radia. Charlie umilkła. Zaczęła błędzić wzrokiem po cudownym, błękitnym przestworze nieba. Ogarnął ją nagle dobry nastrój, spłynął na nią spokój. Jeśli wszyscy strażnicy, z którymi przyjdzie jej rozmawiać, będą równie chętnie udzielać odpowiedzi, szybko zbierze potrzebne informacje i sporządzi raport. Może nawet znajdzie chwilę czasu i przed powrotem do Kalifornii nauczy się jeździć na nartach? Oparła głowę o drzwi i przystąpiła do uporządkowania w myślach wszystkich tych informacji, które usłyszała od Linca. Niebawem monotony szum motoru zaczął działać na dziewczynę usypiająco.

Charlie się obudziła, kiedy samolot zaczął podchodzić do lądowania.

- Jesteśmy już na miejscu? Przepraszam za wszystkie awantury, jakie wywołałam.

- Nie ma sprawy.

Linc popatrzył na dziewczynę tak obojętnie, że chłód zmroził jej serce.

Teraz pilot skupił całą uwagę na instrumentach. Mocno zacisnął powieki, po czym natychmiast je otworzył. Spokojnie, mruknął w duchu. Jeszcze kilka minut i nie będziesz już z nią sam na sam.

Lądowanie w Denali przeszło gładko.

Linc wyskoczywszy z maszyny, dostrzegł zgromadzonych przed budynkiem administracyjnym ludzi. Ted przewyższał wszystkich o dobrych trzydzieści centymetrów. Na głowie miał czapkę z napisem „Uwielbiam Alaskę”, którą wolał od służbowego nakrycia głowy. Obok stała Sam z rozwianymi płomiennorudymi włosami, a dalej inny strażnik, Al. I jeszcze dwójka nieznanymi.

- Ryan? Kyle?

Choć dziewczyna słowa te wypowiedziała szeptem, Linc wyraźnie je usłyszał. Obserwował, jak na twarzy Charlie pojawia się szeroki uśmiech, a oczy lśnią szczęściem. Patrzył,

jak dziewczyna rusza biegiem przez pas startowy. Jeden z obcych mężczyzn chwycił ją w pól i zaczął kręcić się w kółko.

Tyler ruszył wolno w stronę budynku. Opowiadając przyjaciółom pokrótce o pogodzie, jaka mu się przytrafiła, nie spuszczał wzroku z witającej się trójki rodzeństwa.

- No, już dość! Ryan, postaw mnie na ziemi! - zawołała ze śmiechem Charlie. - Nie mogę wprost uwierzyć. Tak się o was martwiłam... Wyobrażałam sobie, jak musiała wami wstrząsnąć wiadomość o tym, że nasz samolot zaginął.

- Och...! - Ryan znów porwał siostrę w ramiona. - To naprawdę ty?

- Ryan, ja też się za nią stęskniłem.

- Och, Kyle, chodź i ty! - wykrzyknęła Charlie i wpadła w ramiona drugiego brata. Był niższy i bardziej krępy niż Ryan, miał brązowe włosy i poważne, zielone oczy. - Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Co tu robicie? W jaki sposób tak szybko dotarliście do Denali?

Pytania padały jedno po drugim. Charlie jednocześnie śmiała się i płakała.

- Nie wierzę - powtarzała, ściskając Kyle'a. - Cóż za cudowna niespodzianka.

Bliźniacy wcale nie byli do siebie podobni. Ryan mierzył dobrych sto dziewięćdziesiąt centymetrów i miał budowę atlety. Na pierwszy rzut oka widać było, że najwyżej w życiu cenił sobie tężyznę fizyczną. Kyle stanowił jego przeciwieństwo. Życie brał bardzo poważnie, a każdą decyzję podejmował po długim i głębokim namyśle. Jego ideałem był Perry Mason. Obaj bracia bardzo się kochali, choć nieraz dzikie pomysły Ryana działały Kyle'owi na nerwy, a flegmatyczny sposób bycia Kyle'a denerwował Ryana.

- Jak dostaliście się do parku? Linc twierdzi, że w taką pogodę nie latają żadne samoloty.

- Linc?

- Pilot, baranie - odparł Ryan i wybuchnął śmiechem. - Facet zapewne ma rację, ale samoloty nas nie interesowały. Przyjechaliśmy koleją. Ale wiało! Takiej burzy śnieżnej nigdy jeszcze w życiu nie widziałem. Coś fantastycznego!

Charlie i Kyle wymienili znaczące spojrzenia.

- Tak było, siostrzyczko - ciągnął Ryan. - Poza tym pociąg jest tani. Obniżka posezonowa.

- A kto wam powiedział o mojej przygodzie? - ponownie spytała Charlie.

- Och, przepraszam. Zatelefonował do nas Tom. Natychmiast spakowaliśmy manatki i w te pędy przybyliśmy tutaj.

- To niezupełnie tak - przerwał mu Kyle, spoglądając na brata z irytacją.

- Oczywiście - odrzekł Ryan ze złośliwym błyskiem w oczach.

- Przybylibyśmy tu o wiele szybciej, gdybyś wszystkiego tak długo nie planował.

- Bilety są drogie, Ryan. Musiałem wymyślić najtańszy sposób.

- On ma rację - poparła brata Charlie. - Sam wiesz najlepiej, że nie jesteśmy bogaci.

- Dzwonił do wszystkich chyba Unii lotniczych na świecie. I co? Wszędzie mają takie same ceny. Powinien domyślić się tego już po trzecim telefonie.

- Ale o tym jeszcze nie było nam wiadomo. Kiedy sprawdziliśmy...

- Wiem, dopiero wtedy mogliśmy coś orzec. - Ryan doskonale naśladował flegmatyczny sposób mówienia Kyle'a.

- Jeśli w taki sposób zachowywałaś się w zeszłym tygodniu w obecności Julie, nie dziwię się, że dała ci po gębie.

Kyle poczerwieniał.

- Ale to przynajmniej jest w jakimś stylu. Mogę ci tylko powiedzieć tyle, zakuta pało, że zabieranie Anny na jogging po to tylko, by... - przesłał szybkie spojrzenie Charlie, która ich



sprzecze przysłuchiwała się w osłupieniu - ...popatrzeć sobie na jej... hm... figurę...

Ryan wybuchnął śmiechem i klepnął brata po plecach.

- Dobra, starczy. Jesteśmy na Alasce, mam rację? Od kłótni można dostać wrzodów żołądka.

- No tak. Zatem, jak to elegancko wyłożył Ryan, spakowaliśmy manatki i w te pędy przybyliśmy tutaj.

- Teraz ty, Charlie. Co wam się właściwie przytrafiło?

- chciał wiedzieć Ryan.

- Chwileczkę, a co z waszą uczelnią? Przecież macie sesję.

Kyle popatrzył na Ryana tak, jakby chciał powiedzieć: „a nie mówiłem”.

- Profesorowie nie byli zachwyceni. Ale kiedy wyjaśniłem im powody, pozwolili mi jechać. Mogę tu zostać do końca sesji. A egzaminy zdam po powrocie, na początku semestru.

- A ty, Ryan? - spytała Charlie.

- Wszystko w porządku, siostrzyczko. Bułka z masłem - odparł. - Ale mów, co ci się wydarzyło. Gdzie się ukrywałaś? Mieliśmy tylko prognozy pogody. Wszystkie były paskudne.

- Mam nadzieję, że przeczekałaś burzę w przyzwoitych warunkach.

- Och, braciszku - wymamrotał Ryan, wywracając oczyma.

- Oczywiście - odrzekła Charlie, ignorując błazeństwa brata. - Linc na szczęście doskonale zna tamte okolice. Wylądowaliśmy na zamrzniętym jeziorze w pobliżu niewielkiego domku myśliwskiego. Przeczekałszy złą pogodę, odkopaliśmy spod śniegu samolot i przylecieliśmy tutaj. To wszystko.

- Wszystko? - Kyle obrzucił ją pełnym niedowierzania spojrzeniem. - Z pewnością było jeszcze coś.

- No, Charlie, co jest? Ja, na przykład, chcę znać szczegóły.

- To naprawdę wszystko, chłopcy. Tylko lądowanie było emocjonujące. Potem... nuda. Niewiele miałam do roboty. Wylegiwaliśmy się w śpiworach i czekaliśmy na poprawę pogody.

- Uuu, siostrzyczko - mruknął Ryan.

- Chwileczkę - wtrącił Kyle, patrząc bacznie na Charlie. - Wylegiwaliście się?

Charlie westchnęła. Dałbyś spokój, Kyle, pomyślała. Brwi Ryana uniosły się i opadły. Po twarzy przebiegł mu cień.

- Z tym Rambo?

Charlie w lot zrozumiała, że ma na myśli Linca.

- Nazwałam go Dzikus z Północy - wyznała szeptem. Teraz z kolei brwi Kyle'a powędrowały w górę.

- Od chwili, kiedy wysiadłaś z samolotu, ten typ nie spuszcza z nas oka. Jesteśmy bracia Mara, jeśli powiedziałaś nam całą prawdę - mruknął Ryan. - No, siostrzyczko, o co chodzi? Mamy mu przyłożyć?

- Ryan, zamknij się! - Charlie rozejrzała się. Jęknęła w duchu, kiedy napotkała wzrok Linca. Czyżby słyszał?

Wspaniale! Jej bracia, podobnie jak ojciec, byli atletycznie zbudowani, ale dla Linca to żadni przeciwnicy. Zarumieniła się, co jej bracia od razu zauważyli. Nie, takiej konfrontacji dziewczyna bynajmniej sobie nie życzyła.

- Idzie do nas - stwierdził sucho Ryan.

Charlie odwróciła się, by zrobić miejsce dla Linca. Wiedziała, że twarz ma czerwoną jak piwonia.

- Linc, chciałabym ci przedstawić moich braci, Kyle'a i Ryana.

- Dzięki za opiekę nad naszą siostrą. - Postępujący zawsze dyplomatycznie Kyle wyciągnął rękę.

Ryan długą chwilę stał bez ruchu, wprowadzając tym Charlie w coraz większe zakłopotanie. W końcu jednak i on wyciągnął dłoń.

- Pewnie. Należą się panu podziękowania.

Linc, nie zwracając uwagi na aroganckie zachowanie Ryana, skinął głową. Śmieszyła go ich nadopiekuńczość.

Najwyraźniej żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że ich siostra doskonale potrafi o siebie zadbać.

- Nie ma sprawy. Dobrze, że wszystko skończyło się szczęśliwie. - Rozbawił go widok rumieńców na twarzy Charlie.  
 - Sam powiedziała, że jesteście już tu, panowie, od jakiegoś czasu.

- Kto to jest Sam? - Charlie głęboko wciągnęła powietrze.

Jak zdołam z nim pracować, pomyślała, skoro za każdym razem, kiedy pojawia się obok mnie, natychmiast staje mi przed oczyma domek myśliwski. Kyle tęsknie westchnął.

- Zauważyłaś, jakie cudne są te jej rude włosy?

- C.co?- Charlie rozejrzała się.

- Zakochała się we mnie - oświadczył Ryan.

Linc uśmiechnął się pobłaźliwie. Młodzi ludzie sprawiali sympatyczne wrażenie, ale Tyler nigdy nie wyciągał pochopnych wniosków. Zachwyt chłopaka nie był niczym oryginalnym. Wszyscy mężczyźni w parku podkochiwali się w Sam. Wszyscy, z wyjątkiem Linc. Linc Tyler nie kochał żadnej kobiety.

Strażnik nieoczekiwanie odwrócił się i skinął w stronę grupy stojących w pewnym oddaleniu ludzi.

- Al! Ted! Sam! Chodźcie poznać konsultanta! Kiedy podeszli, Linc zaczął prezentację.

- Charlotte Madison. A to są: Alvin Brown, Ted Feinberg i Samantha Harper. Dzięki nim wszystko tu funkcjonuje jak należy. - Trójka nowo przybyłych otoczyła ich półkolem. - Al, poza swoimi normalnymi obowiązkami, pilnuje, byśmy mieli pełną spiżarnię i aby sprzęt dobrze funkcjonował.

Niski, szczupły mężczyzna o sterczących, krótkich, jasnych włosach uśmiechnął się szczerze.

- A to Ted, nasz pilot - ciągnął Linc. - Bardzo doświadczony wspinacz górski.

- Czemu pan nie gra w baseball? - spytała Charlie, zadzierając wysoko głowę. Mężczyzna liczył dobre dwa metry wzrostu.

Wzruszył ramionami.

- Lubię latać i uwielbiam Alaskę. Widzi pani? - Wskazał palcem napis na czapce. - Poza tym, co nasz poczciwy Linc zrobiłby beze mnie?

- Poczciwy Linc zrobiłby bardzo dużo - rozległ się miękki kobiecy głos. - Cześć, jestem Samantha.

- Każdego mężczyznę przyprawia o szybsze bicie serca

- wyjaśnił Linc, nie zważając na mocny szturchaniec dziewczyny.

- Wszystkich z wyjątkiem ciebie, Linc. Mów mi Sam - spojrzała wesoło na Charlie.

- Wreszcie będziemy tu mieli jeszcze jakąś kobietę.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem i gremialnie ruszyło w stronę dwóch samochodów zaparkowanych przy odśnieżonej drodze biegnącej wzdłuż pasa startowego.

- Ryan! - zawołał Ted rzucając mu kluczyki. - Pokaż swojej siostrze jej lokum. Okolice stacji zwiedzi sobie później.

- Dobrze - odparł chłopak, łapiąc w powietrzu klucze.

- Jesteś gotowa na gorący prysznic i puchowe łóżko?

## Rozdział 9

Prowadząc samochód, Ryan gadał jak nakręcony.

Minęli tory kolejowe, a następnie hotel „Denali National Park” ze sklepami pamiątkarskimi, restauracjami, barem i nocnym lokalem. Potem skręcili w Park Road, przejechali obok magazynu handlowego i stacji benzynowej, i znaleźli się w dzielnicy mieszkalnej. Budynki były stare, nieokreślonej barwy, ale w jakiś sposób komponowały się z rosnącymi wszędzie świerkami. Ryan oświadczył, że mieszkania są tu dwu- i trzypokojowe. Ich umieścili w dwupokojowym, należącym do faceta imieniem Bobby, który wyjechał właśnie na urlop na Hawaje.

- Kyle, mogę się założyć, że między nimi dwojgiem coś zaszło - powiedział cicho Ryan, kiedy wnosili do domu walizki Charlie.

- Daj spokój. - Kyle postawił bagaż na środku salonu.

- Ty, Ryan, jak zwykle wieszysz jakąś aferę. Kiedy się do nas zbliżał, faktycznie był spięty, ale to niczego nie dowodzi.

- Chyba żartujesz. Już taki nie jestem. Coś się tutaj najwyraźniej dzieje, a my nie mamy o tym zielonego pojęcia.

- Lepiej się prześpij, bo zaczynasz gadać trzy po trzy. Ten facet był po prostu zmęczony. Dwa ostatnie dni to niewątpliwie nie był dla niego piknik. Popatrz zresztą na Charlie.

Właśnie weszła do pokoju i spytała o toaletę.

- Pierwsze drzwi na lewo - poinformował Ryan i wyciągnął się na wytartej kanapie.

- Mówię ci, Kyle, przejrzałem go na wylot. I powiem ci coś jeszcze...

- W to nie wątpię - mruknął sucho Kyle, kierując się do kuchni.

- Linc świetnie wie, co o nim myślę. Wie, ale nic sobie z tego nie robi.

Kyle wybuchnął śmiechem i otworzył lodówkę.

- Hej, Charlie! Kupiliśmy gotowe kanapki. Tutejszy sklep jest wyśmienicie zaopatrzony. Znajdziesz w nim wszystko, czego potrzebujesz. Chcesz kanapkę?

- Pewnie! Dzięki, Kyle! - odrzyknęła Charlie. Chłopak zaczął rozpakowywać jedzenie.

- To rozumiałe, że Tyler nic sobie z tego nie robi, bo niby co go obchodzisz. Bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie, Ryan, nie jesteś dla niego przeciwnikiem.

Wyciągnął z lodówki karton soku, a następnie sięgnął do kredensu po szklanekę. Ryan mruczał coś po nosem.

- Och, czyżbym cię uraził? - Kyle wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że musiał odstawić szklanekę.

- Ryan, Lincoln Tyler zjada zapewne na śniadanie korę z drzewa i popija ją dzbankiem czarnej kawy. Tyjesz płatki z mlekiem. - Znów się roześmiał. - Nie jesteś dla niego groźny.

Z łazienki wynurzyła się Charlie. Na jej twarzy malowało się zdecydowanie.

- Jak go nazwałaś? Dzikus z Północy? - zapytał Kyle, sącząc sok. - W lodówce czekają na ciebie kanapki.

- Dzięki.

Charlie nachmurzyła się. Była zła na siebie za to, że wspomniała o tym przydomku. Przeszła przez pokój i podniosła walizkę. Czas się rozpakować, pomyślała. A potem pryszcic. Bracia mają rację. Wyglądam jak dzikuska!

- Pierwsze drzwi na prawo. - Ryan wskazał dziewczynie jej pokój i odebrał od niej walizkę. Ruszył za siostrą wąskim korytarzem.

- Nie podoba mi się ten twój Tyler, siostrzyczko - oświadczył.

Kiedy znaleźli się w pokoju Charlie, położył jej bagaż na łóżku.

- O czym ty gadasz? - spytał Kyle, stając w progu z drugą walizką. Odstawił ją na podłogę, rozejrzał się po pokoju i przysiadł na skraju nocnego stolika. - Jak na mój gust, facet jest całkiem, całkiem.

- Zapewne - burknął Ryan. - Powinniśmy mu dać wycisk.
- Po co? - Kyle rzucił bratu zniecierpliwione spojrzenie.
- Nic nie rozumiem.
- Nie martw się. Peny Mason też często gubił trop. - Ryan wskazał głową na Charlie. - Zapytaj ją. Dobrze wie, o czym mówię.

Charlie starając się nie zwracać uwagi na ich komentarze, odchyliła klapkę brezentowej torby, ale policzki miała czerwone jak rak.

- I co?- spytali obaj bracia jednocześnie. Dziewczyna wiedziała z doświadczenia, że jeśli nic nie powie, będą tak sterczeć w jej pokoju całą noc.

- W porządku, w porządku. Sama to zauważyłam. Ale to nic nie znaczy. Linc po prostu jest bardzo impulsywny.

Pochyliła się nad bagażem i zaczęła wyjmować ubrania.

- A teraz zmieńmy temat - powiedziała stanowczo, wręczając każdemu z braci stos swoich rzeczy. - Włóżcie to do szafy. Byłe jak. Poukładam później. A tak na marginesie, zostawiliście w łazience straszliwy bałagan.

Ryan zamrugał oczyma i zaczął wieszać w szafie ubrania siostry.

- Posprzątamy - zapewnił. - Mieliśmy na głowie ważniejsze sprawy.

- Powiedz nam lepiej o tej burzy. Bałaś się?- spytał Kyle.

- I to jeszcze jak! Ale Linc jest doświadczonym pilotem - odparła Charlie z uśmiechem. Tyler mógł być nieznośnym, zamkniętym w sobie człowiekiem, ale samolot prowadzić umiał.

- Kiedy tylko wydostaliśmy się z chmur, dostrzegł jezioro i od tej chwili wszystko już poszło gładko.

Kyle podniósł drugą walizkę i położył ją na łóżku.

- Ale dlaczego w ogóle wystartował? Nie wiedział, że idzie burza?

- Moim zdaniem jest zupełnie nieodpowiedzialny. Powinniśmy dać mu wycisk.

- Ryan, zamknij się na chwilę. Już ci mówiłam, to wyśmienity pilot. - Charlie zdziwiła się, że broniąc Linca krzyczy na brata.

- Skoro uważał, że można startować, czy mogłam się z nim spierać? No i w końcu dowiózł mnie tutaj całą i zdrową.

- Ale przyznasz, że to było niebezpieczne. Mogliście się zabić.

- Ale się nie zabiliśmy, Kyle - odparła z uporem. - Linc odnalazł jezioro i wylądował. Skaleczyłam sobie tylko głowę, to wszystko.

- Zobaczmy - powiedział Ryan, odkładając trzymane ubrania.

Charlie westchnęła i odchyliła bandaż. Ryan gwizdnął cicho i wymienił z bratem spojrzenie.

- Przestańcie! - krzyknęła Charlie. To stanowczo był nadmiar opieki. Zasłoniła skaleczenie. - To tylko zadrapanie.

- On ci tak powiedział? - warknął Ryan.

- Mogłaś mieć wstrząs mózgu - dodał Kyle.

- Jeśli o mnie chodzi, sądzę, że powinniśmy dać mu...

- Ryan! - krzyknęli jednocześnie Charlie i Kyle.

- Dobrze, już dobrze. Ale pamiętajcie, ostrzegąłem was.

- Tak więc opuściliście samolot - odezwał się po chwili milczenia Kyle i Charlie skinęła głową. - Co dalej?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, ciekawa, jak długo jeszcze będzie trwało to przesłuchanie.

- Dalej nic. Czekaliśmy, aż ucichnie burza.

- A domek? - spytał Kyle, siadając na brzegu łóżka. - Jaki on był? Czy to jeden z tych wielkich domków myśliwskich z wygodami?

Charlie o mało nie wypuściła z rąk skarpetek, które właśnie wyciągnęła z walizki. Wielki domek myśliwski? Z wygodami? Łaska boska, że w ogóle mieli dach nad głową! Praktycznie musieli grzać się nawzajem ciepłem swych ciał. Na policzki natychmiast wystąpiły jej rumieńce.

- Prawdę mówiąc, chata sprawiała wrażenie przeniesionej żywcem z Dzikiego Zachodu. Wszystko tam zrobione było z



drewnianych bali - stół, krzesło, sam dom. Miałam wrażenie, że lada chwila wkroczy do środka Daniel Boone. Ale na dworze panowały takie warunki, że nawet on nie wychyliłby nosa za drzwi. Dziękuję Bogu, że w ogóle trafiliśmy... na ten domek.

Na twarzy jej braci pojawił się wyraz niedowierzania.

- Mogliście zabłądzić, Charlie - powiedział głucho Kyle.

- A nawet zamarznąć na śmierć - dodał Ryan.

- Linc kontrolował sytuację... - zaczęła, ale Kyle jej przerwał.

- Cholera jasna, Charlie. Panowała przecież taka zadymka, że nic nie widziałas na wyciągnięcie ręki. Mogliście w ogóle nie znaleźć tego domku.

- Nie klnij - automatycznie upomniała go dziewczyna i dodała: - Ale znaleźliśmy.

- Nie o to chodzi! - wykrzyknął Ryan. - Co skłoniło Tylera, że w ogóle cię tam zawłókł? Zwariował czy co?

- Chłopcy, powinniście bardziej ufać Lincowi. To tutaj najbardziej doświadczony strażnik. W samolocie zamarzlibyśmy. Dobrze o tym wiedział. Nie było innego wyboru. Musieliśmy dotrzeć do tej chaty.

- Cała historia nabiera coraz ciekawszych aspektów - odezwał się za swego miejsca na łóżku Kyle. - Dotarliście do domku. Co dalej?

- A co miało być dalej? Mam już dość tego krzyżowego ognia pytań. Muszę wziąć prysznic i zabrać się do pracy. Straciłam dwa dni.

Zaczęła gromadzić przybory toaletowe.

- Jeszcze jedno, Charlie. Spojrzała na Kyle'a.

- O co chodzi?

- Czy on coś kombinował?

Policzki dziewczyny spłonęły szkarłatem. Twarze obu braci były niczym chmury gradowe.

- No cóż, damy mu wycisk.

Padął śnieg. W miejscu, gdzie stały cztery rzędy klatek dla psów, panował nieopisany hałas. Psiarnia znajdowała się po

drugiej stronie zbudowanego z belek budynku, w którym mieściło się główne biuro i centrum turystyczne. Kiedy Linc minął dziedziniec i zbliżył się do psiarni, przez ujadanie zwierząt usłyszał dwa męskie głosy. Braciszkanie Charlie, pomyślał. Najwyraźniej coś kombinują. Przykucnął przed jedną z klatek i zanurzył dłoń w gęstym futrze czarnego husky. Pies zaskomlał z radości, a reszta zwierzątek głośnym skowytom również próbowała zwrócić na siebie uwagę. Linc doskonale zdawał sobie sprawę z przyczyny gniewu bliźniaków.

Przez ostatnie dwa dni unikali go jak ognia i całą uwagę skupiali na zwiedzaniu okolicy. Ale wiedział, że konfrontacja jest nieunikniona. Ich oczy były pełne pretensji. Zwłaszcza oczy Ryana.

Najwidoczniej Charlie wszystko im opowiedziała. Gdyby trzymała język na wodzy, do żadnych scysji by nie doszło. Zdaniem Linca to, co zaszło między nim a Charlie, było wyłącznie ich sprawą, więc nikt nie powinien się w to wtrącać. Ryan i Kyle również.

Skrzypienie śniegu dało mu znać, że bracia Charlie nadchodzą. Linc obojętnie sprawdził, czy psy mają pełne miski. Myślą, że znaleźli sobie ofiarę, mruknął rozbawiony. No cóż, szybko przekonają się, że są w błędzie..

Charlie też. A zresztą, niech wynosi się do diabła.

Żałował tylko jej braci. Byli zapewne bardzo sympatycznymi chłopakami, którzy na swoje nieszczęście za bardzo dbali o siostrę. Nie ich wina, że Charlie jest taka dwulicowa.

Poprzedniego wieczoru zamknęła się w biurze, które jej przygotował, i obłożyła się stosami dokumentów. Jeszcze wcześniej przeprowadziła rozmowy z pracownikami. Czyżby specjalnie go unikała, by udowodnić, że nie potrzebuje jego pomocy?

Nieoczekiwanie umieszczone w klatce psy zaniósł się ujadaniem. Wyczuły obcych. Linc odwrócił się. Twarz miał wypraną z emocji. Ryan przeciwnie. Z wyrazu oczu tak łatwo

dało się wyczytać uczucia, jakie żywił do Tylera, że ten omal nie wybuchnął śmiechem. Obaj bracia zresztą patrzyli nań wilkiem. Linc wiedział, że Ryan nie ma szans. Gdyby był na tyle głupi, żeby zacząć z takim przeciwnikiem jak Tyler, nie wygra.

No, chłopcy, zaczynajcie, pomyślał. Do was należy pierwszy ruch.

- Dawno nie widzieliśmy takich śniegów - zaczął Kyle tonem towarzyskiej pogawędki. Podniósł kołnierz narciarskiej kurtki.

- Ale psom najwyraźniej nie szkodzą.

Linc rozejrzał się. Zaczynają niewinnie. W porządku, pomyślał. Możemy się chwilę pobawić.

- Są przyzwyczajone do tego klimatu. Im zimniej, tym czują się lepiej.

- Jaka to rasa? - Kyle dał krok naprzód, kucnął obok Linca i pogłaskał psa.

- Husky - odparł szorstko Tyler i po chwili, by załagodzić niegrzeczny ton, dodał: - Z czterech zaprzęgów, jakimi dysponuje park, w trzech chodzą husky. Są duże, silne, mają szerokie klatki piersiowe i bardzo gęste futro.

- A czemu nie używacie skuterów śnieżnych i śniegołazów? - zapytał wyzywająco Kyle. - Są szybsze, tańsze, nie trzeba ich tresować. To chyba prostsze rozwiązanie.

Linc popatrzył nań spod spuszczonej lekko powiek.

- Może i prostsze, ale nie o to chodzi. Nie używamy w parku tego typu pojazdów. Są niebezpieczne.

- To zależy, kto nimi kieruje, prawda? - spytał Ryan. Linca ogarnęła ślepa furia.

- Nieprawda. I jeśli się ode mnie nie odczepicie, wyfruniecie stąd w takim tempie, że nawet wasza siostrzyczka nie zdoła was złapać.

Obu braci zatkało. Pierwszy opamiętał się Ryan. Postąpił krok do przodu.

- O co, do cholery, panu chodzi?

Na widok zaciśniętych pięści chłopaka Linc zmrużył oczy i spuścił głowę. Kiedy ją znowu podniósł, na twarzy malował się drwiący uśmiech.

- Jest pan człowiekiem wykształconym... Proszę samemu się domyślić.

Ryan dał kolejny krok do przodu.

- Zaczekaj. - Kyle chwycił brata za ramię i odwrócił się w stronę Linca. - Nie wiem, czemu zaognia pan sytuację. My chcemy tylko porozmawiać.

- To już coś. - Linc oparł się o klatkę, nie zwracając uwagi na śnieg padający ogromnymi płatkami. - Widzę, że ma pan trochę oleju w głowie. O co chodzi pańskiemu bratu? - Wskazał palcem na Ryana.

Ryan szarpnął się w uścisku swego bliźniaka.

- Do cholery, Kyle, pozwól mi...!

- Chcesz, żeby spuścił ci łanie?

Linc roześmiał się szyderczo Ryanowi w nos.

- Niech pan lepiej posłucha brata, Ryan. On wie, co mówi. Chcicie pogadać? Dobrze, ale niech najpierw wsadzi pan głowę pod kran z zimną wodą. - Linc znowu popatrzył na Kyle'a. - Z pewnością nie przyszlście tu dowiedzieć się, jakiej rasy są psy. Może się tym zająć Sam, jeśli... - zwięziły mu się oczy -.. jeśli już tego nie zrobiła.

Ryan nieoczekiwanie strząsnął z ramienia dłoń brata. Ten przeciągnął palcami po włosach.

- W porządku - rzekł cicho Linc. - Krótko, o co chodzi? Nie mam ochoty tracić czasu.

Kyle chrząknął.

- Doskonale, my też.

- No więc? - zadrwił Ryan zaczepnie, wciskając dłonie w kieszenie džinsów.

Linc wzruszył ramionami i czekał. Zmieszani Kyle i Ryan wymienili spojrzenia.

- No słucham, wasz ruch, panowie - odezwał się po chwili Tyler.

Kyle znów chrząknął. Linc popatrzył na niego z uwagą.

- No tak, panie Tyler, sądzę... jeśli chodzi o ścisłość...

- Jezu słodki! - Linc gwałtownie oderwał się od klatki, o którą był oparty. - Posłuchajcie, nie mam zamiaru wścibiać nosa między waszą siostrę a jej chłopaka. Nie mam zamiaru więcej się jej narzucać. A i ona też nie jest mną zainteresowana. Więcej się to nie powtórzy. Tyle mogę panom obiecać.

Ostatnie słowa zabrzmiały w zimnym powietrzu jak wystrzał z armaty. Linc wodził spojrzeniem po bliźniakach. Ci stali jak dwa nieruchome posągi. Ze zdumienia mieli otwarte usta.

- O co wam chodzi? - warknął Tyler.

- A o co panu chodzi? Charlie powiedziała, by trzymał się pan od niej z daleka? Powiedziała, że pan jej nie interesuje?

Ton Ryana sugerował, że chłopak sądzi, iż Linc zwariował myśląc, że Charlie choć na chwilę mogłaby zwrócić na niego uwagę.

Mężczyzna zamrugnął oczyma, ale pohamował gniew przypomniawszy sobie, że bronią swojej siostry.

- Ale pan się nią interesuje, prawda? - spytał z naciskiem Kyle.

Pytanie spadło na Linca niczym kafar.

- I co ma się więcej nie powtórzyć? - dodał Ryan, zaciskając pięści.

Sytuacja zaczęła być znów groźna.

- Niech pan zabierze ręce, bo pan pożałuje - ostrzegł Ryana Linc.

- Mamy prawo wiedzieć. To nasza siostra.

- Ale mój problem. Czy to Charlie was tu przysłała? -W pierwszej chwili chciał powiedzieć „kobieta mego życia”, ale poskromił język.

- Nie musiała nas przysłać - warknął Ryan.

- To prawda - wtrącił cicho Kyle, którego wyraz twarzy, dotąd pełen wahania, wskazywał, że i on nabrał już pewności. - Charlie nie wie, że tu przyszliśmy. A jeśli chodzi o jej chłopaka, nie wiem, co strzeliło jej do głowy. Od czasu Dona nie ma żadnego...

- Zaniknij się. Ten facet musi nam to i owo wyjaśnić.

- To, co zaszło między mną a Charlie, to nie wasz zakichany interes, panowie. Mogę was zapewnić tylko, że to się już więcej nie powtórzy.

Z tego, co powiedział Kyle, wynikało jasno, że Charlie nie ma żadnego mężczyzny. Był, ale kiedyś. Czy mogę im uwierzyć? - zastanawiał się Linc. Może po prostu nic nie wiedzą o aktualnym kochanku swej siostry? Nie. Dziewczyna była może złośliwa, ale nie okłamywałaby swych braci. Linc w jednej chwili zrozumiał, że skrzywdził Charlie. Ona mówiła prawdę. Nie miała narzeczonego, nie miała kochanka. Linc wyszedł po prostu na durnia. Tak samo najwyraźniej uważał Ryan.

- No cóż - powiedział cicho Linc i powoli wyciągnął rękę. Kyle spojrzał przenikliwie na Ryana. Ten wytrzymał spojrzenie.

- On jest w porządku, Ryan - oświadczył. - Dobrze o tym wiesz.

Wolnym ruchem Ryan podał Lincowi dłoń, ale wzrok chłopca wyraźnie mówił: jeden fałszywy krok, a wrócę. Nie wolno ci jej skrzywdzić.

Linc w milczeniu pokiwał głową.

- To co, wypróbujemy psy? - spytał. Oczy Kyle'a rozbłysły.

- Pewnie.

- No wiesz, braciszku - mruknął Ryan, ale na twarzy pojawił mu się cień uśmiechu.

## Rozdział 10

- Uwielbiam tę pracę - oświadczyła Samantha. Rozmowa z Charlie przeciągnęła się aż do południa i Sam zaprosiła ją na lunch. - Alaska jest ekscytująca, a Denali wzorowym przykładem dobrze prowadzonego parku. Linc ma inwencję, a jego plany są porywające. Gdybym tylko miała okazję spędzać z nim więcej czasu...

- Więcej czasu? - Serce Charlie zamarło. - To znaczy że ty i on...?

Sam spojrzała na nią szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Kanapka, którą uniosła właśnie do ust, zawisała w powietrzu. - Jezusie Nazareński! Skąd ci taki pomysł przyszedł do głowy?

- Cóż, tego dnia, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkały, powiedziałeś coś podobnego... - Głos Charlie zdrzał. Była zupełnie wytrącona z równowagi.

Na widok rumieńców, jakie wystąpiły na policzki dziewczyny, Sam wybuchnęła śmiechem.

- Chcę nauczyć się od niego technik zarządzania parkiem, nie technik łóżkowych! Więc tym się akurat nie zajmuj. Uwier mi, Linc to bardzo atrakcyjny facet. Zwłaszcza jeśli lubisz męskich, chociaż szorstkich mężczyzn. A od czasu rozwodu jest wolny. Kobieta musiałaby mieć nie po kolei w głowie, gdyby...

Serce Charlie ponownie zamarło.

- Rozvodu...?

- Tak. Jego była żona Amy porzuciła go jakieś pięć lat temu. Od tego czasu jest zupełnie sam. Nie wiem dokładnie, co między nimi zaszło. Linc jest bardzo skryty i nie zwierza się nawet najbliższym przyjaciołom. - Sam pociągnęła łyk coli i mówiła coś dalej, ale Charlie nie słuchała.

Czemu żona go porzuciła? Czy to Linc jej nie chciał, czy też ona tak zdecydowała? Czemu nic o tym nie wspomniał tam, w domku myśliwskim? Charlie natychmiast odpędziła te myśli.

Małżeństwo Linca to nie jej sprawa, podobnie jak Tyler nie powinien wtrącać się do jej życia.

- .. czyż nie mam racji? Charlie zamrugła oczyma.

- Racji? No cóż...

- Kiedy ostatni raz porządnie się wyspałaś?

W ramionach Linca, przemknęło Charlie przez głowę. Popatrzyła na kanapkę. Straciła apetyt.

- Wiesz, wydaje mi się, że za dużo pracujesz. - W głosie Sam zabrzmiały nutki zatroskania. - Dwa bite dni spędzone na wywiadach, a noce przesiedziane w biurze. Masz podkrążone oczy, Charlie. Dziwne, że jeszcze trzymasz się na nogach. Raport raportem, ale i tak w ciągu tygodnia nie wyrobisz miesięcznej normy.

Charlie uśmiechnęła się ponuro.

- Mówisz jak moi chłopcy.

Sam odruchowo popatrzyła na lewą dłoń Charlie.

- Twoi chłopcy? Masz dzieci?

- Niestety, muszę cię rozczarować. Tak nazywam Kyle'a i Ryana, moich braci. Zajmuję się nimi od czasu, kiedy chodzili jeszcze do szkoły podstawowej. Ale masz rację, czasami myślę o nich jak o własnych synach.

- Och... rozumiem. Ale chyba przesadzasz - odparła Sam.

- Czasami przecież musisz odpocząć. Powinnaś\* zwiedzić park, a nie sterceć bez przerwy w biurze. Przecież od chwili przyjazdu do Denali nic tylko pracujesz i pracujesz. A gdzie rozrywki?

- Sam, muszę wykonać zadanie...

- Nie musisz, skoro ma cię to wykończyć - przerwała jej Sam.

- Poproś Linca, to zabierze cię do parku. Zna tutaj naprawdę fantastyczne miejsca.

- I tak niebawem będę musiała wyruszyć w teren. Wtedy łyknę sobie świeżego powietrza. Na razie cieszę się, że chłopcy zdrowo spędzają czas. Ale, ale, Sam, czy żyją tu jakieś dzikie zwierzęta? - zmieniła nieoczekiwanie temat.



- Żyją. Przy odrobinie szczęścia natkniesz się na łosia. Pojawiają się tu też polarne zające, wiewiórki i białe pardwy. Grizzly teraz śpią, a stada wilków Eielsona nie podchodzą do ludzkich siedzib. Musiałabyś też wybrać się głębiej w park, by spotkać jelenia Dalia.

- Czy tu ktoś poluje?

- Nie. Na terenie parku wszelka broń palna jest zabroniona.

- Ale mimo to ludzie polują? Sam skinęła głową.

- Kłusowników zwalczamy wszelkimi dostępnymi środkami.

- To brzmi groźnie.

- Bo tak jest. Linc kilkakrotnie brał udział w obławach. Spytaj go, to ci opowie.

Charlie nie zamierzała pytać Linca o cokolwiek.

- Ted mówił, że od końca maja do połowy września macie tu urwanie głowy.

- Zgadza się. Sezon. Niewiele wtedy śpiemy.

- Czy dlatego, że latem nie ma tu nocy, czy też dlatego, że brakuje wam personelu?

- I to, i to - zachichotała Sam.

- No, tak - bąknęła niepewnie Charlie. - Możesz mi powiedzieć coś bliższego o psach? Bracia twierdzą, że służą tu w charakterze siły pociągowej.

- Cóż, psy to mój konik...

Sam wdała się w długi wywód na temat opieki nad tymi zwierzętami, rozwodząc się nad ich użytecznością.

Godzinę później, z notesem pełnym zapisków, Charlie ruszyła do biura. Brnąc przez pokrytą śniegiem szosę, dziewczyna uśmiechała się pod nosem. Poprzedniego dnia podczas lunchu Ted oświadczył, że Alaska zajmuje w Stanach Zjednoczonych drugie miejsce pod względem przyrostu naturalnego. Dowodził, że większość mieszkańców Alaski nie spędza bynajmniej długich, arktycznych nocy na lekturze czy oglądaniu telewizji. Wspomnienie tych słów natychmiast przywołało dziewczynie

na myśl Tylera i jego pocałunki. Dlaczego wszystko od razu kojarzy mi się z Lincem? - pomyślała zirytowana Charlie.

Zza domu dobiegło ją chóralne szczekanie psów i dziewczyna natychmiast skierowała kroki w tamtą stronę. Kiedy minęła róg, natknęła się na urzędujących przy klatkach Ryana i Kyle'a.

- Cześć, chłopcy - powiedziała, rozglądając się wokół ciekawie.

W każdej klatce siedział pies i niecierpliwie ujadł. Husky - tyle wiedziała z informacji dostarczonych przez Sam - najwyraźniej na coś czekały.

- Co się tu dzieje? - spytała przekrzykując psi jazgot.

- Cześć, siostrzyczko! Odsuń się! - zawołał Ryan, zakładając na jednego z psów uprząż. - Zaraz urządzimy sobie wyścigi.

W mózgu Charlie zapaliły się ostrzegawcze światelka. Podeszła bliżej.

- Ryan, nie sądzę, by był to dobry pomysł. Nie umiecie przecież prowadzić sań.

Pojawił się Kyle prowadząc kolejnego psa.

- Nie sań, ale psich zaprzęgów, Charlie - poprawił. - Linc nas już wszystkiego nauczył. A on się na tym zna.

- Ależ, Kyle, bądź rozsądny. Linc mógł was nauczyć, ale to i tak bardzo niebezpieczne. Poza tym trzeba mieć chyba na to pozwolenie.

Kyle wywrócił oczyma, spojrzał na Ryana i obaj wybuchnęli śmiechem.

- Wybacz, siostrzyczko, ale trzeba mieć tylko psy.

- A mamy je - dodał Kyle. - Zaprzęg jest prawie gotowy. Jedziesz z nami?

- Nie...- zaczęła Charlie.

- Nie wygłupiaj się. Daj im spokój. Charlie odwróciła się gwałtownie. Linc!

- Ależ to niebezpieczne! - zawołała. - Mogą sobie zrobić krzywdę. To tylko...

- Dorośli mężczyźni - przerwał cicho, wpatrując się intensywnie w Charlie. Poruszył go widok jej zaczerwienionych policzków i oszronionych kosmyków włosów wymykających się spod wełnianej czapki. - Charlie, oni mają już po dziewiętnaście lat. Kończą studia. Nie sądzisz, że już najwyższy czas dać im spokój?

Charlie zeszytywniała. Zupełnie jakby mężczyzna ją spoliczkował.

- Dać im spokój?

- Pewnie. Poluzować cugli.

- Co?

- To, co słyszałaś.

- Nie masz prawa... nie masz prawa - wykrztusiła.

- Zachowujesz się tak, jakbyś była ich matką. A wcale nie jesteś. Czy nikt ci jeszcze tego nie powiedział, że tłamsisz swoich braci?

- Aha, i twoim zadaniem jest mi to uświadomić? - spytała ironicznie.

Ujrzała w jego oczach współczucie. Niebawem ją to rozżłościło. Nie potrzebowała litości.

- Linc, trzymaj się od naszych spraw z daleka. Wiem, że spędzasz z chłopcami wiele czasu i jestem ci za to wdzięczna. Ale wara od tego, jak ich wychowuję.

- Ależ już ich wychowałaś! O to mi właśnie chodzi.

- To twoja opinia. Ale moim zdaniem ktoś, kto mając szesnaście lat uciekł z domu, nie jest ekspertem od wychowywania dzieci.

- Charlie, nie o to chodzi - skrzywił się Linc.

- A właśnie, że oto.- W jej oczach zalśniły zimne iskierki. - Dokładnie o to! Nie miałaś nigdy kochającej rodziny. Ja miałam. My mieliśmy. Kocham Kyle'a i Ryana. Odpowiadam za nich i postąpię tak, jak ja powiem.

- Charlie, wróć na ziemię i popatrz, w jakim świecie żyjesz. Popatrz na nich. Popatrz chłodnym okiem. Już nie musisz im matkować.

- Dosyć. Nie chcę tego więcej słuchać. - Przyłożyła ubrane w rękawice dłonie do uszu. - To nie twój interes. Nie rozumiesz tego!

- Rozumiem. Wykład był aż nadto jasny. Ale ci dwaj młodzi ludzie pewnego dnia zrobią to, co będą chcieli. I gdzie ty wtedy będziesz?

- Słuchaj - odwróciła nieoczekiwanie głowę - po co mi to wszystko mówisz?

Bo nie mogę patrzeć, jak walisz głową w mur, pomyślał Linc, głęboko oddychając i starając się opanować wzburzenie.

- Czy zastanowiłaś się kiedyś nad sobą? Tak głęboko się zastanowiłaś? Oni nie mają już dwunastu lat. I naprawdę chcą przejechać się kilka kilometrów psim zaprzęgiem. Jezu słodki, przecież psy biegają tutaj z zamkniętymi ślepiami. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Mówił niskim, stanowczym głosem. Charlie odruchowo opuściła ręce.

- Dziewczyno, może i nie miałem szczęścia żyć w kochającej rodzinie, ale znam swój zawód.

- Nie jesteś ich ojcem!

- Ani ty ich matką!

Zapadła długa, przynębiająca cisza. I po cóż tym się tak przejmuję, pomyślał z goryczą Linc. Co na tym zyskam? Więcej bólu?

- Trzymaj się ode mnie z daleka, Linc - szepnęła Charlie. Serce przeszył jej ból. Zamknęła oczy. - Ciebie obchodzi wyłącznie park. Ja mam na głowie rodzinę i rachunki ze szpitala, jeśli któryś z chłopców wyrządzi sobie krzywdę. Obca ci jest sytuacja, gdy ktoś, kogo kochasz, czegoś potrzebuje, a ty nie masz na to pieniędzy. Przemyśl to sobie, Linc. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę Kyle'a i Ryana, którzy

wyprowadzali zaprzęg na drogę. - Odpowiadam za nich - rzuciła jeszcze przez ramię pod adresem Tylera - i nie pozwolę na takie wariactwa.

- Zanim cokolwiek powiesz - Ryan podniósł rękę i spojrzął wyzywająco na zbliżającą się siostrę - muszę cię poinformować, że zrobiliśmy to już pięć razy.

Zdumiona Charlie potrząsnęła głową. I nic mi o tym nie wspomnieli? - pomyślała.

To już mężczyźni, jak echo wróciły do niej słowa Linca. „Pewnego dnia zrobią dokładnie to, co oni będą chcieli. I gdzie ty wtedy będziesz?”

- Naprawdę? - Popatrzyła oszołomiona na Kyle'a. Ten niespokojnie pokiwał głową.

- Ależ to naprawdę łatwe - dodał, próbując wywołać na jej twarzy uśmiech. - Czemu sama nie spróbujesz? Zobaczysz, jaka to frajda.

- No, nie wiem - mruknął Ryan.

- Ja? - odparła nieomal równocześnie Charlie.

- Pewnie. A czemu nie? - zapytał Kyle z uśmiechem, z góry już ciesząc się na tę myśl. - Najpierw pojedę ja z Ryanem, a potem ty z Lincem. Jeśli uda się wam przejechać ten sam dystans w czasie... powiedzmy, poniżej piętnastu minut. .. to Ryan i ja robimy dziś obiad.

- Chłopcy - wykrztusiła. - Nie sądzę...

- Czemu nie? - spytał Kyle.

- To bardzo proste - kusił Ryan. - Nawet Kyle szybko się nauczył. A wiesz, jaki z niego kłoc.

- Jedna runda zajmie około dziesięciu minut - rozległ się nieoczekiwanie cichy głos Linca. Charlie drgnęła i odwróciła się w jego stronę. Nie słyszała, kiedy nadszedł. - Ale nie sądzę, by był to dobry pomysł.

- Przecież sam mówiłeś, że to bezpieczne - nastroszyła się natychmiast Charlie i odwróciła do braci. - Tacyście pewni siebie? A co będzie, jeśli przegram?

- Jeśli przegrasz, weźmiesz kilka dni wolnego.

- Tyle tylko?

- Niezupełnie, siostrzyczko - odrzekł Ryan. - Weźmiesz wolne na czwartek i piątek, by ruszyć z nami zaprzęgiem na wyprawę do parku. Same rozrywki, żadnej pracy.

Charlie była zdruzgotana.

- Wybieracie się pojutrze w głąb parku? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- Linc skończył przygotowania dopiero dzisiaj rano - odparł Kyle, spoglądając na Tylera. - Czy to duży kłopot, gdyby zabrała się jeszcze z nami Charlie?

Linc milczał.

Charlie buntowniczo uniosła głowę. Uważa, że będą jedynie zawadą, pomyślała. Cóż, pokażę mu.

- W porządku, chłopcy. Zakład stoi. Jeśli wygram, robicie obiady przez miesiąc. I ostrzegam, żadnych hamburgerów, choćbyście piekli je na trzydzieści jeden sposobów. Jeśli przegram, biorę dwa dni wolnego. - Pogroziła palcem. - I ani słowa o tym Tomowi. Niech myśli, że ciężko pracuję. No, co mam teraz robić?

Kyle i Ryan popatrzyli niewinnie na Linca. Ten zmarszczył brwi i zwrócił się do Charlie:

- Staniesz na płozach. Mocno złapiesz się uchwytów i zawołasz „szereg”.

- Po co?

- To sygnał dla psów, że mają naciągnąć zaprzęgi i przygotować się do biegu. Jest to też sygnał dla psa prowadzącego. Kiedy jesteś gotowa, wołasz „jazda” i zaprzęg rusza. Pamiętaj, by mocno się trzymać. Wielu poganiaczy łądowało na... hm... plecach, nim jeszcze zaprzęg opuścił dziedziniec.

Kyle i Ryan wybuchnęli śmiechem.

- A jak mam zatrzymać psy? - spytała Charlie.

- Jak krzykniesz „hua”.

- To zapamiętam na pewno - mruknęła.
- Jak krzykniesz „hau”, skręca w lewo - powiedział Kyle.
- A „dii” w prawo - dorzucił Ryan.
- Jeśli chcesz zwolnić, używaj hamulca, a jeśli w ogóle stanąć, wyrzuć kotwicę śnieżną.

- A co to takiego?

Linc pochylił się i wyrwał z ziemi żelazny hak.

- To ta kotwica - powiedział, wręczając ją Charlie. Starał się przy tym nie dotknąć dziewczyny. - Przywiązana jest do liny i stanowi coś w rodzaju hamulca awaryjnego. Ale jeśli psy będą biegły szybko, nieźle się póiniej napocisz, by wyciągnąć ją z lodu.

- Rozumiem - odparła Charlie, spuszczać wzrok, by ukryć konsternację na widok ruszających właśnie Kyle'a i Ryana.

- Nie myślałem, że się odważysz - stwierdził niskim, nie wolnym od kpiny głosem Linc.

Charlie puściła jego komentarz mimo uszu, podeszła do klatki i aż do powrotu braci bawiła się z psami.

- Szereg! - krzyknęła pewnym głosem i psy ustawiły się w ordynku. Posłuszeństwo zwierząt sprawiło jej nadspodziewaną radość. Słyszała, jak za jej plecami ustawia na trasie swoje sanie Linc.

- Przez trzy kilometry szlak biegnie prosto, potem zatacza czterokilometrowy łuk i zawraca. Psy dobrze znają trasę, więc jeśli nawet zapomnisz komend, same dowiozą cię do domu.

- Coś jeszcze? - spytała z tak słodkim uśmiechem, że pszczoła zadławiłaby się tą słodyczą.

- Trzymaj się mocno. I pamiętaj, masz kwadrans. Nie musisz się śpieszyć.

- Jazda! - krzyknęła Charlie, trzymając się z całych sił uchwytów.

Pierwsze szarpnięcie o mało jej nie zrzuciło. Prowadzący pies szarpnął się w uprzęży i w jednej chwili zaprzęg gnał śnieżnym traktem. Przez pierwsze kilkaset metrów dziewczyna myślała o

tym, by nie spaść z płóz. Twarz zasypywały jej tumany śniegu i oddychała z trudem. Za wszelką cenę chciała zakryć nos i usta.

- Hau! - krzyknęła, widząc, że szlak skręca nieco w lewo. Psy natychmiast zareagowały na komendę. Charlie wybuchnęła głośnym śmiechem. W jednej chwili zapomniała o jadącym za nią Lincu.

Ostre, mroźne powietrze w niczym nie przypominało pełnych spalin ulic Los Angeles. Gałęzie drzew ugiwały się od śniegu. Było południe i od zachodu stopniowo zbliżał się zmierzch. Charlie nasłuchiwała chrzęstu śniegu pod płozami i lekkiego dyszenia psów. Oddychała głęboko, czując, jak pęd powietrza koi jej nadszarpnięte przejściami ostatnich dni nerwy.

Choć bardzo kochała Kyle'a i Ryana i cieszyła się, że spędzą z nią przerwę międzysemestralną, nie chciała wcale, by tu przyjeżdżali. Zbyt wiele się wydarzyło w ciągu tak krótkiego czasu. A to, że jedzie teraz psim zaprzęgiem, świadczy tylko o tym, że gdzieś po drodze zgubiła ścieżkę swego życia. Przez całe lata zadowalała ją rola... tak... matki. I oto teraz upór Linca sprawił, że wróciły do niej wszystkie echa przeszłości, lęki i nurtujące ją podświadomie wątpliwości. Wspomnienia z dzieciństwa i wieku młodzieńczego, kiedy istniała wyłącznie zabawa, a o obowiązkach mówiło się niewiele.

Co ze mną będzie... - zaczęła i odważnie dokończyła pytanie - ..gdy Ryan i Kyle pójdą sobie w świat?

Ze zgrozą pojęła, że właściwie nie ma prywatnego życia. Za wyjątkiem okazjonalnych spotkań jej dni i noce obracały się wokół spraw chłopców. Jak dam sobie radę, kiedy ich zabraknie? Co zrobię? I najważniejsze - kim bez nich będę?

Młodą kobietą, świetnie radzącą sobie w pracy, za to bez życia osobistego.

Z ponurych rozmyślań wyrwało ją gwałtowne ujadanie. Spojrzała przerażona. Na środku drogi stał łoś, a sfora psów, ciągnąc za przewodnikiem stada, runęła w jego stronę.



- Hua! Hua! - wrzeszczała Charlie, naciskając nogą z całych sił hamulec. Kiedy nie odniosło to skutku, sięgnęła po kotwicę w nadziei, że ona zdoła powstrzymać pęd sań. Z równym skutkiem mogła rzucić za siebie piórko...

- Linc! - krzyknęła z rozpaczą, kiedy psy coraz bardziej zbliżały się do losia.

Nieoczekiwanie obok pojawił się zaprzęg Tylera, który zajechał drogę zmuszając tym samym jej psy do zбочenia w głębszy śnieg. Charlie zamknęła oczy i jeszcze mocniej zacisnęła palce na uchwytach, a płozy zaczęły przedzierać się przez niewielkie drzewka i krzaki. Kiedy w końcu kotwica utkwiała w miejscu, zaprzęgiem szarpnęło. Dziewczyna jak wystrzelona z katapulty poleciała do góry, po czym upadła twarzą w zaspę.

Psy przez chwilę jeszcze wlokły za sobą wywrócone sanie, aż w końcu stanęły; ciągle rozognione, ciągle ujadające. Charlie usiadła, odgarnęła z twarzy i włosów śnieg. Drżała jak w febrze. Kiedy dostrzegła w chaszczach ruch, chciała uciekać. Łoś! Z całą pewnością postanowił ją zaatakować.

Ale to wcale nie był łoś. Z krzaków wyłoniła się męska postać i zbliżała się brnąc po kolana w śniegu.

- Linc - szepnęła drżącymi ustami Charlie.

- Co robisz, wariatko? - zawołał. We włosach miał śnieg, brodę mokrą i lodowate spojrzenie.

Charlie zaniemówiła. Po chwili ogarnęła ją nieprzytomna furia. Czyż nie obchodziło go, że o mało nie straciła życia?

Jak oparzona zerwała się z ziemi i podeszła szybko do mężczyzny.

- Wiedziałam, że to niebezpieczne, Tyler. Nie powinnam była cię słuchać. „To łatwe”, powiedziałeś. „Nie przejmuj się, Charlie”, powiedziałeś. „Jeśli zapomnisz komend, psy i tak znają drogę”. - Drżąc stuknęła go palcem w klatkę piersiową. On spoglądał na nią z wpółotwartymi ustami. - Ale nic nie wspomniałeś o tym, że psy w ogóle mogą nie słuchać komendy!

Przecież o mało się nie zabiłam! A co z twoimi drogocennymi psami? Do cholery, Linc! A gdyby na moim miejscu byli chłopcy? Wysmażę taki raport, że w ogóle zamkną ci ten twój cholerny park!

Pod koniec tyrody zamilkły nawet psy. Zupełnie jakby zrozumiały groźbę.

Długą chwilę Charlie i Linc stali bez ruchu i w milczeniu spoglądali na siebie wściekłym wzrokiem. Potem dziewczyna powoli odwróciła się i ruszyła w stronę wywróconych sań. Kolana miała jak z waty. Kiedy dotarła do zaprzęgu, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i Charlie osunęła się na śnieg. Wyciągnęła drżącą dłoń i zaczęła głaskać jednego z husky.

- Nic ci się nie stało, piesku? - spytała cicho, poprawiając na zwierzęciu uprząż.

Po chwili do sanek zbliżył się wolnym krokiem Linc, ustawił na płozach wywrócony pojazd, po czym dokładnie zaczął badać każdego psa. Słyszała, jak odwrócony do niej plecami

Imruchy coś niewyraźnie pod nosem, kiedy zaplątany w uprząż pies cicho zaskomlał. Nagle odwrócił się w stronę Charlie, chwycił ją pod pachy i postawił na nogach.

Przyjrzała mu się. Twarz miał białą jak kreda, włosy mokre i potargane, oczy szeroko otwarte. Oboje drżeli.

Linc, którym miotwały sprzeczne uczucia, rozumiał, że i musi coś zrobić, bo oszaleje. Jego niebieskie oczy napotkały zieleń jej oczu.

Zaklął, chwycił Charlie za włosy na karku i unióś jej twarz ku swojej. Charlie westchnęła cicho i zamknęła oczy, gotowa oddać pocałunek, do którego tak tęskniła.

- Charlie - szepnął gorąco Linc, dotykając wargami jej ust

I znów było tak samo jak w domku myśliwskim nad jeziorem.

Zatopiła się bez reszty w pieszczotach Linca. Nie było już miejsca na strach, nie było miejsca na nic. Istniał jedynie ów przepełniający ją bez reszty żar. Ich języki zetknęły się i Charlie

zadrżała. Linc czuł, że zaczyna tracić głowę. Przygarnął dziewczynę do siebie jeszcze mocniej.

- Zabiłbym to bydłę, gdyby wyrządziło ci jakąś krzywdę - szepnął z uczuciem. - Rozumiesz? Zabiłbym je!

Charlie zeszytywniała. Rozpaczliwie starała się zebrać myśli. Powinnam była lepiej poznać Linca Tylera, pomyślała z bezbrzeżnym smutkiem. On kocha tylko jedno, rezerwat.

Ona liczy się o wiele mniej. Dbał wprawdzie o jej bezpieczeństwo, nawet się szczerze przeraził wypadkiem, ale tak naprawdę, to myślał wyłącznie o losiu, i o tym, że musiałby go zabić.

Charlie zagryzła usta, by nie wybuchnąć płaczem. Ale niewiele to pomogło.

- Nie płacz, Charlie. Wiem, że się wystraszyłaś, ale złe chwile już minęły. Jesteś bezpieczna.

Mówił chrapliwym głosem. Najwyraźniej krępował się okazać swe prawdziwe uczucia.

- Nic mi nie jest - odparła, wymykając mu się z objęć. - Kto mógł przewidzieć, że akurat na drogę wylezie łoś?

- Cieszę się, że nie trzeba było go zabijać.

Linc zmarszczył brwi i obserwował dziewczynę, która schowała dłonie głęboko do kieszeni.

- Ciagle prowadzisz tę grę? Po tym, co się wydarzyło, sądziłem, że masz już dosyć.

Charlie pod pretekstem, że szuka czapki, odeszła parę kroków. Była kompletnie załamana.

- Nie chcę z tobą walczyć, Linc. Mam już naprawdę dosyć. Cieszymy się pó prostu, że wszystko skończyło się dobrze i zapomnijmy o całej sprawie.

Ogarnął go jeszcze większy lęk. Był już raz w sytuacji, kiedy do szaleństwa pragnął kogoś, komu wcale na tym nie zależało. A jednak Charlie czuła coś do niego. Widział to w jej oczach, wyczuwał w drzeniu ciała, kiedy tulił ją w ramionach. Naśladowując gest dziewczyny, wsunął dłonie w kieszenie kurtki.

- Dlaczego nie przyznasz, że ci na mnie zależy? - spytał cicho  
- Co?

- Dobrze słyszałaś.

- To chyba powiedział ktoś inny.

- Nie, jesteśmy tu sami.

Zmieszana Charlie popatrzyła mu w oczy.

- Minęło już grubo ponad piętnaście minut. Kyle i Ryan...  
Poza tym już ci mówiłam, że nie chcę z tobą walczyć, Linc.

Niech tak zostanie. - Odwróciła się gwałtownie, by nie  
dostrzegł płynących jej po policzkach łez. - Wracajmy.

Linc z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie wziąć jej  
ponownie w ramiona. Zaciśnął pięści.

- Więc dobrze... wyjaśnij mi tylko, czy o zamknięciu parku  
mówiłaś serio?

Park! Zawsze park! O mało nie wybuchnęła głośnym  
płaczem.

- Och, Linc... czy ty potrafisz myśleć wyłącznie o jednym?

- To przecież całe moje życie.

- A gdyby te ponad dwa miliony czterysta tysięcy hektarów  
lasu spłonęło?

Wzruszył ramionami.

- Posadziłbym nowe drzewa.

- Twoje życie... jest takie proste.

- Naprawdę tak sądzisz? Nie czytałaś w biurze dokumentów?  
A może to ostatnie przejścia zmąciły ci rozum?

Dziewczyna odwróciła się w stronę psów.

- Wiesz, co ci powiem, Linc? Cały czas się kłócimy.  
Powinnam jednak milczeć. Ale ty również nie powinieneś się  
wtrącać pomiędzy nas.

- Chodzi ci o Kyle'a i Ryana?

- Tak. O nich.

- Kiedy uważam, że muszę coś powiedzieć, mówię. Jeśli  
muszę coś wykonać, robię to. Taką już mam naturę.

- Życie nie jest czarno-białe, Linc. Bez względu na to, jak chciałbyś je uprościć, to, co może zawiązać się między dwojgiem ludzi, bywa dużo bardziej skomplikowane. Na przykład uczucia...

- Łączy nas wiele. Z tym tylko że ty...

- Jestem dwulicowa? Puszę się, flirtuję? Linc, bądź rozsądny. Nie mam czym się puszyć, a na flirty nie starcza mi czasu. I nie tylko ja żyję złudzeniami. Ty również dotykasz mnie i całujesz tylko wtedy, kiedy jesteś zły lub smutny. I kto tu jest większym hipokrytą?

Linc pochylił się nad saniami. Miała rację. Wbrew swojej woli musiał przyznać, że miała rację, ale bywały chwile...

- Tamtego ranka, kiedy obudziliśmy się w śpiworze, wcale nie byłem smutny ani zły. Pamiętasz?

- Pamiętam - szepnęła Charlie, nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy. - Wybacz, że cię obraziłam. Nie miałam racji.

- A ja przepraszam za to, co wygadywałem o Kyle'u i Rynie. Też nie miałem racji.

Charlie powoli wyciągnęła ku niemu rękę.

- Zatem przyjaźń?

Choć na czole Linca pojawiła się głęboka, pionowa zmarszczka, popatrzył na wyciągniętą dłoń, po czym uśmiechnął się.

- Łączy nas coś znacznie poważniejszego, Charlie. Ale jeśli pragniesz wyłącznie przyjaźni, trudno. Uszanuję twoją wolę.

Dopiero w biurze Charlie uświadomiła sobie, że przegrała zakład.

## Rozdział 11

Jak zaplanowano, do posterunku strażników w Sanctuary River dwa psy zaprzęgi dotarły we czwartek po południu.

Wyruszyli w drogę o pierwszym brzasku - około dziesiątej trzydzieści. Jednym zaprzęgiem jechali Kyle z Ryanem, a drugim Linc i okutana kocami Charlie, która siedziała w koszu.

Początkowo dziewczyna, mając świeco w pamięci przygodę z łosiem, czuła się bardzo niepewnie i nerwowo spoglądała dookoła. Wkrótce jednak otaczający ich przepyszny krajobraz bez reszty pochłonął jej uwagę. Linc pokazywał jej świerki, osiki i wierzby pokryte tak wielkimi czapami śniegu, że gałęzie drzew gięły się do samej ziemi. Na wysokości dziewięciuset metrów nad poziomem morza lasy zaczęły znikać i przed oczyma Charlie otworzył się zapierający dech w piersiach widok.

Około południa dostrzegli w oddali łosia, a jeszcze później przystanęli, by sfotografować góry. Chłopcy uparli się, że zrobią jeszcze zdjęcie Charlie i Lincowi na tle Mount Denali. Charlie niechętnie przystała na to i natychmiast, gdy tylko trzasnęła migawka aparatu, wyrwała się z objęć Linca.

Cisza i wspaniały pierwotny krajobraz zrobiły na dziewczynie ogromne wrażenie. Zrozumiała, dlaczego Linc wszelkimi siłami stara się chronić tę niezmaconą niczym dzikość. Denali wymagał opieki i Charlie obiecała sobie, iż zrobi wszystko, by jej raport w niczym nie zaszkodził parkowi. Obserwowała psy, które gnały w przodzie z wywieszonymi różowymi ozorami. Przebycie liczącej czterdzieści kilometrów trasy zajęło im sporo czasu i okazało się bardzo męczące, toteż na widok Teda, który wyszedł im na spotkanie, twarz dziewczyny rozjaśnił szeroki, radosny uśmiech.

- I jak droga? - spytał Linca, pomagając wygrzebać się Charlie spod stosu koców.

- Nie najgorsza - odparł Tyler i przystąpił do wyprzęgania psów.

- Nie najgorsza? Przecież to coś fantastycznego! - wykrzyknął Ryan, dając siostrze sójkę w bok. Charlie wybuchnęła śmiechem.

- Kto by przypuszczał, że przerwę międzysemestralną spędzimy na Alasce, że będziemy przemierzać Północ psimi zaprzęgami i jeździć na nartach.

- Może pomóc ci w rozładunku sań? - spytała Charlie Linca.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę - odparł krótko. Obrzuciła go dziwnym spojrzeniem i bez słowa ruszyła za Tedem do domku myśliwskiego, a Lincowi stanął przed oczyma poprzedni wieczór. Udał się do mieszkania Bobby'ego, by pomóc Kyle'owi i Ryanowi przygotować pakunki. Charlie robiła kolację.

Miała na sobie cienką, zielonkawą podkoszulkę, mocno podkreślającą zarys jej piersi. Linc aż zadrżał na ten widok.

Potem, kiedy już siedzieli przy stole ustawionym w niewielkiej wnęce służącej za jadalnię, Charlie, podając talerze, aż cztery razy nisko się nad nim pochylała. Za każdym razem miał tuż przed nosem jej biust. Szybko nałożyła sweter twierdząc, że jest zimno.

Aleś, chłopie, wpadł, pomyślał. Pragniesz jej, a ona wcale cię nie chce. A gdyby nawet jej na tobie zależało, i tak nic by z tego nie wyszło.

Podobnie, jak on nie opuściłby Denali, Charlie za chińskiego boga nie zostawiłaby braci.

Ciężko westchnął, wziął z sań ostatni pakunek i ruszył w stronę domu.

- Już nie mogę doczekać się tych nart - oświadczył Ryan. Siedział na podłodze i pałaszował z apetytem kanapkę.

- Czy są tutaj jakieś wytyczone trasy?- spytał Kyle.

- Tam, za tamtymi drzewami zaczyna się kilka przepięknych szlaków. - Ted wyciągnął rękę wskazując jedyne okno.

- Pośpieszcie się z tym jedzeniem. Przed zapadnięciem zmroku możemy sobie jeszcze pojeździć. - Popatrzył na siedzącą za stołem Charlie. - Umiesz biegać na nartach?

- Nie, ale Sam... - urwała na widok wchodzącego do izby Linca. Zaczerwieniła się, niepomna na baczne spojrzenia braci. Przeniosła wzrok na Teda i z trudem zebrała myśli. -.. .Sam pożyczyła mi swoje buty i deski. Też nie mogę doczekać się chwili, kiedy po raz pierwszy spróbuję.

- Linc jest wyśmienitym instruktorem - oświadczył Ted, nie zwracając uwagi na panujące między Tylerem a gośćmi napięcie. - Bardzo szybko cię nauczy.

Charlie jęknęła w duchu.

- Myślałam, że może ty...

- Ted już wcześniej obiecał wycieczkę twoim braciom rozległ się beznamiętny głos Linca. - Zobaczymy, jak ty będziesz sobie radzić. W razie czego ruszymy ich śladem.

Po obiedzie, składającym się z zupy i kanapek, trójka mężczyzn spiesznie opuściła domek i niebawem zniknęła za drzewami. Charlie pozostawiono sam na sam z Lincem. Niechętnie odwróciła się w jego stronę.

Linc z uśmiechem układał na śniegu narty.

- Stań na lewej nodze i wsuń prawą stopę w wiązanie - polecił.

Charlie zrobiła, jak mówił.

- Świetnie. Teraz je zapnij. - Podał dziewczynie kijek.

- Naciśnij nim tutaj, a zamek się zatrzaśnie.

Wszystko to wymagało niejakiej siły, ale w końcu jakoś sobie poradziła.

- Co dalej? - spytała, patrząc mu w oczy. Na twarzy mężczyzny malował się wyraz niepewności. Jakby to on nie mógł sobie poradzić z nartami.

- Drugi but. Przenieś ciężar ciała na prawą nogę i włóż w wiązanie lewą stopę.



Tym razem czynność była dużo bardziej skomplikowana i Charlie wywróciłaby się, gdyby nie Linc. Mruczając coś pod nosem, pochylił się i sam zapiął zamek.

- Zanim ruszymy, powinnaś ten manewr kilka razy przećwiczyć. Trudno jeździć na nartach, jeżeli człowiek nie umie ich nawet nałożyć.

Charlie bez słowa skinęła głową. Obawiała się, że głos mógłby zdradzić jej prawdziwe uczucia. Tych kilka sekund, kiedy czuła na sobie silne ramiona podtrzymującego ją Linca, uświadomiło dziewczynie, co naprawdę czuje do tego mężczyzny. Poprzedniego dnia celowo przebywała cały dzień w jego towarzystwie. Wszystko było dobrze, aż do chwili kiedy pojawił się na kolacji. Sposób, w jaki na nią spojrział

- zwłaszcza na jej piersi - zniweczył wysiłki całego dnia. Pod wpływem jego wzroku brodawki Charlie tak się wyprężyły, że musiała pod pretekstem panującego w pokoju zimna nałożyć sweter. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie oszukała Linca.

- Gotowa?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co? Mam już tak od razu jechać?

- Oczywiście - odparł cicho, walcząc z pokusą, by pocałować dziewczynę. - Ugnij nogi w kolanach, wyczuj środek ciężkości ciała i odepchnij się kijkami.

Spróbowała.

Tak naprawdę próbowała dziesięć albo dwanaście razy. Za każdym razem robiła zaledwie kilka kroków i padała jak długa na śnieg. Linc ze śmiechem musiał podnosić ją z ziemi. Po trzynastym upadku Charlie miała już wszystkiego serdecznie dosyć. Czuła się upokorzona własną niezdatnością. I jeszcze ten irytujący śmiech Linca, którym witał każdą jej nieudaną próbę.

- Doskonale się bawisz, prawda? - wrzasnęła mu w twarz.

- Czy to naprawdę jest takie śmieszne?

- O Boże, aleś ty wrażliwa - odparł Linc, stając niepokojąco blisko dziewczyny. - Widzę, że w waszej rodzinie duszę sportowca posiada jedynie Ryan.

- Odczep się. Nie pozwolę, byś stroił sobie ze mnie żarty. Powoli nauczę się wszystkiego.

Dała krok do tyłu i znów o mało nie upadła. Linc jęknął głucho i chwycił jej kijek.

- Niech szanowna pani uważa, gdzie go pani wbija. Zaskoczona Charlie krzyknęła i zamachała rękami. Linc,

nie przygotowany na tak gwałtowny ruch dziewczyny, zachwiał się, narty pojechały mu do przodu. Tracąc równowagę złapał się Charlie i oboje wyładowali na śniegu. Upadła na niego. Ich ciała, narty i kijki zamieniły się w jedno wielkie kłębowisko. Charlie próbowała natychmiast wstać. Ubrane w rękawiczki dłonie oparła o śnieg po obu stronach głowy Linca, ale ramiona dziewczyny zapadły się po łokcie w kopny puch.

- Przestań się tak wić! - krzyknął poirytowany Linc, którego usta znalazły się o centymetry od warg Charlie. Przełknął ślinę. Mimo grubego ubrania był boleśnie świadom przylegających do niego piersi dziewczyny. - Tylko pogarszasz sprawę. Bądź tak dobra i przez chwilę się nie ruszaj.

Charlie aż zatkanęła ze złości.

- Po pierwsze, nie wydzieraj się na mnie jak ranny grizzly - sapnęła, czerwieniejąc na twarzy. - A po drugie, kolego, nie myśl sobie, że będę tak leżeć na tobie w nieskończoność.

Klnąc pod nosem, Linc odsunął Charlie. Usiadła na śniegu, a mężczyzna odpiął jej narty.

- Wstawaj - rozkazał, podniósł się i wetknął jej w dłoń kijek.

Popatrzyła, jak ponownie ustawia na śniegu deski. Pokręciła odmownie głową.

- Nie, Linc. Na razie mam dosyć. Jestem wykończona.

- Poddajesz się? - spytał najwyraźniej obrażony.

- Zaskakujesz mnie. Nie sądziłem, że tak łatwo dasz za wygraną.

Charlie zdawała sobie sprawę, że zastosował metodę, jaką ona sama często posługiwała się w stosunku do Kyle'a i Ryana. Niemniej jedno spojrzenie powiedziało jej, iż Linca naprawdę zaskoczyła tak łatwa rezygnacja.

- Daj mi drugi kijek - warknęła, podniosła się z ziemi, błyskawicznie przypięła narty i nim mężczyzna zdążył cokolwiek powiedzieć, ruszyła do przodu.

- Niech cię piekło pochłonie, Tyler - mruzczała do siebie sunąc po gładkim, śnieżnym dywanie. Przestało ją interesować to, czy się przewróci, czy nie. Była zbyt wściekła i chciała znaleźć się jak najdalej od swego towarzysza. Obejrzała się.

Linc, uśmiechając się złośliwie, dotrzymywał jej kroku. Przystanęła i ze złością wbiła kijki w śnieg.

- O co ci chodzi, Linc? - sapnęła. - Zgodziłeś się na naszą przyjaźń, prawda? Ale tylko ja dotrzymuję umowy. Co ci się stało? Zjadłeś za dużo kory z drzew?

Linc zamrugał oczyma. Powinien spodziewać się podobnej reakcji. Dawno już zorientował się, że Charlie jest zadziorna. Zrównał się z nią i objął w pasie.

- Sama wiesz najlepiej, o co mi chodzi - szepnął. - O ciebie. Ty stanowisz mój największy problem. Co cię podkusiło, żeby włożyć wczoraj wieczorem ten zielony podkoszulek? Dobrze wiedziałaś, jak zareaguję.

- Linc, wcale nie miałam zamiaru...

- Och, daj spokój! Chcesz wiedzieć, o co chodzi, tak? Dobrze, wyjaśnię ci. Ty, a raczej twoje ciało, działa na mnie jak narkotyk.

Charlie szeroko otworzyła oczy.

- Czy... czy mogę coś na to poradzić? - odparła po dłuższej, pełnej napięcia chwili. - Jako przyjaciel, oczywiście.

Oczy Linca zwięzły się.

- Doskonale wiesz, że myślę tylko o jednym. Ale ty tego nie chcesz - stwierdził otwarcie. - Przyjacieli!

Chcę, pomyślała. Jeszcze jak chcę.

Żar, z jakim Linc wypowiedział te słowa, wstrząsnął dziewczyną, wręcz ją wystraszył.

Ale dopóki ma zobowiązania, ich sprawy osobiste muszą poczekać. Zwłaszcza teraz, gdy lada chwila może pojawić się Ted z chłopcami.

Linc najwyraźniej wyczytał w jej oczach odpowiedź. Zaklął cicho, puścił ją i odjechał kawałek.

Do domu wracali w milczeniu. Podczas krótkiej wędrowki wywietrzała z niego złość i pozostało jedynie uczucie wstydu i zażenowania. I znów Charlie miała rację. Nie powinien godzić się na tę przyjaźń. Dlaczego tak uczynił? Chwilowe zaćmienie umysłu? Chyba tak. W jej obecności tracił głowę.

Cholera jasna! Wcale nie chce być jej przyjacielem, myślał. Pragnę mieć ją w łóżku, naga. Tęsknił za tym, by zostać jej kochankiem.

Ale czy tak naprawdę kiedykolwiek dopiął swego? Całe życie wyrzeczeń! Poświęcił rodziców dla wolności. Żonę dla rezerwatu. Więc dlaczego z Charlie miałyby być inaczej? Chciała przyjaźni. Ale on pragnął być jej kochankiem. I gdzie tu miejsce na kompromis?

W domu postanowił podjąć ostatnią próbę. Jeśli się nie powiedzie, znaczyć to będzie definitywny koniec.

- Charlie, opowiedz mi o Donie. - Byłaby mniej zdumiona, gdyby zadał jej najbardziej intymne pytanie.

- Skąd...?

- Od twoich braci. - Linc poczuł skurcz serca, ale nie chciał się na ten temat szerzej rozwodzić. Odwiesił kurtkę i zaczął zdejmować buty. - Oni... oni bardzo się tobą martwią. Imię to padło w czasie naszej rozmowy.

- O czym mówiliście? Co ci powiedzieli?

- Że nie masz żadnego kochanka... - Linc urwał. - Myliłem się - przyznał, patrząc jej prosto w oczy. Nagła bladeść policzków dziewczyny strwożyła go. - Powinienem był ci wtedy uwierzyć.

- Więc dlaczego nie uwierzyłeś?

- Charlie!

W głosie Linca słyhać było prawdziwy ból i jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Odwróciła się do niego plecami, zdjęła najpierw kurtkę, a następnie buty.

Zatem Linc zna prawdę o Donie, a w każdym razie wie, że nikogo nie mam, pomyślała. Jak dawno się o tym dowiedział?

- Charlie!

- Nie chcę mówić o Donie - odezwała się po długiej chwili.

- Ale skoro jesteś taki rozmowny, opowiedz mi o Amy.

- Charlie, popatrz na mnie. Nie ufasz mi, prawda?

- Nie, nie ufam.

Linc milczał dłuższy czas.

- Kto ci powiedział o Amy?

- Czy to ważne? Twarz linca steżała.

- Ludzie zbyt dużo gadają.

- To twoi przyjaciele, mimo że trzymasz ich na dystans. Linc przeciągnął dłonią po brodzie.

- Trzymam się z dala od ich osobistych spraw i tego samego wymagam od nich.

Usiadł przed piecem na podłodze wyłożonej dywanem. Uświadomił sobie nagle, że bardzo chce opowiedzieć Charlie o Amy. Może jeśli pozna prawdę, zacznie o nim myśleć inaczej.

- Mówiłem ci, że opuściłem dom mając szesnaście lat. Zostawiłem za sobą wszystko, rodziców, dzieciństwo. Początkowo byłem szczęśliwy. Kiedy miałem dwadzieścia cztery lata, spotkałem Amy. Kilka miesięcy później pobraliśmy się. Miałem swój dom. Krążyłem nieustannie między Denali a Anchorage. Całe moje zarobki szły na utrzymanie domu w mieście. Amy nie chciała zamieszkać w rezerwacie. Twierdziła, że za daleko stąd do ludzi. Już wtedy powinienem się być domyślić, że z naszego związku nic nie będzie.

- Och, Linc. - Charlie przeszła pokój, usiadła obok i ujęła jego dłoń. Popatrzył na ich splecione palce.

- Wiesz, Charlie, wtedy jeszcze na wielu rzeczach mi zależało.

Spojrzała na niego. Uśmiechnął się, ale w oczach miał ból.

- Już jesteśmy! - dobiegło z dworu.

Oboje drgnęli. Charlie zabrała rękę i Linc przez chwilę zastanawiał się, dlaczego to zrobiła.

- Linc, zanim tu wejda... co się stało?

Początkowo nie chciał odpowiedzieć na jej pytanie, ale pomyślał sobie, że skoro wyznał tyle, może wyznać resztę.

- Kilka lat później wszystko zaczęło się walić. Amy oświadczyła, że czuje się samotna, że mnie ciągle nie ma, że poświęcam jej za mało czasu. Zacząłem pić. Nie umiałem sobie z tym wszystkim poradzić. Denali był moim domem. Praca w rezerwacie była jedynym zajęciem, na którym się znałem. Zerwaliśmy właściwie ze sobą kontakt Pewnego dnia Amy zadzwoniła z wiadomością, że jest w ciąży, i że to nie ja jestem ojcem dziecka. Rozwiedliśmy się.

Charlie z uwagą studiowała twarz Linca. Ciekawa była, co czuje. Nienawiść? Gorycz? Gniew na swoich rodziców? Czy ich winił za to, że tak właśnie ułożyło mu się życie?

Najbliżsi zdradzili i odepchnęli go dwukrotnie. Czyż można się zatem dziwić, że jest taki szorstki?

- Linc, znam uczucie, kiedy traci się kogoś bliskiego. Westchnął. Wstał z podłogi i przeszedł na drugą stronę izby.

- Przyniosę więcej drewna. W nocy może być zimno... - urwał i popatrzył na Charlie.

- Poza tym chcę łyknąć trochę powietrza - dodał lekko schrypniętym głosem i wyszedł.

Na kolację były steki wołowe, które przygotował Ted z chłopcami. Przy jedzeniu Ryan napomknął, że noc zamierzają spędzić z Tedem w igloo, które niedawno wybudowali. Charlie o mało nie zadławiła się ziemniakiem.

Zamrugła oczami i odruchowo spojrzała na Linca - po raz pierwszy od chwili, kiedy wrócił z drewnem do domu. Czy

powinna dalej grać rolę troskliwej mamy, czy też pozwolić chłopcom spędzić noc w lodowym domku? Uniosła wzrok i popatrzyła na spoglądających na nią z niepokojem Kyle'a i Ryana.

- Dobrze, tylko się ciepło ubierzcie i uważajcie na siebie.

- To wszystko? - spytali jednocześnie.

Charlie, gdyby nie przechwyciła spojrzenia Linca, wybuchnęłaby śmiechem na widok zdumionych twarzy swych braci. On też był najwyraźniej zdziwiony, że tak łatwo wyraziła zgodę. I wtedy Charlie olśniło.

Jeśli jej bracia pójdą z Tedem spać w igloo, ona zostanie tu tylko z Lincem.

RS

## Rozdział 12

- Uważajcie na siebie! - krzyknęła po raz ostatni Charlie, mimo iż Ted ze sto razy zapewniał ją, że wszystko będzie w porządku.

- Nic im się nie stanie - dobiegł zza pleców cichy głos Linca.

Charlie uśmiechnęła się z przymusem. Wraz z odejściem braci i Teda wrócił niepokój.

- Pewnie masz rację - odparła i ruszyła w stronę psów, które natychmiast obskoczyły ją z radosnym skowytym.

Nie chciała jeszcze wracać do domu. Linc również.

Zły na siebie, wepchnął ręce głęboko w kieszenie. Nie był pewien, co ma robić. Czuł skrepowanie, ale nie miał zamiaru spędzić nocy z jej braćmi w igloo tylko z tego powodu, że dziewczyna nie była jeszcze gotowa pozostać z nim sam na sam. Nigdy nie twierdził, że jest dzentelmenem.

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz - oświadczył po długiej chwili milczenia.

- Wiem o tym.

Linc zmrużył oczy, kiedy zrozumiał, co Charlie ma na myśli.

- Nie bój się o ten cholerny raport. Dostarczę ci wszystkie materiały, jakich potrzebujesz.

Dłoń Charlie znieruchomiła na gęstym futrze husky. Przede wszystkim potrzebowała jego miłości. Przelknęła ślinę.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Wracamy do domu?

- Za chwilę. Muszę jeszcze przemyśleć parę spraw.

- Charlie, jest dziesięć stopni poniżej zera. Jeśli chcesz rozmyślać, możesz to robić w środku. Tutaj tylko nabawisz się odmrożeń. - Linc chciał podejść do dziewczyny i wziąć ją w ramiona. Ale stanowiłoby to zbyt wielką pokusę.

Z najwyższym wysiłkiem woli odwróciła się w jego stronę.

- Moje odmrożenia, moja sprawa - powiedziała cicho. - Skoro dla Teda i chłopców nie jest za zimno, to tym bardziej dla mnie.



Czy ona musi cały czas gadać o swoich braciach? - pomyślał z irytacją Linc.

- Ależ im tam na pewno będzie ciepło, sucho i bezpiecznie. A ty nie zmuszaj mnie, bym....

- ... rozebrał cię i wpakował się z tobą do śpiwora?

Charlie nie mieściło się po prostu w głowie, że wypowiedziała te słowa. Jej policzki oblała gorąca purpura i odwróciła głowę nie chcąc, by Linc spostrzegł, ile wysiłku kosztowało ją wypowiedzenie tych słów płynących z głębi serca. Czy tak już będzie zawsze? Gniew albo namiętność? Żadnych pośrednich uczuć?

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? - spytał Linc, którego na chwilę zatkalo.

- Czy naprawdę sądzisz, że mam na ciebie aż taką chrapkę, że nie zdołam nad sobą zapanować? W dolnych partiach brzucha poczuła falę gorąca.

- Obiecałeś, że nie będziesz mnie więcej napastować.

- Więc o to ci chodzi. Nie mam zwyczaju do niczego zmuszać kobiet i nie myśl, że dla ciebie zrobię wyjątek.

- Wiem, Linc. Nie musisz tego rozgłaszać całemu światu. Samokontrola dziewczyny zaskoczyła go. Sam dobrze nie wiedział, czemu spodziewał się krzyków, awantur i fochów. Pod tym względem Amy była niezrównana. Potrząsnął głową i wrócił do przerwanej myśli.

- Charlie, nie sądzę, byśmy mogli zostać przyjaciółmi. Skinęła głową, jakby spodziewała się tych słów. Z jakiegoś powodu gest dziewczyny niebywale Linca rozżłościł.

- Nie w mówisz mi, że od początku wierzyłaś w ten swój plan.

- Masz rację, nie wierzyłam.

- Uważasz, że nie dotrzymuję umowy?

Dziewczyna milczała skupiając całą uwagę na rozdokazywanych psach.

Linc ciężko westchnął. Przyszło mu do głowy, że, jak na osobę urodzoną i wychowaną w mieście, Charlie

nadszpiewanie dzielnie znosi srogi klimat i ciężkie warunki życia na Alasce. Podczas ich przygody samolotowej zachowała się wspaniale. Tak, Charlie jest wyjątkową kobietą, pomyślał. Skoro więc chce, byśmy zostali przyjaciółmi, powinien uczynić wszystko, by tak się stało.

- Czy Kyle lub Ryan mówili ci coś o psach? - spytał w końcu.

- Niewiele. Dużo za to opowiadała mi o nich Sam. Na przykład to, że te większe to malamuty, a te - pogłaskała najbliższe zwierzę - to syberyjskie husky. Mają niebieskie ślepia. ,

- Lubisz psy, prawda?

Charlie przytaknęła.

- Bardzo. W ogóle lubię zwierzęta. Dlaczego pytasz?

- Nie sprawiałaś wrażenia ich miłośniczki.

- Chodzi ci o ten wypadek z łosiem? - Jego niebieskie oczy napotkały jej zielone.

- Kyle i Ryan mieli zwierzęta w domu, kiedy byli mali. - Charlie wołała wrócić do bezpiecznego tematu psów.

- Choć są bliźniakami, na wypadek rodziców zareagowali... odmiennie. Kyle na jakiś czas kompletnie się wyciszył. Ryan przeciwnie, nie mógł chwili wysiedzieć w miejscu, ciągle wymyślał coś nowego.

- He mieli wtedy lat?

- Dwanaście. Tak czy siak, w cztery miesiące po wypadku Tom poradził mi, abym kupiła im jakieś stworzenie. Sądził, że opieka nad nim okaże się skuteczną terapią...

- Tak jak dla ciebie opieka nad nimi? Charlie wstała z kolan.

- Nigdy tak o tym nie myślałam... ale tak, chyba masz rację.

- Jakiego psa im kupiłaś?

- A skąd wiesz, że był to pies, a nie kot lub królik? Wzruszył ramionami.

- Sama powiedziałaś, że mieli po dwanaście lat. Jaki chłopak w tym wieku hodowałby królika? Sądzisz, że chciałoby się im

chodząc po domu i zbierać gów... zbierać burę za psikusy, które ich pupil wyprawia?

Charlie wybuchnęła śmiechem.

- Z małym psem jest taki sam problem.

- Aż taki to nie. - Linc pochylił się i poklepał po grzbiecie psa.

- Gdyby złapała cię nieoczekiwana burza, husky otoczyłyby cię ciasnym kręgiem. One chyba zdają sobie sprawę, że tylko ciepło ich ciał mogłoby cię uratować. To najwierniejsze stworzenia na świecie. Jeśli raz cię zaakceptują, są ci oddane bez reszty.

Tak jak ty jesteś wierny rezerwatowi, pomyślała Charlie.

Bo kobieta nigdy nie okazała ci się wierna. Dziewczyna ciężko westchnęła.

- Jakiego psa im kupiłeś?

- Dostaliśmy go za darmo. To był zwykły kundel.

- Był?

- Tak. Zdechł kilka lat temu ze starości. Wzięliśmy go ze schroniska. To był pomysł Kyle'a. W tamtych czasach musieliśmy się liczyć z każdym groszem.

- A więc pochodził ze schroniska?

- No tak, mówię ci, byliśmy w trudnej sytuacji finansowej i nie mieliśmy wielkiego wyboru.

- Co zamierzasz zrobić, jak chłopcy pójdą w świat? - Linc nieoczekiwanie zmienił temat rozmowy.

Charlie zeszywniała.

- Nie mówmy o tym, dobrze? Kyle zostanie prawnikiem, a Ryan fizjoterapeutą.

- Podaj mi choć jeden argument, że muszą być na twoim utrzymaniu. Sprawiają wrażenie rozgarniętych. Mogą sobie sami poradzić.

- I tak też robią. Uwierz mi, pomagają, jak potrafią. Ale uczelnia jest droga. Sami na nią nie zarobią.

- Powiedz mi więc, kiedy zamierzasz zacząć żyć własnym życiem?

- Mogłabym ci zadać to samo pytanie - odwarknęła, tracąc nagle sympatię do Linca.

- Ja prowadzę życie dokładnie takie, jakie chcę - odparł pośpiesznie.

- Ja też.

- Kłamiesz, Charlie.

- A ty nie?

- Nie. Mówię prawdę. Rozejrzyj się. Czyste powietrze, żadnych cholernych samochodów i spalin, cisza...

- Żadnych dzieci, żony, rodziny - wpadła mu w słowa. - Czy naprawdę o takiej przyszłości marzysz?

- Powiedziałem: rozejrzyj się. Widzisz jakąś odpowiednią kobietę? -

To zabolalo.

Linc natychmiast zorientował się, że strzelił gafę. Twarz mu spochmurniała.

- Jak długo jeszcze zamierzasz się poświęcać swoim braciom?

- Daj spokój, Linc.

- Jak długo?

- Tak długo, jak będzie trzeba.

- A jak długo trzeba?

- Nieistotne, Linc. Nie rozumiesz, że jeśli w grę wchodzi moja rodzina, czas nie gra roli. - Minęła go i ruszyła w stronę domu.

- Rodzice odeszli i żadna siła już ich nie przywróci. Stanowią jedyną rodzinę, jaką mają, jestem jedyną osobą, na którą mogą liczyć. I dlatego zawsze muszą mnie mieć. Chcę, by mnie mieli. Nie rozumiesz tego? - Przystanęła i popatrzyła nań płomiennym wzrokiem.

- A zresztą, Linc, nie muszę się wcale przed tobą tłumaczyć.

Okręciła się na pięcie i szybko wróciła do domu.

- Zaczekaj! - Linc podbiegł do dziewczyny, chwycił ją za ramię i odwrócił w swoją stronę. - O co ci chodzi?

Charlie chciała coś powiedzieć. Uniosła głowę i spojrzała do góry...

- Uważaj!!!

W sekundę później ogromna, biała masa zimnego, wilgotnego śniegu obsunęła się na nich z dachu domku.

- Cóż to jest, do diabła? - wykrzyknął Linc, odgarniając z twarzy białą breję.

Charlie, która na chwilę wpadła w panikę, strząsnęła z głowy mokry śnieg i popatrzyła na Linca. Zaczęła się śmiać. Był tak oszołomiony, że nie wiedział, co się dzieje... Charlie chichotała i chichotała, aż w końcu Linc również wybuchnął śmiechem.

Kiedy przemoczeni wrócili do izby, Charlie straciła nagle cały dobry humor.

- Musisz się przebrać - oświadczył Linc, ściągając z siebie buty, czapkę i kurtkę, a następnie sweter i podkoszulek. W tej chwili spostrzegł, że dziewczyna stoi bez ruchu. Wokół jej stóp zebrała się już spora kałuża.

- No, co jest? Ściągaj ubranie - powiedział, rozpinając spodnie.

Charlie jak zahipnotyzowana patrzyła na jego masywną postać, na muskularne, pokryte ciemnymi włosami ciało. Potężne, pełne erotycznych obietnic.

- Ręce... ręce mi zmarzły - wydukała, nie mogąc oderwać wzroku od jego sylwetki.

- Charlie, musisz koniecznie zdjąć ubranie.

-Już gdzieś to raz słyszałam - zażartowała, próbując ze wszystkich sił zachować humor.

Linc podszedł i zdjął z niej przemoczoną kurtkę. Charlie bezwolnie poddała się jego zabiegom. Z kolei ściągnął jej sweter, ale kiedy zaczął rozpinąć koszulę, Charlie zachnęła się.

- Co... co robisz? - uderzyła go po dłoni. - Natychmiast przestań.

- Wiec rozbieraj się sama - odparł, nie zwracając uwagi na jej protesty. - Już raz cię widziałem, nie pamiętasz?

Policzki Charlie oblał gorący rumieniec, ale jedyne, do czego była zdolna, to stać i wpatrywać się w muskularny tors

mężczyzny. Ogarnęło ją nagle nieprzytomne podniecenie. On również zaczął szybciej oddychać, po czym wyciągnął do niej rękę.

Jego palce w zetknięciu z jej lodowato zimnym ciałem były niczym rozpalony węgiel. Ściągnął dziewczynie przez głowę mokry podkoszulek. Zawahał się chwilę, po czym rozpiął na plecach stanik. Serce Charlie waliło jak młotem, kiedy Linc przyklęknął i zaczął zdejmować z niej spodnie i rajtuzy, a następnie mocno wycierał ręcznikiem zziębnięte ciało. Potem rozłożył śpiwór Charlie, wziął ją na ręce i delikatnie wsunął do środka.

Przesunęła wzrokiem po jego postaci, po szerokich ramionach, smukłych muskularnych udach, płaskim brzuchu i ciemnych, ginących pod elastycznymi slipami włosach. Widok ten do reszty pobudził jej zmysły. Nie mogła prawie złapać tchu.

- Boże, aleś ty piękna - szepnął chrapliwie pełnym namiętności głosem. - Piękniejsza niż myślałem.

Charlie potrząsnęła głową, jakby w niemym proteście. Czowała, że mąci się jej rozum, ogarnęło ją straszliwe, palące pragnienie, któremu nie potrafiła się już dłużej opierać. W oczach pojawiły się jej łzy.

-Tak, Linc...

- Charlie... - Serce waliło mu jak oszalałe, w głowie miał zamęt - Charlie, jesteś pewna? Czy... dzisiaj można?

Jej otwarte spojrzenie powiedziało mu wszystko. Z kieszeni leżącej na podłodze kurtki wyjął niewielki, plastikowy pakietek.

Charlie wlepiła w niego wzrok. Widziała w jego oczach lęk. Uświadomiła to sobie dopiero w tej chwili. Odejście Amy zostawiło w nim straszliwą, jątrzącą nieustannie ranę. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że jeśli zechce, by z nim została, ona nigdy go nie opuści.

Drżącymi rękami odrzuciła z siebie śpiwór, odsłaniając nagie ciało.

- Teraz ty - zażądała. - To nieuczciwe, byś sobie mnie oglądał, a ja ciebie nie.

W domku zapadła głucha cisza, którą przerwał po długiej, długiej chwili głos Linca:

- Naprawdę chcesz?

Charlie dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Wybór należał do niej. Nie chciał jej do niczego zmuszać...

- Tak.

Linc stał bez ruchu, napawając wzrok widokiem jej ciała. Twarz dziewczyny wyrażała całą gamę uczuć. Ciekawość, podniecenie, zawstydzenie. Ogarnęła go taka czułość, że na chwilę musiał zamknąć oczy.

Potem bez słowa zdjął z siebie resztę ubrania.

Charlie głośno westchnęła.

- Och, Linc.

Mężczyzna pochylił się nad nią. Pierwszy dotyk jego warg był czuły i delikatny.

- Boże, tak tego pragnąłem, tak tęskniłem za tą chwilą - szepnął, przesuwając dłoń po piersiach dziewczyny, sycąc zmysły twardością jej wrażliwych sutek. Palce Charlie wplątały się w miękkie włosy porastające tors Linca. On muskał i muskał ustami jej twarz, aż wreszcie ciało ogarnął żar tak straszliwy, że cicho jęknęła.

Chciała go. Nie mogła znieść dłużej owej radosnej, pełnej ekstazy udręki. Trwała zbyt długo, wszystko działo się za wolno, a ona tak go pragnęła. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo.

- Linc, proszę - szepnęła ponagłajaco. - Kochaj mnie. Nie chcę już dłużej czekać.

Namiętne słowa Charlie odebrały Lincowi resztki opanowania.

Później powoli wchodził w jej gorące wnętrze, a ona wbiła paznokcie w jego twarde, umięśnione plecy. Wyprężyła się, rozwarła oczy.

- Tak, tak - szeptał rozgorączkowanym szeptem Linc prosto w jej usta. - Tak, właśnie tak, kochanie. Otwórz oczy, dokładnie tak jak ja. Chcę to widzieć, chcę widzieć twoją twarz, kiedy... Nigdy... nigdy jeszcze nie pragnąłem tak żadnej kobiety.

Charlie przycisnęła jego muskularne pośladki i Linc wszedł w nią całkowicie. Oczy miała szeroko rozwarte.

- Dobrze ci? - spytał urywanym, gorączkowym szeptem.

- Chcę, by było ci jak najlepiej, chcę zaspokoić twoje najdziksze fantazje.

Rytmiczne ruchy i pełne żaru słowa mężczyzny kompletnie oszołomiły Charlie. Patrzył w jej oczy, słuchał spazmatycznego oddechu.

Pragnął jednego: osiąść całkowicie zarówno jej ciało, jak i duszę. Osiągając pełnię szczęścia, pragnął jednocześnie dać jej rozkosz, odgonić lęki, wypełnić serce i myśli sobą.

Dziewczyna długo potem leżała z zamkniętymi oczyma. Przytuliła głowę do jego wilgotnego od potu torsu.

Kiedy ucichły już rozbudzone namiętności, ogarnęła ją fala niepokoju. Sama przecież pozwoliła, by jej stary, uporządkowany świat rozpadł się na kawałki. A jak miał wyglądać nowy, nie miała zielonego pojęcia.

- Linc, co teraz będzie? - spytała cichutko.

Oddychał nierówno, gładząc delikatną miękką skórę przytulonej do niego dziewczyny. Nie chciał na razie myśleć o przyszłości. Liczyło się wyłącznie tu i teraz.

Gdy zobaczył łzy na twarzy Charlie, ogarnęła go nieoczekiwana tkliwość i czułość.

- Nie myśl o tym. Jesteśmy razem i chciałbym, żeby zostało tak na zawsze.

Zapadła cisza, mącona jedynie szmerem ich oddechów. To, co przed chwilą zaszło pomiędzy nimi, było nieuniknione. Tak samo nieuniknione, jak to, że niebawem znów zaczną zadawać sobie rany. Ale na razie pragnął jedynie trzymać Charlie w objęciach.



Wyczerpana skinęła lekko głową. Niebawem oboje zapadli w sen.

Kiedy się obudziła, spostrzegła, że leży nago w śpiworze i że nie jest w nim sama.

Na widok spoczywającej tuż obok głowy Linca uśmiechnęła się. Czuła się cudownie. Nad przyszłością nie miała czasu się zastanawiać.

Jednego była pewna. Wczoraj jej uporządkowany świat, skoncentrowany wokół Kyle'a, Ryana i pracy zawodowej legł w gruzach. A teraz, rankiem... no cóż, teraz jest Linc, pomyślała z radosnym uśmiechem. W ciągu tygodnia zakochała się. Ostatnia noc tylko ten fakt potwierdziła.

- Zimno?

Zaskoczona uniosła głowę.

- Cześć. - Linc pocałował ją w plecy, a następnie obrócił w swoją stronę i zajął jej głęboko w oczy. - Dzień dobry - powiedział i przygarnął ją jeszcze mocniej. - Jestem głodny jak wilk. A ty?

Charlie aż do tej chwili nie wiedziała, że potrafi się tak zarumienić. Dobrze wiedziała, o co Lincowi chodzi.

- Och!

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Wiesz, o czym myślę?

- Chyba tak - szepnęła Charlie. - Ale lada chwila pojawi się tutaj Ted z chłopcami.

Leżeli i obserwowali się wzajemnie.

- Długo już nie śpisz?

- Od niedawna. To zabawne, ale obudziła mnie cisza.

- O tak, cisza może być bardziej denerwująca od hałasu. Zanim nadejdą roztopy, rzeczywiście panuje tu głucha cisza. Śnieg pochłania wszystkie dźwięki. Nie wychodź na razie ze śpiwora. Najpierw napalę w piecu. Może w nocy nie miałaś okazji tego spostrzec, ale izba solidnie się wyiębiła.

Charlie zaczerwieniła się.

- Roztopy? To brzmi raczej ponuro. Linc wyjął z torby świeże ubranie.

- Bo tak jest. Każdy Alaskijczyk, jeśli ma choć odrobinę rozumu i trochę pieniędzy, wyjeżdża w tym czasie na Hawaje. Świat najsmutniej prezentuje się w porze odwilży.

- A co ty wtedy robisz?

- Och, ja bardzo niechętnie opuszczam Alaskę. W czasie urlopu pakuję plecak i wybieram się na włóczęgę po okolicy.

Twój dom jest na Alasce, nie w Kalifornii, pomyślała ze smutkiem dziewczyna.

- Masz hierarchię wartości i Hawaje zajmują w niej ostatnie miejsce?

Oczywiście, pomyślał Linc, kończąc się ubierać. Niemniej ostatnia noc odmieniła jego życie. Nie miał jeszcze pojęcia jak i dlaczego to się stało, ale wiedział, że nigdy nie kochał Amy tak, jak kocha Charlie.

- Masz rację, ale w pogoni za parą tak cudownych oczu jak twoje jeździłbym od czasu do czasu nawet do Kalifornii.

O mało nie wybuchnęła śmiechem.

- Linc, proszę...

Wyciągnął rękę i pomógł dziewczynie wygrzebać się ze śpiwora. Obrzucił spojrzeniem jej nagą postać.

- Teraz ja sobie popatrzę - mruknął. - Też mogę być konsultantem.

Charlie przytuliła się do niego.

- Jakim konsultantem?

Linc uśmiechnął się i powędrował wzrokiem w dół. Charlie w jednej chwili zapomniała o bożym świecie.

## Rozdział 13

Ledwie zdążyli się ubrać, gdy do domku wtargnęli Ted, Kyle i Ryan. Emanująca z braci radość udzieliła się Charlie, która dzięki temu zaczęła zachowywać się naturalnie. W każdym razie tak się dziewczynie wydawało.

Kyle jednak nie dał się zwieść pozorom, a Ryan, widząc zaczerwienione policzki siostry, spytał nawet, czy się nie przeziębiła. Stłumiony chichot Teda zirytował Linc.

Po śniadaniu, które upłynęło w osobliwej atmosferze niezdrowej ciekawości, Linc z chłopcami przepakował sanie, podziękował Tedowi za gościnę i dwa zaprzęgi ruszyły w drogę powrotną. Późnym popołudniem pokonały ostatni zakręt Park Road.

- Charlie, mogę cię prosić o chwilę rozmowy? - spytał Linc, kiedy zamknął ostatnią klatkę z psami.

- To była wspaniała wyprawa, Linc! - zawołał z entuzjazmem Kyle.

- Dziękujemy - dodał Ryan. - Do zobaczenia później. Nie musisz się śpieszyć, siostrzyczko.

Kiedy Linc został sam na sam z Charlie, przytulił ją do siebie i pocałował w usta.

Delikatnie. Czule. Namiętnie.

- Wydaje mi się, że Kyle i Ryan wszystkiego już się domyślili - szepnęła.

- Przecież nie są głupcami - odparł żartobliwie Linc. - Czy to dla ciebie aż tak ważne?

Charlie skinęła głową. W Lincu zamarło serce.

- Nie chcę, by myśleli...

- Oni wiedzą, Charlie. Masz to, kochanie, wypisane na twarzy. Pytanie tylko, co zamierzają z tym zrobić. Wpadniesz do mnie na kolację?

Jego-intencje były oczywiste i dziewczynie jeszcze mocniej zabiło serce. Chrząknęła zakłopotana. Tak, chcę przyjść do

ciebie na kolację, pomyślała. Tak, chcę się z tobą kochać. Dlaczego we wszystko musi zaraz wkraczać rzeczywistość i burzyć piękne fantazje?

- Linc, pozwól sobie wytłumaczyć... - zaczęła niepewnie, ale nie pozwolił jej skończyć.

- Nic nie mów. Odpowiedź czytam w twojej twarzy. Trudno, zjemy kolację oddzielnie.

- Linc, proszę. Posłuchaj mnie chwilę. Musisz pewne rzeczy zrozumieć. Chłopcami zajmuję się od dawna i nie mogę sobie, ot tak, wstać nagle od stołu, i spędzić z tobą nocy. Wiem, że tobie jest to obojętne, ale ja już dawno postanowiłam, że nie będę nawiązywała... nawiązywała romansów w obecności mych braci. Staram się wpajać im szacunek dla kobiet. Jakby to wyglądało, gdybym po wszystkich naukach...

Czy zrozumie? - pomyślała z rozpaczą i pośpiesznie dodała:

- Ale nie żałuję tego, co wydarzyło się dziś w nocy. Zapadła długa cisza.

Jak sobie poradzę, gdy ona odejdzie? - pomyślał z rozpaczą Linc. Tak bardzo jej potrzebuję. Czyż tego nie dostrzega? A zostało nam tak niewiele czasu.

- Może i masz rację - burknął. - Ale uświadom sobie raz na zawsze, że Ryan i Kyle nie są już niewiniątkami. Czy nie dociera do ciebie, że twoja rola się skończyła?

- Linc, nie wracajmy do tego tematu. - Zacisnęła usta i odwróciła twarz.

- A właśnie, że będę wracał. Posłuchaj, doceniam ogrom twego poświęcenia, ale przyszła pora, byś pomyślała o sobie. Zrób to dla własnego dobra.

- I oficjalnie mam z tobą sypiać?

- Czy... czy to tak mało dla ciebie znaczy?

Charlie, choć nawet się nie domyślała, ile kosztowały go te słowa, wyczuła w jego głosie alarmujący ton. Wyczuła lęk. Linc był przekonany, że dziewczyna... odrzuca go!

Tak jak zrobili to kiedyś jego rodzice, a potem Amy. Ale Charlie nie mogła tego zrobić. Zbyt kochała Tylera. Chłopcy są dorośli, mają po dziewiętnaście lat, studiują i chodzą z dziewczynami. Powinni zrozumieć. Muszą zrozumieć!

- Wiesz o której zapraszasz mnie na kolację? - spytała. Jego zdumienie było tak wielkie, że Charlie natychmiast

zrozumiała, że podjęła słuszną decyzję. Na twarzy Linca wykwitł promienny uśmiech. Przygarnął ją do siebie.

- Wiesz, czasami potrafisz doprowadzić człowieka do szewskiej pasji.

Objęci ruszyli w stronę budynków biurowych. Tam Charlie zostawiła Linca i pobiegła do mieszkania Bobby'ego.

Kyle gospodarował w kuchni, a Ryan, sądząc po odgłosach, brał prysznic.

- Odpowiadają ci hamburgery? - spytał Kyle.

- Kolację zjem u Linca - odparła.

- To świetnie - rzekł Kyle i znacząco się uśmiechnął.

- Zostanie więcej dla nas.

I tylko tyle! Żadnych cierpkich uwag, żadnych krzyżowych pytań. Normalna sprawa.

- Być może... być może wrócę trochę później - oświadczyła nerwowo Charlie, kiedy kilka godzin później opuszczała mieszkanie. Zdumiewał ją brak jakiegokolwiek reakcji ze strony braci.

- Bawcie się dobrze! - zawołał Ryan, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

- I dobrze się sprawujcie! - dorzucił Kyle, pokazując bratu wyciągnięty w górę kciuk tak, by nie zauważyła tego Charlie.

Przez cały następny dzień Charlie była zdumiona zachowaniem się braci. Linc jednak dużo lepiej niż ona rozumiał męską psychikę.

Pierwsza noc nie była ostatnią. Przez siedem następnych, cudownych nocy Charlie i Linc się nie rozstawali. Za dnia odbyli kilka wypraw psim zaprzęgiem w głąb parku. Raz

towarzyszyli im Kyle i Ryan. Ponadto ciężko pracowali. Dziewczyna zadawała masę pytań. O ceny zezwoleń na polowanie lub łowienie ryb, o opłaty za rozbijanie namiotów, o wysokość prowizji pobieranych przez park od prywatnych handlowców. Wspólnie skalkulowali procentowo wydatki na ochronę przyrody i obsługę ruchu turystycznego. Linc całkowicie otworzył się przed nią i Charlie była w nim coraz bardziej zakochana. Nauczył ją prowadzić psie zaprzęgi i budować domki ze śniegu. Stał się jej przewodnikiem, nauczycielem, obrońcą, przyjacielem i kochankiem. Charlie nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak szczęśliwa.

Na dzień przed wyjazdem Kyle'a i Ryana udali się we czwórkę do psów. Chłopcy urządzili sobie ostatnie wyścigi, a Linc i Charlie mierzyli im czas.

Gdy dziewczyna oświadczyła, że musi wracać do domu i przygotować obiad, bracia zostali, by pomóc Lincowi przy psach.

- Charlie wspaniale się tu bawi - zauważył Ryan i Kyle szturchnął go w bok. Obaj chłopcy zamilkli, a po chwili Kyle zwrócił się do Linca:

- Dziękujemy ci. Dawno już nie widzieliśmy Charlie w tak wyśmienitym humorze.

Tyler, który właśnie dokładnie sprawdzał płozy sań, popatrzył na niego z uwagą. Bracia wymienili spojrzenia.

- Coś nie tak? - spytał Linc.

- Musimy porozmawiać - oznajmił Kyle.

Linc przyglądał mu się przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na drugiego brata. Ten tylko wzruszył ramionami.

- No dobrze - mruknął Tyler. - Najpierw uporajmy się z psami. Potem zapraszam do siebie. Tam pogadamy.

- Świetnie - zgodził się Kyle.

W rekordowym tempie doprowadzili sanie oraz psy do porządku i niebawem Linc już otwierał drzwi swego mieszkania.

- Takie samo jak nasze! - wykrzyknął Ryan.

- Bo to budynki państwowe - wyjaśnił Linc, kierując się do kuchni. - Piwa?

Sam właściwie nie pił alkoholu, tylko czasami pozwalał sobie na piwo.

- Z przyjemnością - odparł Ryan, przyglądając się rozłożonej na stole układance. Odebrał od Linca puszkę, otworzył ją i pociągnął tegi łyk. - Wspaniały napój - szepnął.

- U was w lodówce nie ma piwa. To chyba sprawka Charlie - zachichotał Linc.

- Masz rację. - Ryan znów uszczuplił zawartość puszek, po czym wskazał na układankę. Przedstawiała zimowy pejzaż

- Lubisz tym się bawić? - spytał.

Linc usiadł i podniósł element łamigłówki. - Czasami, dla zabicia czasu - mruknął.

Kyle przez chwilę studiował pudełko.

- Hej, to jest układanka obustronna! Linc przytaknął.

- Obustronna? - spytał Ryan i Kyle wręczył mu opakowanie.

- Sam widzisz, po jednej stronie jest ten zimowy widoczek, a po drugiej inny.

- W tym cały problem. Wcale nie tak prosto to ułożyć - oświadczył Ryan, spoglądając na Linca.

Usiedli we trójkę przy stole i zajęli się kompletowaniem pejzażu. Kyle'a zajęcie pochłonęło bez reszty, ale Ryan szybko stracił cierpliwość. Założył ręce za głowę i zaczął bujać się na krześle.

- Słuchaj, Linc, co właściwie łączy cię z Charlie? - spytał nieoczekiwanie.

Mężczyzna znieruchomiał. Dopiero teraz wszystko zrozumiał. Chłopcy musieli wyjechać następnego dnia i bali się zostawić Charlie samą.

Kyle westchnął i odwrócił się w stronę gospodarza.

- Chcemy wiedzieć, co zamierzacie.

- Nigdy jeszcze nie widzieliśmy jej tak szczęśliwej - dodał Ryan, ignorując słowa brata. - Ale zarówno ja, jak i ten Peny Mason niepokojmy się, że wasz związek rozleci się, podobnie jak to miało miejsce z poprzednim facetem Charlie.

- Chodzi o Dona?

- Mówiła ci o nim?

Zanim Linc zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Ryan zaczął mówić dalej:

- Zatem wiesz, o co nam chodzi. Tamten bubek wykręcił jej niezły numer. Czulił się do niej, bo chciał wpłynąć na raport, jaki sporządzała na temat jego przedsiębiorstwa. Zrobiła się z tego wielka draka i Charlie o mało nie wyleciała z pracy, kiedy tamten drań zaskarżył jej firmę... - urwał i zmierzył Linca baczny spojrzeniem. - Od tamtego czasu nasza siostra gonila facetów jak święty Michał diabła. Dopiero ty pierwszy...

Linc zmarszczył brwi. Wyobrażał sobie piekło, jakie przeszła dziewczyna. Miała dziewiętnaście lat i już musiała sobie radzić sama. A pierwszy mężczyzna, u którego szukała pomocy i oparcia, okazał się łobuzem. Nic zatem dziwnego, że początkowo tak chłodno potraktowała Linca. I nic dziwnego, że mu nie wierzyła. Raz już została oszukana.

Linc Tyler znał to uczucie aż za dobrze.

- Dlatego chcielibyśmy wiedzieć, co czujesz do Charlie. Kyle utkwiał w nim badawcze spojrzenie. Linc przeciągnął ręką po brodzie. Chciał zyskać na czasie.

- Czy to ważne, co do niej czuję? - odparł. - Istotne jest tylko to, że pragnę jej szczęścia.

Pochylił się nad stołem i ostrożnie umieścił na planszy kolejny element układanki. Kyle i Ryan wymienili spojrzenia.

- Charlie doskonale wie, czego chce - dodał. - Tego chyba nie muszę wam mówić. Osoba jej pokroju, kiedy raz wkroczy na wybraną drogę, będzie nią szła do końca. A mnie na tej drodze nie ma. Choć pozory mogą wskazywać na coś innego.



- Chyba żartujesz! - Spoczęło na nim ciężkie spojrzenie Ryana. - Wystarczy spojrzeć na was dwoje, by zrozumieć, co Charlie do ciebie czuje.

- I wystarczy spojrzeć na was troje, by zrozumieć, co Charlie czuje do was - odpalił Linc, starając się ukryć rozpacz, która go ogarnęła. Zrozumiał, że utracił Charlie na zawsze.

- Naturalnie, kocha nas. W końcu stanowimy rodzinę - przypomniał Kyle.

Linc wzruszył ramionami. Żałował już wypowiedzianych słów.

- Zamierzasz się wycofać, prawda? - wykrzyknął nie oczekiwanie Ryan, zrywając się z krzesła. Popatrzył gniewnie na Linca. - Niezły z ciebie gagatek!

- Zamknij się, Ryan - rzekł Kyle, chwytając brata za rękaw koszuli. - Tu chyba nie o to chodzi.

Ryan niechętnie wrócił na krzesło. Oczy braci spoczęły na Lincu.

- Jak mówiłem, Charlie dokładnie skartografowała sobie życie. Ale mnie na jej mapie nie ma - powiedział głucho Tyler.

Mijały dni.

Ostani tydzień Charlie spędziła na oglądaniu filmów. Odbyła też dwa spotkania z pracownikami parku. Teraz wszyscy strażnicy zdawali sobie już sprawę, że stosunki pomiędzy Lincem a dziewczyną straciły charakter wyłącznie służbowy. Charlie czuła, że cieszy się powszechną sympatią, i nabrała pewności siebie.

- Chwała Bogu, to już ostatni! - westchnęła, kładąc głowę na blacie biurka. - Nigdy nie uwierzyłabym, że istnieje aż tyle filmów o Alasce.

- No cóż, teraz już wiesz - odparł Linc, odgarniając jej z czoła kosmyk włosów i zakładając go za ucho dziewczyny.

- Oboje mieliśmy ciężki dzień.

- Taak?

- Musisz iść do łóżka. - Niski, chrapliwy głos sprawił, że dziewczynie przeszły po plecach rozkoszne ciarki.

- Tylko ja mam iść do łóżka? Linc pocałował ją w kark.

- Miałem na myśli swoje łóżko, nie twoje... Następnego ranka, kiedy Charlie obudziła się, Linc był już ubrany i gotów do wyjścia.

- Dlaczego tak wczesnie wstałeś? - spytała, patrząc na niego zaspanym wzrokiem. Po maratonie filmowym z poprzedniego dnia wciąż była znużona i z niechęcią myślała o tym, że ma zasiąść z kolei przed ekranem komputera i kończyć raport. Dotąd ten etap pracy lubiła najbardziej. Znaczył, że niebawem wróci do domu, do Kyle'a i Ryana. Obecnie wcale jej to nie cieszyło. Linc wzruszył ramionami.

- Ponieważ dziś już nie będziesz mnie potrzebowała, zajmę się swoimi papierami. Nagromadziło się ich tyle, że nie widać biurka.

- Twierdzisz, że to moja wina?

- Nie. Z tobą nie ma to nic wspólnego. - Linc z łatwością złapał poduszkę, którą w niego rzuciła. - Naprawdę muszę odrobić zaległości.

- Dobrze - odparła pogodnie. - Ale przed obiadem przejrzyś ze mną jeszcze raz raport i wniesiemy ostatnie poprawki.

Linc przesłał jej całusa, wyszedł z mieszkania i skierował się do biura. Wybiegła mu na spotkanie Sam.

- Co się stało? - spytał marszcząc brwi.

- Pamiętasz tych Grangerów z Montany? - Linc skinął głową przypomniawszy sobie rodzinę z trojgiem dzieci. - Ich najstarszy chłopak, Nick, opuścił o świcie obóz i do tej pory nie wrócił. Tę wiadomość przekazał nam Paul przez radio z Savage River kilka minut temu.

- Sądzisz, że mu się coś przytrafiło? Może chłopak wybrał się po prostu na samotną wycieczkę? Może miał dosyć towarzystwa innych dzieci?

- Może. Paul twierdzi, że pół godziny temu zaczęła się gwałtownie pogarszać pogoda. Nadszedł wiatr, który miecie śniegiem. Jeśli temperatura będzie nadal spadać i śnieg zasypie ślady, dzieciak może nie znaleźć drogi powrotnej.

Weszli do biura.

- Kiedy opuścił obóz? - spytał Tyler i westchnął na widok sterty papierzyk zalegających biurko. One i raport Charlie będą musiały poczekać.

- Najwyżej półtorej godziny temu - odparła Sam, przysiadając na brzegu biurka. - Paul twierdzi, że on wyśmienicie jeździ na nartach - dodała z nadzieją.

Linc włączył krótkofalówkę. Paul odezwał się prawie natychmiast.

- Jak się przedstawia sytuacja? - spytał Tyler.

- Blisko trzydzieści stopni mrozu. Prawie ciemno. Przygotowałem same i nakarmiłem psy. Mogą w każdej chwili ruszać. Kto z was się pojawi?

- To zależy. Czy możemy użyć samolotu?

- Nie, bardzo słaba widoczność. Linc podjął błyskawiczną decyzję.

- Wyruszę zaprzęgiem z Sam. Ale to trochę potrwa. W tym czasie weź ojca chłopaka i przeszukajcie bezpośrednie sąsiedztwo obozu. Może traficie na jakiś ślad. Czy Nick był już w Arktyce? Potrafi wykopać jamę śnieżną?

- Możliwe, że tak - odparł Paul. - Ale musiałby to robić gołymi rękami. A to ciężka praca, nawet przy dobrej pogodzie.

Linc popatrzył na Sam, która słysząc, że ma wziąć udział w wyprawie ratunkowej, lekko uniosła brwi.

- Być może potrzebna będzie kobieta, która zajmie się panią Granger i pozostałą dwójką dzieci - wyjaśnił dziewczynie.

- Powiedz Alowi, żeby przygotował dwa zaprzęgi ze sprzętem i żywnością na trzy - cztery dni.

Sam skinęła głową i opuściła biuro. Linc ponownie zasiadł do radia.

- Paul, będziemy u was najszybciej jak się da. Powiedz Grangerom, że już jedziemy.

Odłożył mikrofon i popatrzył na zegarek. Niebawem Sam i Al powinni zakończyć przygotowania.

Cóż za ironia losu, pomyślał. Nawet nie mogę towarzyszyć jutro Charlie do Anchorage. Czuł rozpacz na myśl, że nie będzie go przy odjeździe dziewczyny. W porównaniu z tym, nawet cięcia w budzecie niewiele znaczyły.

Nieoczekiwanie otworzyły się z trzaskiem drzwi i do biura wtargnęła Charlie.

- Linc, właśnie spotkałam Sam. Powiedziała, że... Mężczyzna podniósł głowę. Na widok jego twarzy dziewczyna zamarła w pół kroku.

- Linc, co się stało? - zapytała, czując w jego spojrzeniu jakąś niedobłą wiadomość. - Znaleźli chłopca? Czy coś mu się stało?

Linc wstał od biurka i obszedł je z drugiej strony. Nie chciał dziewczyny nawet dotknąć. Gdyby to zrobił, nie miałby już siły się z nią rozstać. Teraz lub nigdy.

- Musimy porozmawiać, Charlie - powiedział grobowym głosem.

- Chodzi o nas, prawda? - spytała czując, że krew odpływa jej z twarzy. - Chcesz powiedzieć, że było fajnie, ale nadszedł czas rozstania, tak?

Lincowi drgał nerwowo mięsień w lewym policzku. Charlie w jednej chwili pojęła wszystko. Popatrzyła na stojące na biurku niewielkie zdjęcie, które zrobił im Ryan podczas wyprawy do parku. Kiedy dziewczyna uświadomiła sobie swoją własną głupotę, z jej twarzy zniknęły wszystkie kolory. Oddała mu wszystko. Duszę, ciało, miłość. Patrzyła na Linca rozszerzonymi oczyma i próbowała pojąć, dlaczego to wszystko zrobiła. Przychodziło jej na myśl tylko jedno wytłumaczenie - głupota.

Chyba straciłam rozum sądząc, że moja miłość odmieni Linca, pomyślała. Skąd w ogóle przyszedł mi do głowy pomysł,

by rywalizować z czymś tak ponadczasowym i wspaniałym jak rezerwat.

Charlie wybuchnąwszy płaczem rzuciła się do drzwi, ale Linc położył dłoń na klamce, nie pozwalając jej opuścić biura. Odwróciła głowę. Nie chciała pokazywać, jak bardzo ją to zabolalo. Wystarczyło, że Linc był świadkiem jej upokorzenia.

- Przykro mi.

Jakie to płytkie i fałszywe, kołatało jej w głowie. Wcale nie jest mu przykro. Wcale go nie obchodzi. Cieszy się, że udało mu się sprawić mi ból.

- Dobrze. Teraz pozwól mi odejść. Nie musisz grać już dłużej.

Pomyślała o Kyle'u i Ryanie. Zaciśnęła usta i najwyższym wysiłkiem woli opanowała gniew. Ich również wykorzystał.

- Nie grałem, Charlie. Nie chcę, żebyś tak myślała.

- A jak to nazwać?

Linc drgnął. Z jego twarzy można było wyczytać gniew i gorycz, jakie go ogarnęły.

- Milczysz? - Charlie obrzuciła go złym spojrzeniem. - Czy nic dla ciebie nie znaczy to, że żyliśmy ze sobą?

Z trudem panował nad sobą.

- Ani razu nie próbowałem cię wykorzystać, Charlie. Dziewczyna zamknęła oczy.

- Linc, to mi się po prostu nie mieści w głowie. Wiesz, jak bardzo boję się mieszać sprawy zawodowe z życiem osobistym. I wiesz, że dla ciebie tę zasadę zламаłam. Co się z tobą dzieje? Powiedz. Powiedz coś, do cholery! Nie zostawiaj tak tego wszystkiego! - Dziewczyna nie potrafiła opanować uczucia bezsilności.

- Cóż mam ci powiedzieć, Charlie? Że mi przykro, iż sprawy potoczyły się tak, jak potoczyły? No cóż, przykro mi. Bardzo przykro. Ale z innych powodów niż myślisz.

Charlie niepewnie zrobiła krok do tyłu.

- Mnie też przykro. Żałuję, że ugrzęźliśmy wtedy w domku myśliwskim. Żałuję, że przegrałam ten śmieszny zakład z Ryanem i Kyle'em. Ale wierzyłam ci.

Objął nagle dziewczynę, przygarnął do siebie i pocałował w usta. Zupełnie jakby tym gorącym pocałunkiem chciał wyrazić wszystko to, czego nie potrafił wyznać słowami. Potem wypuścił Charlie z objęć i stał bez ruchu, pełen bólu.

Dzwonek telefonu wyrwał ich z odrętwienia. Słuchając rozmowy Linca z Sam, dziewczyna rozumiała tylko jedno: że Linc odchodzi i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy się już nie spotkają. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie udało się jej wykrztusić ani słowa. Oczy wypełniły się łzami. Z najwyższym trudem opanowała wybuch płaczu. Linc delikatnie zdjął z klamki drżącą dłoń Charlie.

- Muszę iść. Kiedy wrócę, ciebie już tu nie będzie. Do Anchorage pojedziesz koleją.

Charlie popatrzyła nań z niedowierzaniem. Jak mógł być tak wyprany z emocji, tak obojętny i nieczuły?

- Linc?

- Żegnaj, Charlie.

Czekała jeszcze na jakieś słowo... ale on odwrócił się, otworzył drzwi i wyszedł.

## Rozdział 14

Po powrocie do Los Angeles Charlie przez cały tydzień była oteźpiała i oszołomiona. Pozornie wróciła do normalnego życia, ale uczestniczyła w nim tylko ciałem. Śmiała się w pracy z docinków kolegów na temat „arktycznej Alaski”, wspominała z braćmi pobyt w parku, który przyniósł im tyle radości, ale robiła to wszystko mechanicznie. Z upływem czasu pogrązała się coraz bardziej w rozpacz, popadając w jakieś dziwne odrętwienie. Chudła i marniała w oczach.

Siedziała w biurze i tępo wpatrywała się w ekran komputera. Analiza kwartalnych raportów - jakże nienawidziła tego zajęcia.

Nieoczekiwany hałas sprawił, że zerwała się z krzesła jak oparzona.

- Co ty, do licha, wyprawiasz?! Już dziesiąta. Zabijasz się, dziewczyno.

Charlie odruchowo poprawiła fryzurę i szybkim ruchem starła z twarzy resztki łez. ;

- Muszę skończyć analizę...

- Charlie, jest piątek, późny wieczór. Zaczyna się weekend. Wracaj do domu - powiedział Tom, zamykając za sobą głośno drzwi. Tom trzaskał drzwiami tylko wtedy, gdy coś wyprowadzało go z równowagi.

- Mam jeszcze masę do zrobienia, Tom. A w domu nie ma chwilowo dla mnie miejsca. Kyle i Ryan kują do egzaminów. Pracuję więc tutaj.

- Nie zapominaj, z kim rozmawiasz, Charlie. Przecież dobrze cię znam. I znam twoich braci. W piątkowy wieczór chłopcy z całą pewnością nie siedzą w domu. A już na pewno nie Ryan - zażartował Tom, chcąc nieco rozproszyć smutek dziewczyny.

- Poza tym wyglądasz marnie i coś mi mówi, że to ma związek z tamtym gościem, Tylerem. - Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej coś i położył na biurku przed Charlie.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Charlie spojrzała na przedmiot i zamknęła oczy. Było to zdjęcie jej i Linca, zrobione na tle Mount Denali Ujęła fotografię w palce.

- Masz to od chłopców? - spytała cicho. Kiwnął potakująco głową.

- Nie ma o czym mówić, Tom. Po prostu... to wszystko nie wyszło. - Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym Charlie szybko odwróciła głowę. Ale nie zmyliła Toma. To w końcu on nauczył ją rozpoznawać nastroje innych ludzi.

- Z jakiego powodu nie wyszło?

- Tom, to moja prywatna sprawa.

Mężczyzna podszedł do dziewczyny i poklepał ją delikatnie po ramieniu.

- Posłuchaj, Charlie, wiele razem przeszliśmy. Do licha, traktuję cię bardziej jak córkę niż podwładną. Przekazałem ci całą wiedzę, którą posiadam, a ty sprawujesz się znakomicie.

Lecz praca nie wypełni ci życia. Musisz kogoś mieć, Charlie - mówił łagodnym tonem.

- Mam Kyle'a i Ryana - pociągnęła nosem. Tom potrząsnął głową.

- Nie o to mi chodzi. Poza tym oni nie będą z tobą aż do śmierci. Już od roku zamierzają wyprowadzić się do akademika. Nie zrobili tego, bo zostałybyś sama.

Oczy Charlie rozszerzyły się ze zdumienia. Kyle i Ryan chcieli się wyprowadzić? Nie zrobili tego tylko ze względu na nią? Poczowała, że serce zamiera jej w piersi. Mają już po dziewiętnaście lat, Charlie, powiedział Linc. To już mężczyźni, nie chłopcy. Kiedy wreszcie zdasz sobie z tego sprawę?

Tom puknął palcem w fotografię.

- Przykro mi, Charlie, ale oni prędzej czy później wyfruną z gniazda. A z tego, co mi mówili, ten Tyler to przyzwoity człowiek. Chyba wart ciebie. A fotografia wyraźnie mi mówi, że ty o tym wiesz.



Charlie poczuła, że coś się w niej załamuje. Całe dotychczasowe życie zaczynało się walić. Tyle zmian...

- On jest inny niż tamten... - Charlie gwałtownie uniosła głowę i spojrzała Tomowi w twarz. - Dokładnie wszystko sprawdziłem - dodał szybko, patrząc jej prosto w oczy.

- Zrobiłem to kilka tygodni temu, kiedy Kyle przysłał mi to zdjęcie i zobaczyłem na nim wyraz twojej twarzy. Po tym, co cię kiedyś spotkało... no cóż, musiało to zająć trochę czasu.

- Wzruszył ramionami i ciągnął zrzędlivym tonem: - Nie mam zamiaru prawić ci morałów, Charlie, ale każdy, z kim rozmawiałem o Tylerze, nie miał dla mego słów. To dobry człowiek.

- Dobry strażnik - odparła pełnym goryczy głosem.

- A co ma jedno do drugiego? Dziewczyna chwilę milczała.

- Tom, dlaczego go tak bronisz?

- Ponieważ jest ciebie wart Ponieważ chcę, żebyś była szczęśliwa. Ponieważ na to zasługujesz. Tak więc, kiedy tylko przyjdzie ci ochota porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać. Charlie zagryzła dolną wargę.

- Dzięki, Tom.

- Aha, i jeszcze jedno.

- Tak?

- Zmykaj do domu.

Pół godziny później Charlie leżała już we własnym łóżku. Zwinęła się pod kołdrą w kłębek i cichutko płakała. Nie usłyszała nawet, że otworzyły się drzwi jej sypialni i w progu stanęły dwie ubrane w piżamy postacie. Dopiero kiedy chłopcy usiedli na brzegu łóżka i zaczęli ją delikatnie uspokajać, podniosła zapłakane oczy.

- O co chodzi, siostrzyczko? - spytał z niepokojem Ryan.

- Czasem płacz jest najlepszą terapią dla duszy - dodał Kyle, przybierając zabawnie poważny ton.

Opowiedziała im wszystko, w nadziei że zrozumieją. Rozmawiała z nimi jak z dorosłymi... jak z przyjaciółmi.

- A więc go kochasz, siostrzyczko - ni to spytał, ni to stwierdził Ryan i w półmroku zalegającym pokój zapadła cisza.

- Tak - przyznała po chwili niechętnie. - Ale Linc kocha tylko swój rezerwat. Wy też zdajecie sobie z tego sprawę.

Kyle ułożył się wygodniej na łóżku.

- Charlie, to, co mówisz, nie ma sensu. Linc nie sprawiał wrażenia kogoś, kto bawi się ludzkimi uczuciami. Być może jest trochę szorstki, ale nie jest łobuzem. - Przesłał Ryanowi zakłopotane spojrzenie. - Mówiłaś, że kiedyś miał żonę. I to ona go rzuciła?

Charlie skinęła głową.

- Zgadza się. Ale co to ma do rzeczy?

- Zaczekaj chwilę - odrzekł zamyślonym tonem Kyle.

- Wyjeżdżając zapytaliśmy Linca, co on do ciebie czuje.

Charlie otworzyła usta ze zdumienia.

- Spytaliście? Och, Kyle, po co?

- Bo widzieliśmy, co się z tobą dzieje.

- I nie chcieliśmy, by powtórzyła się historia z Donem

- dorzucił Ryan.

- I chcieliśmy poznać jego zamiary - dokończył Kyle. Charlie zeszywniała. Jakim prawem.

- Kyle, co dokładnie wam powiedział?

- Że jego uczucia nie mają nic do rzeczy i że chce tylko, byś była szczęśliwa.

- Więc czemu mnie odepchnął? Sprawiał takie wrażenie, jakby umyślił to sobie od samego początku.

- O tym też wspomniał - powiedział Ryan unosząc głowę.

- Mówił coś o twoim życiu, że dokładnie je skartografowałaś, ale Alaski na tej mapie nie ma.

Popatrzył na Kyle'a, jakby u niego szukał potwierdzenia swych słów.

Dziewczyna poczuła zawrót głowy.

- Mój Boże...

Słyszając cichy okrzyk siostry, Ryan zeszywniał i przesłał bratu pełne obaw spojrzenie.

- Czy te słowa coś ci mówią? - spytał pośpiesznie Kyle.

Ogarnął ją straszliwy żal. W pierwszej chwili chciała wykręcić się jakimś łgarstwem, ale zwyciężył nawyk mówienia braciom zawsze prawdy.

- Linc uważa, że zbyt związałam swoje życie z wami. Że pewnego dnia obudzę się, zobaczę, że wyfrunęliście z gniazda, i zostanę sama.

Zacisnęła usta. Gorąco pragnęła, by chłopcy zaprzeczyli. Kiedy milczeli, w oczach dziewczyny znów stanęły łzy. Popatrzyła bezradnie na braci.

- A więc miał rację?

- Nawet gdybyśmy nie mieszkali tutaj, zawsze będziemy przy tobie, siostrzyczko - powiedział łagodnie Ryan.

- Kyle chce mieszkać bliżej uczelni.

- A ty?

Ryan wzruszył ramionami.

- Zamierzam przenieść się do akademika. No wiesz... - zawahał się, po czym wyrzucił z siebie - ... jeśli wszystko odpowiednio zaaranżujemy, nie powinno być źle.

Gorzej już być nie może, pomyślała ponuro i popatrzyła na ściągniętą twarz brata. Jej oczy złagodniały, na twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu. Ostatecznie to nie ich вина...

- Co chcecie aranżować?

- Można sprzedać dom i kupić inny. Mniejszy i tańszy.

- No właśnie - wtrącił Ryan. - A zaoszczędzone pieniądze przeznaczysz na ukończenie studiów. Ale pewnie ty i tak przeniesiesz się na Alaskę.

Charlie tak pochłonęła myśl o sprzedaży domu, że nie zwróciła uwagi na ostatnie słowa brata. Sprzedać ich dom?

- I mam rzucić pracę? Po tym Wszystkim, co zrobił dla nas Tom?

Kyle jęknął.

- Charlie, kiedy ty wreszcie wydoroslejesz? Tom kocha cię jak własną córkę i jeśli porzucenie firmy ma ci przynieść szczęście, pierwszy wykopie cię za drzwi.

Zapadła długa, ciężka cisza, którą przerwał w końcu Ryan.

- To możliwe.

- I co ty na to? - spytał Kyle.

- Sama nie wiem - odparła niepewnie dziewczyna.

- Muszę to przemyśleć.

Kyle i Ryan skinęli głowami i cicho opuścili pokój.

Telefon zadzwonił akurat w chwili, kiedy Linc wszedł do swego biura. Obrzucił wzrokiem spiętrzone na biurku papiery i podniósł słuchawkę.

- Tu Tyler. Słucham?

- Tak pracujesz, że aż ja garbu dostaję. Zawsze zaczynasz błędym świtem? - zahuczał w słuchawce głos Jima.

- Do świtu jeszcze daleko. O co chodzi? Chyba nie dzwonisz tylko po to, by usłyszeć mój głos.

- Do licha, uwielbiam twoją szczerość. No dobrze. Wczoraj wieczorem widziałem chłopaka Grangerów i pomyślałem sobie, że zainteresuje cię wiadomość, iż z nim wszystko w porządku. Dzisiaj wypiszą go ze szpitala i cała rodzina poleci wieczorem do domu.

- To świetnie, szefie. Dobrze, że tak się skończyło.

- No właśnie. A co sądzisz o raporcie?

Uśmiech zniknął z twarzy Linca i mężczyzna popatrzył na wystającą spod sterty papierów czarną teczkę. Jeszcze jej nie przeglądał. Nie miał czasu. A w każdym razie tym się usprawiedliwiał.

- Linc? W drodze na lotnisko odwiedziła mnie w biurze Charlotte Madison. Opowiedziała mi w skrócie o raporcie. Spisała się pierwszorzędnie.

- Tak, pierwszorzędnie - powtórzył jak echo Linc.

Sięgnął po czarną teczkę, otworzył ją, wlepił wzrok w pierwszą stronę, ale widział jedynie pełne bólu i wypełnione łzami zielone oczy dziewczyny.

„Wierzyłam ci” - powiedziała.

- Nie słyszę w twoim głosie entuzjazmu.

Linc zacisnął ze złości pięści, ale zapanował nad głosem.

- Mówisz, że się dobrze spisała?

- Czy dobrze? Chłopie, co się z tobą dzieje? Gdybyś tylko przeczytał raport, wywijałbyś z radości koziołki w powietrzu.

- Koziołki? - Linc zamrugał oczyma. - No cóż, mówiąc szczerze, jeszcze go nie czytałem.

- Ja też tylko pobieżnie. Kto miałby na to czas? Ale ona wszystko mi wyjaśniła. Szczególnie podoba mi się partia dotycząca „redukcji długów” przez podwyższenie opłat za kempingowanie. Masz przed sobą kopię? Strona piąta, tak gdzieś pośrodku:

„...a wzrost opłat za użytkowanie pól namiotowych zrekompensowałby planową redukcję kwot pochodzących z subsydiów federalnych. Uwzględniając długość sezonu turystycznego, który trwa tu od połowy maja do końca września, oraz 228 obozowisk, dwudziestoprocentowa podwyżka wydaje się ze wszech miar rozsądna i...”

- Czy to nie brzmi wspaniale? - spytał rozentuzjasmowany Jim.

Linc był zdumiony. Przebiegł wzrokiem całą stronę.

- Robi wrażenie - mruknął w końcu.

- No właśnie - ciągnął Jim. - Pozostałe partie są równie wyśmienite...

- Powiedziałem, że robi wrażenie - powtórzył ponuro Linc, czując straszny ciężar winy. Charlie zrobiła wszystko, co w jej mocy, by najważniejszym programom zapewnić dotacje rządowe. A czym on jej odpłacił? Dziewczyna nie dowie się, ile kosztowało go to, że odeszła. Nie dowie się, jak bardzo ją kocha.

- Nie sprawiasz wrażenia kogoś, kto szczęśliwie uniknął opresji finansowych.

- Nie, dlaczego, jestem bardzo zadowolony-odparł Linc przez zaciśnięte zęby. - Każdy byłby rad. W końcu dostaliśmy to, co chcieliśmy.

- Ja tak, ale ty?

Linc w pierwszej chwili chciał coś ostro odpowiedzieć, ale poskromił język. Powinien się być tego spodziewać. Ostatecznie on i Charlie nie ukrywali swojej zażyłości.

Ze słuchawki dobiegło długie, ciężkie westchnienie.

- Widzę, że to, co słyszałem, jest prawdą.

- Jakoś dźwigam ten ciężar - odparł Linc.

- Jesteś pewien? Ona to nie Amy, wiesz o tym?

- O co ci chodzi?

- Nie próbuj mydlić mi oczu, Linc - ostrzegł Jim.

- Chodzi mi o to, że Charlotte polubiła Alaskę. Naprawdę polubiła. Burze śnieżne i te rzeczy. Naprawdę chcesz sobie tę dziewczynę odpuścić?

- Ona ma swoje sprawy.

- Może też mieć je u nas. A jej bracia nie będą przecież całe życie trzymać się siostrzynej kiecki.

- Doskonale o tym wiem. Rzecz w tym, że ona nie wie i nie ma sposobu, by ją o tym przekonać. Dałem więc spokój. To wszystko. Poradzę sobie.

- Pewnie, że sobie poradzisz, synu. Ale czy warto?

- Jim...

- Dobrze, wiem. Powiem ci jeszcze jedno i milknę. Cisza.

- Słuchasz mnie?

- A mam inny wybór?

- Była u mnie w biurze, Linc. Daję ci słowo, wyglądała jak dziesięć nieszczęść.

Linc słysząc pełen troski głos starszego mężczyzny zawahał się. Zawdzięczał Jimowi wszystko, całe swoje życie. Ale o tym... o niej... nie potrafił rozmawiać z nikim.

- Co z tobą, synu?

Słyszac pukanie do drzwi, Linc odetchnął z ulgą.

- Muszę kończyć, Jim. Pogadamy później. Odłożył słuchawkę i wyprostował się.

- Proszę wejść.

Drzwi powoli się otworzyły.

- Linc?

RS

## Rozdział 15

- Charlie!

W oczach Linca pojawiło się tyle niedowierzania i ogromnej radości, że dziewczynie załopotало serce. A więc może jeszcze nie wszystko stracone?

- Skąd... skąd się tu wzięłaś? - Popatrzył na zegarek.

- Dopiero siódma rano.

- Nocowałam u Sam - odparła widząc, że Linc marszczy brwi i szybko dodała: - Wczoraj wyjechałam z Anchorage.

- Ale dlaczego? Co się stało? - pytał oszołomiony. Stało się to, że kocha Linca. Ale najpierw musieli sobie wszystko wyjaśnić.

- Powinniśmy porozmawiać.

Gdy przed dziesięcioma dniami opuściła Alaskę, całe jej życie stanęło na głowie. Kyle zamieszkał bliżej uczelni. Znalazł nawet współlokatorkę, śliczną dziewczynę imieniem Julie. Potem Ryan oświadczył, że przeprowadza się do akademika. Dwa dni później obu już nie było. Dom, w którym żyli razem, opustoszał. Długie wieczory, dotąd wypełnione śmiechem i rozmowami, stały się martwe i zimne jak sam dom. Charlie nie chciała myśleć o Lincu, ale wlokące się jak ślimak samotne godziny nie pozwalały jej o nim zapomnieć. Czy specjalnie ją odepchnął? Po tygodniu miała na tyle wszystkiego dość, że podjęła kilka ważnych decyzji. Sprzeda dom, porzuci pracę i ukończy studia na wydziale leśnictwa. A przede wszystkim jeszcze raz spróbuje dotrzeć do Linca. Jeśli znow ją odrzuci, trudno, jakoś będzie musiała się z tym pogodzić. Ale nie darowałyby sobie, gdyby nie podjęła tej ostatniej próby.

Kładąc rękę na klamce drzwi biura Tylera, dziewczyna uświadomiła sobie, jak dramatycznie odmieniło się jej życie od chwili poznania Linca. Mężczyzna otworzył przed nią tyle możliwości, że Charlie zdała sobie sprawę, że jej życie wcale się nie skończyło. Przeciwnie, dopiero się zaczyna.



Ale chciała je zacząć z Lincem.

- Powinniśmy porozmawiać - powtórzyła. - Jest kilka pytań, na które chcę znać odpowiedź. Mogę usiąść?

Przez długą, pełną napięcia chwilę spoglądali na siebie.

- Pewnie - wybąkał Linc, przełamując odrętwienie. Rozparł się na krześle i przybrał obojętny wyraz twarzy.

Co ona tu, do cholery, robi? - zastanawiał się. Nieświadomie obrzucił przeciągłym spojrzeniem postać Charlie. Zauważył, że schudła. I to bardzo, sądząc po luźnych spodniach. Obecność dziewczyny sprawiała, że z podwójną siłą wrócił dawny ból.

- Sprzedałam dom.

Linc podniósł gwałtownie głowę i wlepił wzrok w rozgnioną twarz Charlie.

- Co zrobiłaś? - Mniej zdumiałaby go wiadomość o lądowaniu Marsjan na Alasce. - Dlaczego? Nie miałaś pieniędzy na dalsze studia Kyle'a i Ryana?

- Sprzedałam, bo Kyle wyprowadził się i mieszka z Julie, a Ryan wyniósł się do kumpli w akademiku. Mój dom stał się pusty. I za duży na jedną tylko osobę.

- Kyle wynajął mieszkanie? A Ryan mieszka w akademiku? Skinęła głową.

- Ja też nie potrafiłam tego od razu ogarnąć myślą.

Linc w jednej chwili miał wszystkiego dość. Przybrał zimny, urzędowy wyraz twarzy.

- Charlie, po coś tu przyjechała?

- Powiedziałałam już, że chcę zadać ci kilka pytań.

- Nie mogłaś zrobić tego przez telefon?

- Nie byłam pewna, czy nie odłożysz słuchawki. Odejście Charlie sprawiło mu ogromny ból. Teraz z kolei jej obecność sprawiała mu najstraszliwszą torturę.

- Co chcesz wiedzieć? Charlie wzięła głęboki oddech.

- Linc, chłopcy odeszli, sprzedałam dom... Co ty na to... Co myślisz o nas?

Lincowi załomotało w skroniach. Zacisnął palce na poręczu fotela.

- Nie istnieje coś takiego jak my.

- Myślałam...

Popatrzył na nią tak obojętnym wzrokiem, jak na zupełnie obcą osobę.

- Co myślałaś?

- Całymi tygodniami przekonywałeś mnie, że zbyt uzależniam się od chłopców, że powinnam zacząć własne życie. Więc pomyślałam... pomyślałam, że...

- Jeśli się wyprowadzą, a ty sprzedasz dom, to przyjmę cię tu z otwartymi ramionami. Czy tak właśnie myślałaś?

Jakby ktoś dał jej w twarz. Popelniła straszny błąd. Teraz była już tego pewna.

Wstała z krzesła.

- Wybacz, Linc - głos jej zadrżał. - Rozumiem, że nie ma powodu, żebyś zakochał się we mnie tak, jak ja w tobie. Ostatecznie cztery tygodnie to niedużo. Zwłaszcza że większość czasu się kłóciliśmy. Zatem sądzę...

- Charlie...

- ... że wrócę do Sam i u mej zaczekam na pociąg.

- Charlie, czy ty wiesz, co wygadujesz? Nie igraj ze mną.

- Nie igram.

- Kochasz mnie? - Jego głos był szorstki, pełen niedowierzania. Jego uporczywe spojrzenie przewiercało Charlie na wylot.

- Jestem tu, prawda? Sprzedaję dom, zrywam wszelkie związki... co mogę jeszcze zrobić, co mogę więcej powiedzieć, by cię przekonać. Kocham cię, Linc, i chcę mieszkać z tobą na Alasce, w Denali. - Wybuchnęła krótkim, nerwowym śmiechem.

- Upierałeś się, że przegapiam życie. No cóż, miałaś rację. Przegapiłam życie. Przegrałam cię.

Zadzwoił telefon. Linc zerwał się z krzesła, chwycił Charlie za rękę i wyprowadził z biura.

- Chodźmy.

Oszołomiona, szła bezwolnie za nim przez znajomy korytarz, prowadzący do mieszkania Linca.

- Teraz i ja widzę, że musimy sobie to i owo wyjaśnić - oświadczył, sadzając Charlie na kanapie. - Ale na początek wiedz jedno. Ja też cię kocham.

- Naprawdę?

Przygarnął ją do siebie, ich usta spotkały się. W Lincu było tyle czułości, że dziewczynie stanęły w oczach łzy szczęścia. Tulił ją, jakby nigdy go nie opuszczała. Tulił Charlie wiedząc, że dziewczyna tego pragnie.

- Muszę ci parę rzeczy powiedzieć, Charlie.

- Linc...

- Nie, proszę. Posłuchaj. Mówiłem ci, że moje małżeństwo z Amy skończyło się już dawno. To nieprawda. Pozostały bliźny. Są ciągle, choć ich nie widać. Czasami nawet udawało się o nich zapomnieć. Aż do chwili, kiedy pojawiłaś się ty. Od początku cię pragnąłem, ale nieoczekiwanie wszystkie targające mną wątpliwości, lęki i niepewność, które zostały po Amy, wróciły z dawną siłą w naszym związku.

- Ależ tak wcale nie było - przerwała mu.

- Było. Po prostu nie mówiłem o tym. - Potrząsnął głową. Jego twarz wyrażała rezygnację i znużenie. - Tygodnie spędzone z tobą należały do najszcześniejszych w moim życiu. Pragnąłem, by trwały zawsze, ale wiedziałem, że odejdiesz tak samo jak Amy. Dla mnie... dla mnie było to prawie jak odgrywanie scen z przeszłości. Tylko że tym razem to ja postanowiłem odejść. - Uniósł dłonie Charlie i pocałował je.

- Linc, nie musisz kończyć. Ich czoła zetknęły się.

- Chciałem, byś wiedziała o tym. Chciałem wyjaśnić wszelkie nieporozumienia.

- Kocham cię - usłyszał w odpowiedzi.

- Powtórz to jeszcze raz.

Charlie zadrżała, kiedy jego ręka delikatnie spoczęła na jej ramieniu. Pod wpływem tej niewinnej pieśczoły odeszła w zapomnienie zła przeszłość, otworzyła się zachwycająca przyszłość.

- Wyjdiesz za mnie, Charlie? - spytał schrypniętym głosem.

- Zostaniesz moją żoną?

- Tak, Linc. - Śmiejąc się i płacząc jednocześnie, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Kocham cię, Charlie - oświadczył. - Od chwili twego wyjazdu przeżywałem piekło.

- Ja też - powiedziała miękko z oczyma rozjaśnionymi radością. - Ożenisz się ze mną?

- Tak! Tak! Tak!

- Och, Linc - szepnęła zdyszana. - Żebyś miał pojęcie, jak ja za tobą tęskniłam.

- Kocham cię jak wariat - wyznał z dobrym, pełnym ciepła uśmiechem. - I zamierzam ci to zaraz udowodnić. - Wodził językiem po wargach dziewczyny. - Ale tym razem mamy do dyspozycji naprawdę królewskie łoża.

- Królewskie łoża. Czy nie uważasz, że zamienić śpiwór od razu na królewskie łoża to lekka przesada?

- Masz całkowitą rację. Zostajemy na kanapie.

- Linc!

- Pragnę cię - mruknął ochryple mężczyzna. - Teraz, tutaj, łoża wypróbujemy następnym razem.

Potem wyczerpana i oszołomiona szybkością spełnienia Charlie popatrzyła z lękiem na Linca.

- Jak mogłam cię odepchnąć? - szepnęła i zaczęła mrugać oczyma, czując wzbierające pod powiekami łzy.

- Charlie, ja też nie wiem, jak to się stało, że pozwoliłem ci odejść - rzekł, tuląc ją w ramionach.

Ich ciała ciągle jeszcze były ze sobą złączone, a w oczach palił się płomień nasyceńca i nienasyceńca zarazem.

- Dziewczyno, kocham cię-powiedział wolno, smakując każde słowo, jakby składał uroczystą, płynącą z głębi duszy przysięgę.

- I ja ciebie kocham, Lincolnie Tylerze - odparła jak echo Charlie. - Chcę zostać twoją żoną, twoją kochanką, matką twoich dzieci. Pragnę tego z całego serca.

- Jezu słodki, Charlie - jęknął Linc, składając głowę na jej ramieniu. - Marzyłem, tęskniłem do chwili, kiedy wypowiesz te słowa.

Milczeli przez jakiś czas. Potem Linc poczuł, że znów oblewa go żar.

- Ma mi pan coś do zaferowania, sir? - spytała.

- Łoże! Królewskie łoże! - szepnął. - Co o tym sądzisz?

- Musisz się szybko decydować, kochanie, bo nie wytrzymam i tu rzucę się na ciebie. I wtedy znów zrobimy to na kanapie.

Ale tym razem nie zrobili już tego w pośpiechu. Linc wziął dziewczynę na ręce, zaniósł do szerokiego łóża, odchylił koldrę i delikatnie ułożył Charlie na chłodnym prześcieradle.

- Jesteś cudowna - wykrztusił z trudem. - Taka gorąca, pełna pasji i namiętności - mówił patrząc jej w twarz, błędząc dłonią po wszystkich zakamarkach ciała. Oczy Charlie pociemniały z namiętności.

Delikatnie, łagodnie, głęboko zanurzył palec w jej wnętrzu. Jęknęła cicho.

- Tak - szeptał jej w ucho. - Tak, chcę widzieć, że to lubisz. Powiedz mi...

Urwał czując, jak jej ciało przeszywa paroksyzm rozkoszy. Patrzył jej w oczy, pragnął wyczytać z nich każdą myśl, każde pragnienie.

- Jesteś taka dzika, wolna i doskonała - szeptał gorączkowo, kładąc na siebie Charlie. - Oszaleję. Jesteś wilgotna i rozpalona. I jesteś nade mną.

Zadrzał i zaczął całować jej piersi, aż dziewczyna z krzykiem zaczęła kołysać się na nim ruchem, który odbierał mu zdrowy rozsądek.

- Linc, chcę ciebie - szeptała zdyszczanym, urywanym głosem. Poczowała gorącą falę docierającą do wszelkich miejsc jej ciała.

- Weź mnie, Charlie - wychrypiał, wypychając w górę biodra.  
- Weź mnie całego w swe posiadanie.

- Linc!

- Och, Charlie - wydyszał nagle Linc. - Już nie mogę, nie mogę. Charlie, teraz, proszę.

Ich przymglone, półprzytomne, pijane żądzą oczy spotkały się i Charlie uniosła się lekko na kolanach. Widząc, iż niebieskie oczy Linca stają się granatowe jak nocne niebo, powoli, jakby z namysłem, opadła na niego całym ciężarem ciała.

Kiedy wreszcie Charlie otworzyła oczy, ujrzała nieruchome, pełne napiętności spojrzenie Linca.

Uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała go w potężny, porośnięty gęstymi włosami tors.

- Mm? - mruknął, zanurzając twarz w jej włosy. - Myśle.

- O czym?

- O nas. O tobie i o mnie. O życiu. O tym, jak krótkie dwie godziny potrafią całkowicie odmienić przyszłość. - Charlie zsunęła się i położyła obok niego. Nogę przerzuciła w poprzek jego bioder. Objęła ramieniem rozrośnięty tors i zacisnęła palce na twardym bicepsie jego ręki.

- Słuchaj, co się stało z tym chłopcem, który zaginął w rezerwacie?

- Wszystko skończyło się szczęśliwie. Na chwilę przed tym, jak się tu zjawiałś, dzwonił Jim z informacją, że on i jego rodzice odlatują dziś do domu.

- Więc nic mu się nie stało?

- Nic, to bardzo bystry dzieciak. Kiedy pojął, że zablądził, wykopał za pomocą narty jamę śnieżną, następnie oznaczył ją deskami i kijkami, a sam wpełzł do środka. Znaleźliśmy go bez trudu.

- Bardzo się cieszę. Można się chyba nieźle przestraszyć, jeśli człowiek zgubi się w taką zawieruchę - odparła, wspominając ich wędrówkę podczas burzy śnieżnej.

- Przeglądałem twój raport - powiedział cicho, bawiąc się kosmykiem włosów Charlie. - Jeśli zaakceptują twoje sugestie, ciecia budżetowe prawie w ogóle nie dotkną rezerwatu. Dzięki. Uratowałeś nas.

- Zaakceptują - zapewniła Charlie. - Raport przyjęli bez mrugnienia okiem. Po obejrzeniu filmu zadali kilka pytań, ale to, co ujrzeli na ekranie, wywarło na nich piorunujące wrażenie. Zwłaszcza sekwencja o Mount Denali.

- Na mnie robi piorunujące wrażenie to, co mam przed sobą - odparł. - Czy już ci mówiłem, że **masz** boskie nogi?

- Nie. Czy mówiłam ci, że już nie pracuję?

Linc znieruchomiał, po czym odsunął się nieco od dziewczyny.

- Chcesz powiedzieć, że rzuciłeś firmę? Co zamierzasz dalej robić?

Roześmiała się i szturchnęła go lekko w brzuch.

- Przecież mam zostać twoją żoną. A potem matką twoich dzieci.

- To ci dopiero! - wykrzyknął Linc. W jego oczach malowało się zdumienie, niedowierzanie i bezgraniczna miłość.

- I jak ci się to podoba?

- Kochanie, cokolwiek zaproponujesz, masz moją zgodę. Bylebyś tylko była ze mną... O czym myślisz? - spytał rozmarzony.

Roześmiała się.

- Myślę o tym, że po raz pierwszy od dziesięciu dni jestem głodna. Co powiesz na ogromne śniadanie?

- A po śniadaniu ja zadzwonię do Jima, a ty do Kyle'a i Ryana. Musimy zaprosić ich na wesele.